

# PRZED WYRUSZENIEM W DROGĘ

Marcin Mortka



SON  
Originals

PRZED  
WYRUSZENIEM  
W DROGĘ

PRZED  
WYRUSZENIEM  
W DROGĘ

Marcin Mortka

Kraków 2022

# Spis treści

Okladka

Strony tytułowe

Drzewo genealogiczne

Mapa

1. Zrazy na przepiórczych jajach

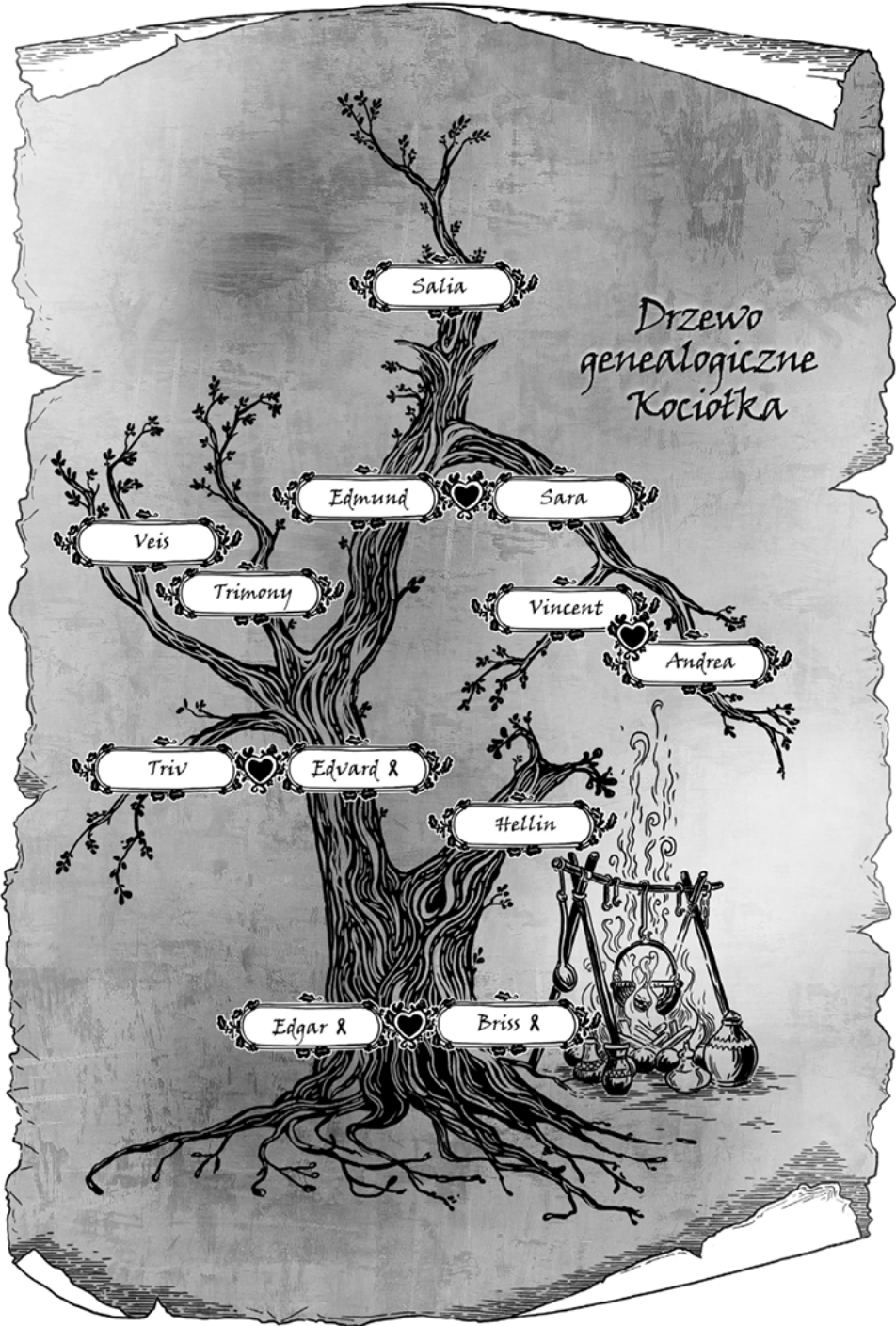
2. Łaska Doli

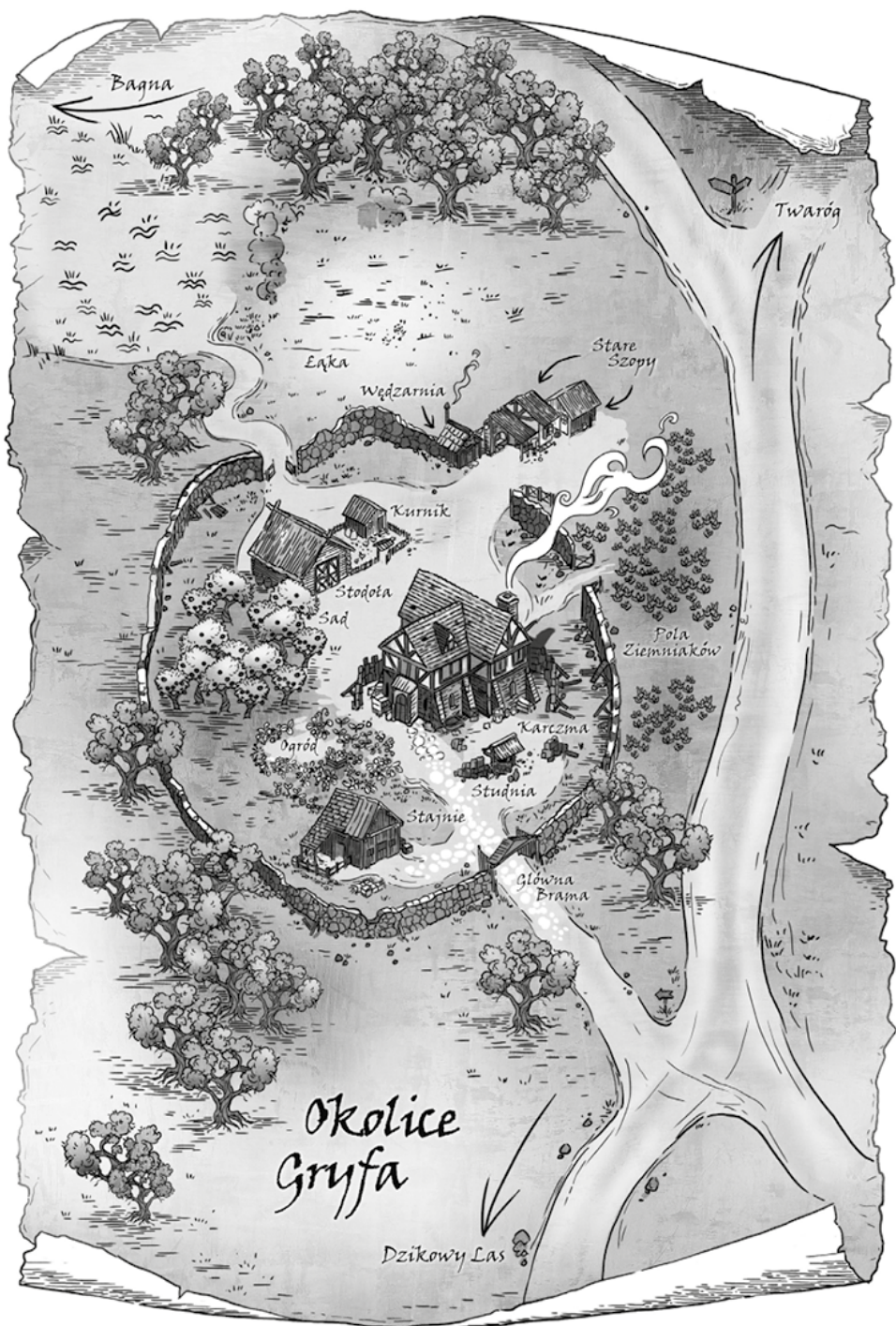
3. Liść olchy

4. Drużyna do zadań specjalnych

Strona redakcyjna

Reklama





Zrazy na  
przepiórczych jajach



Krasnolud przywalił mi tak, że zgiąłem się wpół i zrobiło mi się ciemno przed oczami.

– Ty gnoju! – usłyszałem jego chrapliwy głos tuż nad uchem, a instynkt ostrzegł mnie, że najgorsze być może dopiero przede mną. Cofnąłem się odruchowo, co okazało się nie najgłupszym pomysłem. Kolano krasnoluda, zamiast rozkwasić mi nos, trafiło w czoło.

Nie żebym jakoś szczególnie na tym skorzystał, bo zobaczyłem tylko wirujące gwiazdki, a potem zatoczyłem się do tyłu i wpadłem plecami na balustradę. Nadal nie mogłem złapać tchu po ciosie w żołądek, w głowie mi dudniło, plecy piekły, ale... Cóż, przynajmniej nos miałem cały.

– Uciekać będziesz, co? – wychrypiął krasnolud. – Już ja ci, szmaciarzu jeden...

Jego ciężkie kroki zadudniły na deskach mostu. Szarżuje, przemknęło mi przez skołatany umysł.

Otworzyłem oczy w porę, by ujrzeć jego rozwścieczone spojrzenie, a potem... Cóż, zrobiłem to, co podyktował mi instynkt.

Rzuciłem się do ucieczki, z trudem wciągając powietrze do płuc.

Nie myślcie o mnie źle. Jako potomek rodu karczmarzy uczestniczyłem w dziesiątkach bójek i przynajmniej połowę przetrwałem na stojąco, ale jeszcze nigdy nie przyszło mi się tłuc z krasnoludem. Już po pierwszej wymianie ciosów zrozumiałem, że pomimo przewagi wzrostu wcale nie znajduję się na uprzywilejowanej pozycji. Nie dałbym rady trafić go ani w głowę, ani tym bardziej w brzuch, z czym mój przeciwnik problemów nie miał żadnych. Co gorsza, w szerokich barach krasnoluda kryło się mnóstwo siły,



ramiona miał niemalże tak długie jak ja, a do tego pałał zwierzęcą żądzą mordy.

Na coś takiego sposobu nie znałem. W innych okolicznościach trzepnąłbym go zydłem czy garnkiem, ale trudno o taką reakcję na środku wąskiego mostu nad mulistą rzeczułką.

– Stój! – wycharczał krasnolud. – Stój, sucza mordo, bo jak nie...

To co? – przemknęło mi przez myśl. Dogonisz mnie i...

Koszyk, który po pierwszym ciosie wypadł mi z ręki i potoczył się po moście, w tej właśnie chwili znalazł się pod moimi nogami. Zahaczyłem stopą o pałąk i rąbnąłem o deski z takim impetem, że ze szczelin między nimi buchnęły kłęby kurzu. Uderzenie serca później na plecy zważyło mi się wrzeszczące, przeklinające, plujące, brodate uosobienie furii.

– Wbij sobie, kurwa, do głowy – charczało, przygniatając mnie kolanami do podłoża i ciągnąc za włosy – że kiedy idę mostem, masz mi... grzeczniej! zejść! z drogi! Bo jak...

Włożyłem w cios koszykiem wszystkie siły, jakie mi jeszcze pozostały. Z pewnością nie wyrzuciłem krasnoludowi wielkiej krzywdy, ale zdołałem go oszołomić na tyle, by udało mi się spod niego wypełznąć i chwiejnie stanąć na nogi.

– Już ja ci... – Krasnolud potrząsał kudłatą głową, przytomniejąc.

Nie dałem mu dokończyć. Oczekałem, aż zacznie się podnosić, a potem celnym kopem w sam środek szerokiej klatki piersiowej posłałem go na barierkę. Nie szczydziłem sił – któraś z desek pękła i krasnolud z wrzaskiem runął w dół.

Lato było gorące i suche, przez co strumień, wartki jeszcze na początku kampanii wojennej, zamienił się w leniwą, błotnistą breję. Mój przeciwnik z paskudnym chlupnięciem wylądował w samym środku cuchnącej kałuży.

Zamarł, wstrząśnięty obrotem wydarzeń i wpatrzony prosto we mnie.

– Dorwę cię! – wysyczał. – Dorwę cię i...

– Najpierw się stąd wygrzeb – wyrzeziłem, po czym próbując odzyskać resztki godności, poprawiłem poszarpany mundur, podniosłem koszyk i ruszyłem w dalszą drogę.

Na wszelki wypadek szybkim krokiem.

\*

Zmierzalem do Kozibrodu, niewielkiego miasteczka, które obrosło graniczny zamek o tej samej nazwie. Dzieliło mnie od niego jakieś pół godziny marszu, a to wystarczyło, by tępy ból głowy nieco zelżał i bym odzyskał równy oddech oraz nieco pewności siebie.

– Do ciężkiej cholery – mruknąłem, po raz dziesiąty otrzepując mundur. Byłem oficerem w służbie księcia Stefana, głównym kwatermistrzem Dziesiątego Pułku Piechoty. Nie mogłem pozwolić, by ktoś się dowiedział, że jakiś brodaty przybłęda obił mi głowę!

Obmacałem czoło, które przyjęło krasnoludzki kopniak, co okazało się kiepskim pomysłem. Ból był tak ostry, że aż mi stanęły łzy w oczach. Przystanąłem, odczekałem, aż zelżeje, a potem ostrożnie – bardzo ostrożnie! – naciągnąłem kapelusz aż po same brwi.

– Jestem. Kwatermistrzem. Na służbie. Książęcej – wycedziłem, by odzyskać rozdeptany na mostku animusz.

Gówno tam kwatermistrzem, Kociołek, syknęła jakaś złośliwa myśl. Kucharzem jesteś. I chłopcem na posyłki. Pułkownik po jajca cię wysłał.

Zacisnąłem zęby i przyspieszyłem kroku. Przecież bliższy kontakt z wyższą szarżą może mi przynieść wiele dobrego. Popchnąć karierę naprzód, stworzyć nowe możliwości, kolejne okazje do zysku...

Ta sama myśl ograniczyła się do wzgardliwego prychnięcia i nagle mój wywód przestał się wydawać tak przekonujący.

Kopnąłem ze złością kamień, który potoczył się po pylistym trakcie. Kontakty z pułkownikiem Vilhelmem Drustem, który z książęcego nadania stał na czele Dziesiątego Pułku Piechoty, nauczyły mnie jak do tej pory jedynie ostrożności i dystansu. Nigdy dotąd nie poznałem człowieka o tak rozchwianej osobowości – potrafił z błogim uśmiechem wysłuchiwać raportów o postępach sił przeciwnika, by w chwilę później bez litości zrugać wartownika, który nie dość szybko stanął przed nim na baczność. Co gorsza,

pewność siebie podbudowywał szlacheckim pochodzeniem, a kilka krótkich rozmów, które odbył z księciem Stefanem, wedle ojcowskiego nadania władcą Wichrowin, napełniły go przekonaniem, że należy do wąskiego kręgu książęcych zauszników, przez co jego kontakt z rzeczywistością skurczył się jeszcze bardziej.

Ten i ów szczerze powątpiewał, czy nasz pułkownik odnajdzie w sobie animusz w obliczu ewentualnej konfrontacji z wrogiem, ale nie rozmawialiśmy o tym głośno. Paru oficerów i podoficerów mocno wierzyło bowiem w domniemane koneksje pułkownika i wiązało z jego osobą nadzieje na przyszłość, a złapanie i przykładowe ukaranie malkontenta wyrzekającego na dowództwo mogłoby znacznie pomóc w rozwoju kariery. Na szczęście nasz pułk jak dotąd nie uczestniczył w żadnych starciach. Od czterech tygodni trwaliśmy na pozycji między brzegiem rzeki Zimnicy a skrajem Puszczy Wyjców, bez końca odbywając musztrę, kopiąc okopy i umacniając szańce. Na nasze nieszczęście pułkownik nadzorował te prace z niepokojącym zaangażowaniem, co prowadziło do prostego wniosku, że szlachectwo sobie wmówił, a przed wybuchem Waśni służył jako zwykły folwarczny ekonom.

Tym wnioskiem również nie dzielono się na głos, a ja byłem ostatnim człowiekiem na świecie, który mógłby to zrobić. Głównie dlatego, że stałem się nadwornym kucharzem pana pułkownika krótko po tym, jak naraził mu się mój poprzednik.

Szczegółów nie znałem. Naoczni świadkowie zaklinali się, że podczas posiłku pułkownik nagle poczerwieniał, zaczął sapać, rzeźić i szarpać się za kołnierz, a potem dostrzeżono kucharza, który pędził między namiotami, wzbijając tumany kurzu. To, że zwiewał w stronę miejsca, w którym stacjonował przeciwnik, nie zastanowiło nikogo.

Ktoś mądry kiedyś powiedział, że w przypadku wojny domowej, a zwłaszcza w miejscu tak małym jak Dolina, koncepcja przeciwnika staje się mocno filozoficzna.

A potem, gdy pan pułkownik odzyskał naturalne kolory i wysłał patrole na z góry skazane na niepowodzenie poszukiwania uciekiniera, jakiś kutas z jego świty

przypomniał sobie, że przecież Edmund zwany Kociołkiem ze służby kwatermistrzowskiej wcale nieźle gotuje. Vilhelm Drust wezwał mnie natychmiast i kazał sobie przyrządzić pstrąga z kurkami, które szczęśliwie miałem na stanie.

Nigdy wcześniej nie przygotowywałem niczego w takim napięciu jak wówczas, ale pan pułkownik raczył spożyć danie ze smakiem i pogratulował mi awansu na swego osobistego kucharza. Potem obdarzył mnie arystokratycznym uśmiechem i wyszedł, by z pasją i wprawą drzeć się na miejscowych chłopów wyładowujących siano.

Od tej chwili upłynęło sześć dni i moja pozycja tylko pozornie stała się lepsza. Pan pułkownik rozsmakował się w moich daniach i zauważyłem, że oczekuje na obiad z wyraźną niecierpliwością, co niestety tylko pogłębiło mój niepokój. Wszak lada moment Vilhelm Drust mógł dojść do wniosku, że jednak mu coś nie smakuje, a zdecydowanie wolałem uniknąć jego ataku furii. Jakby tego było mało, niezadowolenie z mojego awansu okazywała również brać żołnierska, która, głucha na logiczne argumenty, uznała, że zwiąłem od ciężkiego obowiązku mieszania w pułkowym kotle, by przypoehlebiać się jaśniepaństwu. Ich niechęć potęgował fakt, że zastąpił mnie niejaki szeregowy Bawół, człowiek o wielkim sercu, szczerym uśmiechu i pokornej naturze, który tak bardzo pragnął ulżyć ciężkiej doli kompanów z pułku, że nie szczędził im zgoła niczego. Najchętniej zaś dzielił się solą.

Kopnąłem następny kamień i po raz kolejny pożałowałem, że dałem się wciągnąć w tę idiotyczną wojnę. Sara miała rację, pomyślałem. Jak zwykle, cholera jasna. Zawsze trzeba słuchać żony.

Słońce prażyło, a traktem co rusz przemykał jakiś goniec, wznosząc tumany kurzu. Czoło mnie łupało niemożebnie, brzuch bolał, po karku lał się pot.

– Jestem kwatermistrzem Dziesiątego Pułku Piechoty i osobistym kucharzem pułkownika Vilhelma Drusta – powiedziałem do zakurzonego, znudzonego kota, który wypoczywał w cieniu przydrożnej wierzby. Nawet na mnie nie spojrział.

– Pieprzone wojsko – mruzczałem. – Pieprzona armia.

Kozibród jeszcze rok temu był zaledwie zbiorowiskiem chatynek oblepiających mury niewielkiego zamku i gdyby nie to, że synowie i córki nieżyjącego od roku króla Rodryka postanowili rzucić się sobie do gardeł w walce o tron, zapewne nadal byłby małą, uśpioną wioseczką. Wybuch wojny paradoksalnie tchnął w osadę życie – w ciągu raptem paru miesięcy wyrosły tu kuźnie, stajnie i magazyny. Pojawiło się targowisko, ku któremu ze wszystkich stron zmierzały wyładowane wozy, wyrósł targ konny, nad którym od rana do nocy niosły się okrzyki targujących, a miejscowa karczma pękała w szwach do tego stopnia, że na kasyna i burdele trzeba było wynajmować sąsiednie chaty. Na honorowym miejscu wznosił się ksiązęcy namiot werbunkowy, przed którym nieustannie wiła się kolejka młodzieńców spragnionych wojennej sławy. Do rozrastającej się osady, ku oszołomieniu miejscowych, ściągali ponadto najemnicy, rzemieślnicy, lichwiarze, minstrele, szulerzy, złodzieje, kaznodzieje, dziwki, jasnowidze i bezrobotni. Powagi miejscu dodawały zaś chorągwie księcia Stefana, które uprano, pocerowano, a potem z wielką pompą wywieszono nad zamkową bramą.

Byłem już w Kozimbrodzie parokrotnie, by za pieniądze wydzielane z funduszu pułkowego kupić spyżę dla oddziału, ale wówczas wizycie towarzyszył większy splendor. Zajeżdżałem na targ wozem z kilkoma żołnierzami w charakterze eskorty, którzy bacznie się przyglądali kupowanemu przeze mnie produktom, gotowi spuścić profilaktyczny łomot każdemu, kto chciałby mi sprzedać nieświeżą rzepeę czy nazbyt chudą kiełbasę. Teraz byłem sam, a mój status, oprócz munduru i kapelusza, wyznaczał jedynie koszyk.

Po chwili namysłu zrezygnowałem z zakupów na targowisku i skierowałem się na główną ulicę Koziegobrodu, przy której stały mniejsze kramy i stragany. Dojmująca spiekota bynajmniej nie zraziła kłębiących się tam ludzi i nawoływania kupców zlewały się tu ze śmiechami i pokrzykiwaniami podpitych żołnierzy. Piszczwały fujarki,

pobrzękiwały kowalskie młoty, szczekały psy, piszczały dzieciaki, gdzieś darł się kogut, gdzieś indziej kapłan Doli grzmiał o grzechu.

Fajnie było.

Poprawiłem mundur, by godniej się zaprezentować, i przybrałem odpowiednio surową minę, po czym wkroczyłem w tłum. Miałem wrażenie, że płynę samym środkiem ogłuszającej, lepkiej ludzkiej rzeki, co rusz zahaczając o jakąś przeszkodę. Jakiś sprzedawca złapał mnie za rękę i pociągnął ku swej kolekcji drewnianych tarcz i kołczanów; wychudzony człowiek z ogniem w oczach klękał przede mną i prosił, bym dorzucił się do „wykupnego”; skapo odziana i nieco przebrzmiała piękność próbowała mnie namówić na wspólną modlitwę. Prawie się potknąłem o wyliniałego psa, który wyskoczył z za rogu, by dopaść uciekającego szczura, a potem zawadziłem stopą o czyjeś stopy w znoszonych, wielokrotnie naprawianych sandałach.

– Uważaj, jak łazisz, mundurowa łamago! – warknął właściciel sandałów.

W jego oczach kryła się taka złość, że mimo upału nagle zrobiło mi się lodowato. Ogorzała twarz i gęsta broda kazały mi wziąć go za żebraka, ale przeczył temu brak miseczki oraz jakiegokolwiek pokory w spojrzeniu.

– Won – syknął jeszcze, machając łapą wielką jak u drwała. – Bo mi zasłaniasz!

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale uznałem, że mam do czynienia z kolejnym tego dnia czubkiem, i na wszelki wypadek przyspieszyłem kroku. Stragan mego znajomego Pigwy na szczęście znajdował się niewiele dalej.

Pigwa był niewysokim, łysawym gadułą o piskliwym głosie, którego ludzie odruchowo lekceważyli, czego przychodziło im żałować, gdy tylko zaczynali z nim targi. Nie znałem sprzedawcy, który negocjowałby cenę z podobną zaciekłością. Swego czasu dostarczał nam żywność do rodzinnej karczmy zwanej Gryfem i moja matka była święcie przekonana, że Pigwa zawsze ściągał z klienta więcej, niż ten się spodziewał zapłacić.

– O, Kociołek! – zawołał spocony kupiec, ledwie widoczny z za swych słojuw, dzbanów i skrzyń. Rozpędził stado much

i zmarszczył brwi, jakby chciał mi się przyjrzeć uważniej, a potem założył ramiona na piersi. Mimo upału miał na sobie kubrak nieco przypominający krojem skórzane kurty książęcej piechoty, a za pasem długi nóż w pochewce, co zapewne miało oznaczać, że wyniósł się do pozycji wojskowego dostawcy i spodziewa się odpowiedniego traktowania.

– Cześć, Pigwa – pozdrowiłem go. – Dola z tobą.

– I z tobą, przyjacielu – rzekł kupiec wymownie, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że to zbędne słowa, bo wie, iż Dola już zesłała mi awans. – Czym ci mogę służyć?

– Gotuję dziś obiad dla pułkownika Drusta – powiedziałem donośniej, niż zamierzałem, bo przechodzący nieopodal najemnicy, wznoszący pieśń o przewagach tyłka nad biustem, zdołaliby zagłuszyć książęcego herolda. – I jego gości!

– Jasne, jasne! – Pigwa wydał wargi i pokręcił głową. Najwyraźniej nie dość, że wiedział o moim awansie, to jeszcze przyjął stanowisko reszty oddziału. – Rozumiem, Kociołek. Gotujesz teraz dla jaśniepaństwa, nieprawdaż?

Było mi gorąco, a głowa mi pękała. Powoli traciłem cierpliwość.

– Tak, dla jaśniepaństwa – wycodziłem, unosząc lekko kapelusz. – Pułkownik Drust gości dziś hrabiego Gilliana z małżonką i synem, a to oznacza, że on płaci, a nie ja! Jeśli nie widzisz w tym szansy, by wydębić nieco więcej forsy za te twoje gówniane dobra, znaczy, że powinienes już przestać zlizywać musze kupy ze straganu, bo ci na łeb szkodzą!

Kupiec skrzywił się na pokaz i otaksował mnie od stóp do głów.

– Wpierdol, jak widać, ktoś ci już spuścił – rzucił. – To dobrze, bo taki gówniarz jak ty powinien umieć się grzecznie odzywać.

– Umiałem! – odparłem. – Ale za dużo czasu spędzam wśród podobnych tobie degeneratów.

– To co ma być? – spytał, dając do zrozumienia, że etap wstępnych uprzejmości mamy już za sobą.

– Dwa tuziny przepiórczych jaj i kilo karkówki. Najlepszej, jaką masz.

Gdy kończyłem mówić, dobiegł mnie łoskot końskich kopyt na drewnianym moście. Odwróciłem się, podobnie jak wielu innych, i ujrzałem mężczyznę na dostojnym rumaku, który wyjeżdżał właśnie z zamku. Miał na sobie pyszną kolczugę, mieniającą się w promieniach słońca, a surowa mina i dłoń w rękawicy, wsparta na rękojeści miecza, jasno dawały do zrozumienia, że gotów jest w pojedynkę stawić czoło niewielkiej armii.

Za nim podążała konno niewiasta w błękitnej sukni z miną sugerującą, że prędeziej wolałaby umrzeć, niż zsunąć się z siodła i stąpać po tej samej ziemi co pospólstwo, a dalej chłopak z głupkowatą miną i czterech najemników. Orszak bezceremonialnie wbił się w tłum i jał się przedzierać ku otwartej przestrzeni.

Rozpoznałem herb na piersi mężczyzny i tarczach jego siepaczy.

– To ci – burknąłem do Pigwy. – Czarne grono na zielonym polu. Dla nich będę gotować.

Kupiec obrzucił ich obojętnym spojrzeniem.

– Zrazy robisz? – spytał.

– No.

– Dobra – westchnął Pigwa i się odwrócił. – Pilnuj mi interesu, muszę skoczyć do piwnicy.

Zadanie było niełatwe, bo ludzie, chcąc uniknąć stratowania, usuwali się na boki, napierając na stragany. Ten należący do Pigwy zaczął się chwiać i niebezpiecznie trzeszczeć. Jakiś dzban się zakolebał, inny wywrócił, ale zatrzymał się na stojącym za nim. Coś, czego nie widziałem, spadło z trzaskiem.

– Ejże, cofnąć się tam! – zawołałem. – Zaraz tu się wszystko wy...

Spomiędzy stłoczonych ciał wyłoniła się drobna rączka, która zanurzyła się w worku z rodzynkami.

– Zostaw to! – wrzasnąłem. – To nie twoje! Oddawaj, ty...

Nachyliłem się, by pacnąć złodziejaszka po dłoni, i pewnie dlatego nie zobaczyłem tego, co się właśnie wydarzyło. Usłyszałem jedynie przeraźliwe rżenie konia, niemalże niktne pośród jęków przestraszonych przekupniów



i klienteli, a potem kątem oka wychwyciłem jakiś gwałtowny, niecodzienny ruch.

Odwróciłem się w samą porę, by ujrzeć, jak na twarzy hrabiego Gilliana wykwita bezbrzeżny przestach, a jego koń, nadal rżąc, przebiera w powietrzu przednimi nogami. Jeździec desperacko próbował złapać się końskiej grzywy, a potem lęku, ale nie zdołał i rymnął na ziemię z takim impetem, że nad głowy gapiów wzbił się kurz.

Czas się na moment zatrzymał, a ludzie nabrali tchu.

Koń hrabiego prychnął, jakby z ulgą, ale na tym się nie skończyło, bo ni z tego, ni z owego zarżał rumak hrabiny. Zwierzę wspięło się na tylne nogi i po prostu strzepnęło kobietę z siodła, a ta poleciała na spotkanie ziemi z pełnym niedowierzania piskiem.

Zamieszanie przybrało nowe oblicze. Tłum zafalował i zaczął wrzeszczeć, tym bardziej że do dwojga uziemionych arystokratów o mało nie dołączył ich synalek, ubawiony do łez. Hrabiowscy ochroniarze z mieczami w garściach wydzierali się na napierających, hrabia przeklinał, hrabina wciąż piszczła, konie rżały. Ludzie zaś parli do przodu, żądni wrażeń.

Nie powiem, ulżyło mi, bo ścisk wokół straganu nagle zmałał, ale ulga ta nie trwała długo. Kilka chwil później ziścił się bowiem scenariusz o wiele gorszy.

– Ty sukinkocie zapluty! – wycharczał niemiłosiernie ubłocony krasnolud, roztrącając gapiów. – Ty chamie bez krzty kultury! Prosiłem, żebyś się zatrzymał, a ty co? Myślisz, że tak łatwo się wyczłgać z błota? Ja rozumiem, że sam nie chciałeś się ufajdać, ale żeby chociaż ręki nie podać?

Na twarzach kilkorga najbliższej stojących świadków pojawiła się surowa przygana, której obiektem – nie miałem wątpliwości – byłem ja. Rozłożyłem ręce, chcąc wytłumaczyć nieporozumienie, ale brodacz nie dał mi dojść do słowa.

– A masz! – ryknął. Wczepił się lewą ręką w mój mundur, a prawą zdzielił mnie ile sił w gębę.

Fachowo, trzeba przyznać. Przed oczami zamigotały mi gwiazdy i zarejestrowałem tylko tyle, że lecę do tyłu, a potem wyrznąłem plecami o ziemię. Nad moją głową przemknęło podkute kopyto, skądś dobiegały wściekle przekleństwa, ale

mnie interesował tylko obłąkany krasnolud, który – zgodnie z moimi najgorszymi obawami – już pędził prosto na mnie. Plując, charcząc i strzelając naokoło drobinkami błota, zwałił się na mnie z impetem i gracją worka kamieni.

– Ani się rusz! – wyrzeźił, łapiąc mnie za kołnierz. – Póki ci porządnie nie wpier...

W takiej sytuacji mogłem już zrobić tylko jedno.

Z całej siły wpakowałem mu kolano w przyrodzenie.

Dziki ryk, jaki poniósł się nad dachami Koziegobrodu, okazał się oficjalnym dowodem na to, że krasnoludy, wbrew plotkom, jednak mają genitalia tam, gdzie ludzie. Dla mnie jednak ów ryk stał się zwiastunem zdarzeń, przy których apopleksja pułkownika Drusta wydawała się równie niegroźna jak pijacka czkawka.

Na skutek działania sił, których przenigdy nie zrozumieję, przerzuciłem krasnoluda kopniakiem nad moją głowę tak, że ten grzmotnął ciężkimi, ubłoconymi buciorami prosto w głowę hrabiego Gilliana. Wyjący z bólu i wściekłości krasnolud przeturlał się w bok, poderwał, potoczył dookoła półprzytomnym spojrzeniem, po czym dostrzegł oszołomionego hrabiego gramolącego się z ziemi.

I zacisnął pięści.

Nie miałem absolutnie żadnego powodu, by opowiadać się po stronie tego oszalałego z wściekłości knypka, ale nawet on nie zasługiwał na to, by stać się ofiarą zemsty urażonego arystokraty.

Niewiele się namyślając, skoczyłem prosto na krasnoluda i wpadłem na niego, nim ten zdążył się rzucić do szarży. Przewróciłem go na ziemię, przygniotłem własnym ciałem i z całej siły grzmotnąłem w głowę. Krasnolud wybałuszył oczy i bełkotliwie zagroził przerżnięciem wszystkich niewiast w moim rodzie, ale moją uwagę przyciągnął narastający tumult.

Odwróciłem się.

Najwidoczniej cios krasnoludzkim buciorem okazał się dla hrabiego nie lada wstrząsem, a moje nagłe pojawienie się w jego polu widzenia zaskoczyło go bez reszty, bo zamachał rozpaczliwie rękami i runął do tyłu. Prosto na podnoszącą się, lamentującą małżonkę.

Ich syn śmiał się tak bardzo, że w końcu puścił siodło i zleciał na ziemię, gdzie próbowali się dźwignąć jego rodziciele.

Uniosłem wzrok, zdjęty nagłym przeczuciem.

– Wiejemy! – zakomenderowałem.

Nad głowami ubawionych gapiów zakołysały się halabardy straży miejskiej, co tylko spotęgowało moją grozę.

– Nigdzie, kurwa, nie idziesz! – wycedził krasnolud, który znajdował się pode mną i nie mógł poprawnie ocenić sytuacji. – Tym razem cię trzymam i nie puszcze!

Wpił łapska w mój mundur.

– Nie puszcze! – powtórzył z obłąkańczym chichotem.

– Straż! – wrzasnąłem. – Nadciaga...

Nie dokończyłem, bo przywalił mi tak, że aż świat się zakołysał, a gdy się uspokoił, rolę bijących przejęli strażnicy.

– Ale ja jestem pułkowym kwatermistrzem! I kucharzem! I mam obiad do ugotowania, bo pan pułkownik... – jęknąłem, jednak oczywiście nikt mnie nie usłyszał.

\*

Mój dziadek Edgar zwykł mawiać, że są takie dni, kiedy Dola całymi godzinami próbuje się wysmarkać i tak ją to pochłania, że zupełnie o nas zapomina. Nie miałem wątpliwości, że to właśnie jeden z owych dni. Mój rzekomy awans mógł na mnie ściągnąć burzę z piorunami dosłownie w każdej chwili – wystarczyłoby wszak źle dobrana przyprawa, by pułkownik Drust wpadł szal – ale teraz, gdy wdałem się w uliczną bijatykę z pułkownikowymi gośćmi, w zasadzie mogłem zacząć spisywać testament. Zacisnąłem pięści na zardzewiałej kratce aresztu i ciężko westchnąłem.

– A to wszystko to twoja wina – oświadczył krasnolud.

Jasne. Przecież zawsze może być gorzej.

Powoli odwróciłem się ku sprawcy mojego nieszczęścia. Krasnolud, umazany pyłem i zaschniętym błotem, rozczochrany, zakrwawiony, ale najwyraźniej pogodzony z losem, wytrząsał sobie kamyk z buta.

– Że co? – wychrypiałem.

– Twoja wina – powtórzył krasnolud. – Trzeba było ustąpić mi miejsca, gdy przechodziliśmy przez most. A potem, jak już popełniłeś ten błąd, przynajmniej nie trzeba było uciekać. I pomóc mi wyleźć z błota.

– Żebyś mógł mi w spokoju nakłaść po gębie? – spytałem z niedowierzaniem.

– Jasne. – Krasnolud spojrział na mnie jak na głupka. – A niby dlaczego?

Zrobiło mi się gorąco i odruchowo zacisnąłem pięści, a jedna z ostatnich przytomnych myśli podpowiedziała mi, że przyłożenie temu aroganckiemu dupkowi w żaden sposób nie zdoła pogorszyć mojej sytuacji.

– A niby jakim prawem to ja miałem ustąpić ci drogi? – spytałem głucho.

– Bo cię grzecznie poprosiłem.

– Tak? – Pociemniało mi przed oczami. – O ile dobrze pamiętam, rozdarłeś się: „Spierdalaj, bo idę” czy coś w tym guście, a potem rzuciłeś się z łapami. Ani to grzeczne, krasnoludzie, ani nie przypomina prośby!

– Patrzcie go, jaki wrażliwy – prychnął brodac.

– A poza tym wszystkim – postąpiłem krok ku niemu – to nie jesteś u siebie. Jesteś u nas!

– U was? – W zmrużonych oczach krasnoluda zamigotała drwina. – Czyli gdzie? W którym z tych nieszczęsnych ochłapów po królestwie, co to nawet w czasach swej świetności rozmiarami przypominało podwórko przed knajpą?

Celnie uderzył, przyznam, i moja słuszna furia nieco ostygła. Moim ojczystym królestwem, zwanym kiedyś Dolina, od trzech lat targała wściekła wojna domowa, której powodem była naiwność jej ostatniego władcy, króla Rodryka. Dorobiwszy się pokaźnego potomstwa, któremu przekazał typową dla arystokracji drapieżną ambicję oraz brak perspektywicznego myślenia, władca w ostatnich latach swego życia zaczął się bać o los swego królestwa. Nie chcąc, by po jego śmierci doszło do walk między synami, pozostawił po sobie testament, który przydzielił każdemu z nich osobną dzielnicę.

Pierwsze lata po jego śmierci stanowią najlepszy dowód na to, że jedynym sposobem na zapewnienie królestwu pokoju jest większa wstrzemięźliwość seksualna, bo królewskie ustalenia rozsypały się w proch o wiele szybciej niż zwłoki pocziwiny Rodryka i w Dolinie rozgorzała wojna domowa. Na razie walki toczyły się głównie na północy, gdzie księżę Stefan zmagał się ze swym bratem Fryderykiem, wspomaganym ostatnio przez księżnę Yanę. Nasz pułk miał chronić granic południowych przed zakusami księcia Ruperta, ale ten najwyraźniej czekał z interwencją, aż jego bracia i siostry należą się przetrzebią.

– Wśród ludzi – sprecyzowałem najchłodniejszym tonem, na jaki było mnie stać. – I to sprawę zamyka, krasnoludzie. Gdybym znalazł się w twojej ojczyźnie, nie darłbym mordy, by mnie przepuszczono!

– Pewnie, że nie! – Krasnolud wyszczerzył zęby. – Rychło byś bowiem po tej mordzie zebrał, człowieczku. Ciesz się więc, że masz ją jak dotąd w miarę całą, i trzymaj ją na kłódkę, jeśli nie chcesz, by ta wasza lipna wojenka źle się dla was skończyła.

W jego zmrużonych ślepiach pobłyskiwała złośliwa buńczuczność i nagle przypomniały mi się plotki o tym, że księciu Stefanowi udało się nakłonić do współpracy jeden z krasnoludzkich thanatów. Jak dotąd sąsiadujące z rozbitą Doliną państwa – thanaty z Gwiżdżących Gór, goblinie dominium Skri'i oraz leżąca na wschodzie Elfiria – z rozbawieniem przyglądały się zapasom ludzkich księstw, a ich władcy zaczęli udawać, że traktują nas poważnie, dopiero wtedy, gdy mogli coś na naszej wojnie zarobić. Stefan rzekomo wyłożył ogromne pieniądze na zwerbowanie korpusu krasnoludzkich inżynierów, którzy pod Wichrem konstruowali wielkie balisty i katapulty.

Przynajmniej wiedziałem, skąd się wziął ten cholernik, i rozumiałem – przynajmniej częściowo – przyczyny jego buty. Niestety, merytorycznego argumentu do dyskusji jakoś mi to nie dostarczyło.

– W całej tej wojence – wycharczałem – interesuje mnie głównie to, by ją przeżyć w dobrym zdrowiu, a przez ciebie, ty pieprzony kasztanowy ludziku, nie wróć na noc do

jednostki! Przez ciebie nie upichcę obiadu dla zasranego pułkownika Drusta i jego nadętych gości i przez ciebie mogę przestać się martwić o karierę, a zacząć przejmować się przeżyciem!

– Nie – odezwał się ktoś. – Nie przez niego.

Kompletnie zapomniałem, że w celi znajduje się ktoś jeszcze. Odwróciłem się zaskoczony i skupiłem spojrzenie na nieogolonym, barczystym mężczyźnie, który siedział w kącie i wpatrywał się we mnie intensywnie. Miał bardzo blisko osadzone oczy, co wywoływało niepokój pogłębiany przez tik nerwowy, raz po raz poruszający prawym policzkiem nieznanego.

– Jeśli chcesz, to spuść mu łomot – dodał. – Chętnie sobie popatrzę, bo nudno tu jak cholera, ale wiedzcie, że w zasadzie winę za to wszystko ponosi ktoś inny.

– Kto? – spytał krasnolud, który wstał i zaciskał pięści, gotów do starcia. W jego głosie pobrzmiwało lekkie rozczarowanie. – Kto taki?

Mężczyzna podniósł się z głuchym stęknieniem i podszedł do zakratowanego okienka.

– Gapienie się przez okno to ostatnio moja jedyna rozrywka – dodał. – Wiele się można w ten sposób dowiedzieć. Zaraz, zaraz, gdzie on jest...

Miejsce, do którego nas wtrącono, w zasadzie nie było więzieniem. Zamkowe lochy, nieprzygotowane na tak gwałtowny rozwój osady, były już wypełnione po brzegi, toteż na areszt zaadaptowano jedną z chat podgrodzia. Owa adaptacja polegała z grubsza na przedzieleniu głównej izby dwoma ściankami z mocnego drewna, dzięki czemu powstały w niej dwa mniejsze pomieszczenia z korytarzykiem pośrodku, oraz na wstawieniu mocnych krat w okno. Mielśmy dzięki temu niezły widok na gwarną, tłoczną ulicę skąpaną w promieniach popołudniowego słońca. Stałem za plecami współwięźnia i po chwili dojrzałem stragan Pigwy. Wydawało mi się też, że słyszę jego pokrzykiwania, i nagle szczerze zatęskniłem za życiem, którego nie cierpiełem jeszcze chwilę temu.

– Gdzie on się, cholera, podział... – Współwięzień mrużył swe niepokojące oczy i wypatrywał czegoś, o czym wiedział

tylko on. – Zaraz, zaraz... O, jest! Widzicie?

– Kogo? – spytałem zaintrygowany. – Kogo mam szukać?

– Siedzi obok warsztatu powroźniczego. Tam, o! Widzicie tego dziadygę?

Teraz i ja go dojrzałem. Łysy mężczyzna w lichej szacie i połatanych sandałach siedział pod ścianą chaty powroźnika i rozglądał się uważnie. Tym razem miał przy sobie żebraczą misę, ale nie widziałem, by nagabywał przechodniów. Odniosłem przelotne wrażenie, że patrzy prosto na nas, ale na jego oblicze padły promienie słońca i nie mogłem mieć pewności.

– On? – zdziwiłem się. – Przecież to jakiś dziad proszalny!

– Chce, żebyś tak myślał – zaśmiał się współwzięń. – Dobrze się, gagatek, maskuje, bo po prawdzie to szaman czy zamawiacz, cholera go zresztą wie. Osobliwie zaś cięty na wysoko urodzonych. Za każdym razem, gdy przejeżdża któryś z jaśniepanów, dzieje się coś, czego za cholere nie wytłumaczysz. A to któryś w portki się sfajda, że aż echo pójdzie, a to go koń poniesie, a to swędzieć go zaczyna pod zbroją. Jeden kapłan Doli tak zaczął kichać, że z konia zleciał i ząb sobie wybił. Ubaw jak rzadko, mówię wam.

– A skąd wiesz, że to on? – spytałem, wpatrzony w nieznanomego, choć chyba zaczynałem w to wierzyć. Wyraźnie pamiętałem, że potknąłem się o stopy Starego Dziada, jak zacząłem go nazywać w myślach, a ten rzucił: „Nie zasłaniaj mi!”. Co mogłem mu zasłonić?

– Wiem, bo zawsze gdy dzieje się coś dziwnego, ludzie się zlatują jak pszczoły do miodu. Tylko on jeden bierze nogi za pas – oznajmił współwzięń.

– A widzisz – stwierdził krasnolud i pokiwał głową. – Czyli dobrze byłoby jeszcze jemu spuścić łomot.

Wpatrywałem się w ciżbę. Popołudnie z wolna przeradzało się w wieczór, coraz częściej rozbrzmiewały odgłosy zabawy. Gdzieś śpiewano, gdzieś się kłócono, skądś dobiegały gromkie rechoty przecinane rozbawionymi piskami kobiet, a niektórzy straganiarze zwijali już interes. Powietrze stygło i stawało się wonne, a ja z ponurą rozpaczą wyobraziłem sobie pułkownika Drusta, który przechadza się po swoim

namiocie z gębą czerwoną ze złości i zastanawia się, gdzie, na Dole, podział się jego pieprzony kucharz.

Osunąłem się po ścianie i usiadłem na polepie, zgoła nie dbając już o stan munduru. Spojrzałem niechętnie na krasnoluda.

– Nie przywiązywałbym się do planów na przyszłość – powiedziałem. – Bo posiedzisz tu, chłopie, i to długo.

– Ja? – Krasnolud znów usiadł i zaczął wytrzępywać kamyk z drugiego buta. – A czemu?

– A temu – patrzyłem na niego wzrokiem zarezerwowanym dla bystrych inaczej – że przywaliłeś buciarami w nadętego hrabiego na oczach połowy mieszkańców tej wioski. I jestem przekonany, że tylko to sobie nasz pan hrabia zapamiętał. Nie będzie łączył tego zdarzenia z nieposłuszeństwem konia czy też z jakimś pieprzonym Starym Dziadem, ale z tobą. A to – uniosłem palec, widząc, że krasnolud chce coś powiedzieć – że włości owego hrabiego to zapewne trzy liche wioski pośród zadżumionego bagna, akurat przemawia na twoją niekorzyść, bo jaśnie pan hrabia tym bardziej będzie chciał odzyskać twarz.

– To akurat mam w dupie – oświadczył mój rozmówca, przystępując do oczyszczania brody z grudek błota. – Bo muszę się jako tako doprowadzić do porządku, a potem się stąd wynoszę. Ma któryś grzebień?

– Że co? – Wybałuszyłem oczy z niedowierzaniem.

Jak dotąd wiele wskazywało na to, że krasnolud ma coś z głową, a tych kilka razy, które przyjął podczas obu naszych bójek, mogło ten stan tylko pogorszyć. Z drugiej strony o umiejętnościach i talentach krasnoludów krążyły niesamowite opowieści, co z pewnością skłoniło księcia Stefana do zatrudnienia krasnoludzkich inżynierów. Może więc mój tajemniczy, acz nie do końca poczytalny towarzysz w istocie miał jakiegoś asa w rękawie?

I może, jeśli będę wobec niego miły, jednak zdamę do jednostki, by ugotować obiad?

Krasnolud splunął sobie na dłonie i przystąpił do przyglądania zwichrzonych włosów.

– Czyli – zagaił po chwili – grzebienia nikt jednak nie ma?



– Wynosisz się, tak? – zainteresował się mój towarzysz niedoli i usiadł obok niego. – On jest walnięty czy na serio gada? – szepnął do mnie, korzystając z tego, że ulicą Koziegobrodu prowadzono teraz tabun koni przy akompaniamencie pokrzykiwań koniuchów.

– Chyba na serio – mruknąłem. – Czyli walnięty.

Mój towarzysz podniósł się i zerknął przez okno.

– Piękne – mruknął. – Do Stefanowej konnicy, zaraza. To co? – Ukucnął i spojrzał przenikliwie na krasnoluda. – Jak sobie umyśliłeś tę ucieczkę? Tunel chcesz kopać? Przez ścianę się przebijać? Kraty sobie podaruj, bo mocno, juchy, zamocowali.

– Ucieczkę? – Krasnolud spojrzał na niego z niedowierzaniem. – Ale gdzie tam, chłopie. Ja mam, proszę ciebie, immunitet!

– Co? – Mężczyzna poderwał się z miejsca. – Co masz? Jaki, kurwa, impugnitet? Teraz mówisz? Jak to się przenosi? Tak jak trąd czy od smarkania?

Spojrzał na mnie z paniką w oczach i odskoczył.

– Dotykałeś go? Jasne, że go dotykałeś, przecież się z nim biłeś! Na Dołę, już po mnie, już po mnie!

Mamrocząc i biadoląc, wtulił się w kąć chaty, gdzie zaczął otrzępywać sobie ubranie i trzeć dłońmi o bielone ściany. Przyglądaliśmy mu się z krasnoludem z rozbawieniem i politowaniem.

– Immunitet – powiedziałem powoli – to słowo oznaczające nietykalność. Serio? – To ostatnie słowo skierowałem do krasnoluda, który westchnął ciężko, poprawił kubrak i załomotał do drzwi.

– Z waszym dowódcą chcę się widzieć! – ryknął, aż z sufitu posypały się paprochy. – I to natychmiast!

\*

W sens krasnoludzkiego zamysłu zwątpiłem, gdy tylko przypomniałem sobie, kto dowodzi strażą Koziegobrodu. Władztwo księcia Stefana wielkie nie było i jego werbownicy powołali pod broń w zasadzie każdego, kto umiał nią władać albo też mógł się tej sztuki szybko nauczyć. Do jakże ważnej

funkcji pilnowania publicznego porządku przekierowano więc niejakiemu Baryłę, człowieka o mocno ograniczonym potencjale intelektualnym i niemalże zerowych umiejętnościach społecznych, za to wielkim zapale do pacyfikowania wszystkiego, co ucieka. Pod swoje rozkazy dostał kilku podobnych sobie tytanów intelektu, w sumie z niemałą korzyścią dla porządku publicznego, bo straż zbiegała się do każdego zamieszania i tłukła wszystkich po równo.

Problemy się zaczynały, gdy przed strażą pojawiała się wyzwanie intelektualne.

Krasnolud raz jeszcze nabrał tchu i ze świstem wypuścił powietrze przez zęby, a potem spojrzął na Baryłę, który stał w wejściu i gapił się na niego, mrużąc oczy. Samo to, że wkroczył do celi z trzema potencjalnymi przestępcami, już źle świadczyło o jego zdrowym rozsądku, ale nie chciałem zwracać na to uwagi krasnoludowi. Wciąż miałem bowiem nadzieję, że i ja dzięki jego zabiegom zdołam się wyrwać z aresztu.

– To jeszcze raz – powtórzył krasnolud powoli i wyraźnie. – Nazywam się Gramm syn Triska i jestem sierżantem Ekspedycyjnego Korpusu Inżynieryjnego, który wspiera księcia Stefana w wysiłku wojennym. Jak do tej pory wszystko jasne?

Baryła przytaknął, ale nie przestawał przy tym poruszać ustami, jakby powtarzał w głowie usłyszane słowa.

– Teraz przechodzimy do najważniejszego elementu, więc się skup – podjął Gramm syn Triska. – Zagwarantowano. Nam. Immunitet. Czyli nietykalność. Nie żebyśmy od razu chcieli u was broić, ale nasz than postanowił nas zabezpieczyć przed nietolerancją. Bo co jak co, ale szacunku dla innych to trzeba was długo uczyć. Rozumiesz?

Baryła znów przytaknął, tym razem parokrotnie.

– A więc masz mnie wypuścić – rzekł Gramm. – Bo czeka cię incydent dyplomatyczny. Wiesz, co to incydent?

Baryła wzdrygnął szerokimi ramionami, co znaczyło, że albo wie to bardzo dobrze, albo wręcz przeciwnie. Krasnolud nabrał tchu, ani chybi szykując się do zaznajomienia go

z tematem, więc wykorzystałem okazję i gładko wtrąciłem się do rozmowy:

– Ja zaś nazywam się Edmund syn Edvarda i jestem kucha... głównym kwatermistrzem Dziesiątego Pułku Piechoty – oświadczyłem. – Mój dowódca czeka na swój obiad, a to dla niego niezwykle ważna sprawa. A zraziki chciałem zrobić. Wiesz, co się wydarzy, jeśli będzie musiał za długo czekać na swoje zraziki?

Baryła zwrócił na mnie przyciężkawe spojrzenie, a w jego maślanych oczach zamigotały iskierki zrozumienia, co potwierdzało, że kwestie posiłków są mu o wiele bliższe od dyplomacji.

– A ja nazywam się Toyhan – odezwał się nieoczekiwanie nasz towarzysz, mierząc wzrokiem dowódcę straży – i też pracuję dla księcia. Naprawdę nie chcesz, by się dowiedział, że mi przeszkodziłeś.

Zerknąłem na niego zaintrygowany, ale nie mogłem mu poświęcić większej uwagi, bo Baryła zdążył przetrwać część przekazanych mu informacji i dojść do wniosku, którego się najbardziej obawiałem – a mianowicie że on tu jest najważniejszą osobą i jesteśmy zdani na jego łaskę.

Z narastającą zgrozą patrzyłem, jak wciąga powietrze, a jego policzki przybierają odcień głębokiej purpury. Prychnął głośno, położył łapska na biodrach i jeszcze bardziej ściągnął brwi, a potem na jego obliczu rozlała się bezbrzeżna wzgarda.

– Wy pierdolo... – zaczął, ale przerwało mu pacnięcie w ramię.

Odwrócił się z niechęcią, a wtedy wszyscy ujrzeliśmy jednego z członków straży. Mężczyzna wyszeptał parę słów do ucha dowódcy, a Baryła gwałtownie się wyprostował.

– Naprawdę? – burknął.

Strażnik pokiwał głową, na co Baryła westchnął głucho, odwrócił się ku nam i machnął łapą.

– Won stąd. Wszyscy trzej.

Wyprysnąłem z zaimprovizowanej celi, jakby się paliło, i nie zwolniłem aż do chwili, gdy znalazłem się za rogiem kolejnej chaty. Toyhan przypadł do ściany obok mnie i odetchnął z ulgą.

– Myślałem, że nigdy się stamtąd nie wydostanę! – sapnął i przetarł czoło. – Sama Dola was chyba zesłała, bo... No, nieważne.

Robiło się już ciemno, mimo to widziałem, że świdruje mnie tym samym wzrokiem, którym tak zaniepokoił mnie w celi.

– Słuchaj – zaczął cichym głosem, w którym poufałość mieszała się z przezornością. – Serio jesteś kwatermistrzem w dziesiątym?

– Serio – przytaknąłem z ociąganiem. – A co?

– Bo ja – Toyhan przewrócił oczami – tak jakby robię interesy z kwatermistrzami.

Zrobiło mi się trochę nieswojo, i to wcale nie dlatego że w sumie już nie piastowałem tej funkcji. A właściwie, wbrew temu, co przez cały czas próbowałem sobie wmówić, nie piastowałem jej nigdy. Kucharzem byłem i odpowiadałem za zaopatrzenie w żywność, a to trochę za mało, by móc się uważać za kwatermistrza.

– A co to za interesy, jeśli wolno wiedzieć? – spytałem nieufnie.

– Różne takie tam. – Mimo zapadającego zmierzchu widziałem, że tik nerwowy mojego rozmówcy wyraźnie się uaktywnił. – Mam kupca za rzeką, który... no, skupuje pewne dobra. Poniżej cen rynkowych, jasna sprawa, ale nie ma co narzekać. Sam wiesz, jak jest. Gdyby coś należało do mnie, tobym się targował, ale na majątku jego książęcej mości trudno stracić, co nie?

Zaśmiał się sztucznie i rozejrzał uważnie, dzięki czemu nie zauważył, że rozdziawiłem usta. Wiedziałem, że istnieje podobny proceder, i raz czy drugi musiałem już improwizować nad kotłem, bo jakieś szumowiny zwędziły skrzynię z przyprawami czy warzywami, ale jak dotąd nigdy nie spotkałem nikogo, kto by się tym zajmował.

– No to jak? – mruknął Toyhan i znów wbił we mnie spojrzenie, które z jakiegoś powodu stało się jeszcze bardziej

nieprzyjemne. – Wchodzisz w to? Obrrotny jesteś gość, to widać, a groszem na pewno nie śmierdzisz. Co tam się wala u was w dziesiątym, co? Bełty? Kusze? Tarcze? Włócznie? A może beczki z winem z wozu czasem spadają, co?

Milczałem, starając się nie okazać zaskoczenia.

– Nie rób takiej wystraszonej miny, człowieku – prychnął złodziej. – Przecież ja cię do żadnej zbrodni nie namawiam. Bo od kiedy podpieprzenie czegoś z magazynu jego książęcej mości to jakieś znowu wielkie przestępstwo, co? Wystarczy, jak cynk zawczasu dasz, skrzynię do rowu zrzucisz, drzwi do magazynu uchylisz... Nic takiego, chłopie. Każdy by podolał, a co dopiero taki łebski gość jak ty.

– Won – wykrztusiłem. – Wynoś się, pókim dobry.

Toyhan milczał przez moment, zbierając myśli.

– Coś podobnego. – powiedział w końcu, krzywiąc się nieprzyjemnie. – Coś od ciebie załatywało, ale myślałem, że to nieprane onuce, a nie uczciwość. Ty, popatrz tylko na tego.

Wychyliłem się zza rogu chaty w ślad za złodziejem. W drzwiach, przez które półtorej godziny temu wciągnęła nas straż, stanął teraz Gramm syn Triska, który otrzepał kubrak i powoli, niespiesznie, spacerowym wręcz krokiem wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się, a potem skierował prosto ku głównej ulicy osady, na której panował już całkiem zabawowy nastrój.

– Zwariował? – syknąłem. – Gdzie on idzie? Założę się, że ludzie hrabiego tylko na niego czekają!

Spojrzałem za siebie, ale Toyhan znikł. Po prostu wyparował.

Pokręciłem głową i w duchu przekląłem się za naiwność, ale widok krasnoluda, który szedł prosto w stronę ludzkiej rzeki, poruszył mnie do głębi. Nie miałem żadnych powodów, by czuć do niego sympatię, lecz przecież pomógł mi się wyrwać z aresztu. Niewiele się zastanawiając, przypadłem do niego i złapałem go za ramię.

– Stój! – syknąłem mu nad uchem.

– A, to ty? – odezwał się krasnolud. – Fajno. Chodź, poszukamy tego dziadygi.

– Po co? – jęknąłem, spoglądając na tłum kłębiący się na ulicy.

Największy ścisk panował przed knajpą, ale po przeciwnej stronie ulicy przygrywała jakaś zaimprovizowana kapela, a tańczący, w większości już podchmieleni, wzbijali w powietrze tumany kurzu. Wokół chat siedzieli amatorzy gry w karty i w kości, a w cieniach za nimi brały się do pracy przedstawicielki najstarszego zawodu świata. Gdzieś rżały konie, opasły gawędziarz wprawiał tłum słuchaczy w paroksyzmy śmiechu, ktoś pijackim głosem nawoływał niejaką Lubinkę i przepraszał ją za wszystko, co zrobił, ktoś inny rzygał donośnie przy brawach kompanów.

Nigdzie nie widziałem Starego Dziada. Nigdzie też nie dostrzegłem sług hrabiego Gilliana, ale wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, aż ktoś nas przyuważy. Wszak nietrudno jest wypatrzeć krasnoluda w ludzkim tłumie, zwłaszcza tak rozwrzeszczanego jak ów Gramm.

– Jak po co? – zdziwił się krasnolud. – Wpierdol mu trzeba spuścić!

– Nie! – huknąłem ze stanowczością, którą tak naprawdę powinienem był okazać Toyhanowi. – Trzeba się stąd wynosić!

– Czemu? – zdziwił się znów Gramm.

– Bo połowa wioski – wskazałem palcem ciżbę – widziała dzisiaj hrabiego Gilliana w pyle drogi, a postawię rok życia, że ten pyszałek ma ochotę się na tobie zemścić. Każdy z tych ludzi za ćwierć mohina doniesie, że wylazłeś na wolność, a kiedy cię opadną ludzie hrabiego, będziesz mógł sobie swój immunitet w dupę wsadzić!

Krasnolud zmarszczył brwi. Widziałem po jego minie, że rozumie mój punkt widzenia i w zasadzie to się ze mną zgadza, ale honor nie pozwala mu tak po prostu przystać na to, co usłyszał. Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu natchnienia i wtedy mnie zatkało.

Mój koszyczek stał grzecznie obok zwiniętego straganu Pigwy.

Podszedłem do niego ostrożnie, jakbym się bał, że to iluzja, w każdej chwili gotowa rozplynać się w powietrzu. Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło, a gdy zajrzałem do

środką, zobaczyłem dwa tuziny jaj przepiórczych, pół kilo wołowiny, warzywa oraz kilka mieszków przypraw. Pokręciłem głową z niedowierzaniem, a potem zerknąłem na krasnoluda.

– A poza tym – powiedziałem – mogę usmażyć zraziki.

\*

Ogień skwierczał cicho wśród ułożonych w kręgu kamieni. Świerszcze cykały wśród niewidocznych już zarośli, a ja pochylałem się nad patelnią, skupiony na obracaniu zrazów. Wraz z nastaniem nocy wreszcie pojawił się długo wyczekiwany chłód, a zapach zrazów z przyprawami przypomniał mi, że nie jadłem od wielu, wielu godzin.

Byłby to więc moment wprost idealny, gdyby nie...

Cóż, gdyby nie okoliczności.

– Tę patelnię – odezwałem się do krasnoluda – trzeba będzie oddać właścicielowi. Nóż też.

Gramm, który leżał tuż obok z głową wspartą na kamieniu, prychnął cicho, co mogło oznaczać zarówno zgodę, jak i lekceważenie wobec ludzkiej naiwności.

Z oddali dobiegło spokojne, senne rżenie koni. Gdzieś pośród gałęzi pohukiwała sowa.

– Ależ to wszystko popieprzone – odezwał się niespodziewanie Gramm.

– Co konkretnie? – spytałem, nie odwracając się ku niemu. – To, że zaraz zjemy kolację, którą miałem przygotować swemu dowódcy i jego szlachetnie urodzonym gościom? Za co pewnie oberwę tak, że będę marzył o wypróżnianiu latryn i maszerowaniu w pierwszym szeregu na konnicę wroga?

– To też – zgodził się niechętnie krasnolud. – Choć bardziej miałem na myśli to, że... No, jakby ci to powiedzieć...

– Chodzi ci o to, że wpakowałem się w potężne kłopoty, by ocalić ci skórę? – upewniłem się, obracając na patelni mięso skwierczące zraziki. – Czego, jak rozumiem, nie spodziewałyś się po ludziach, istotach tak durnych, że z uporem godnym lepszej sprawy prowadzą wojnę domową?

O władzę nad, jeśli dobrze pamiętam, podwórkiem przed karczmą?

– Że to jest... dziwne – przyznał krasnolud po chwili, a ja odniosłem wrażenie, że nie wykrztusi z siebie niczego, co bardziej przypominałoby słowo „dziękuję”.

– A nawet bardzo dziwne – stwierdziłem. – Zgadza się. Tak bardzo, że po raz pierwszy w życiu po prostu nie chcę myśleć o jutrze.

Bo nie chciałem. Zaciągając się do armii, obiecałem Sarze, że będę się trzymał z dala od kłopotów. Zawsze wydawało mi się, że kucharczowanie w dużej jednostce to najlepszy sposób, by bezpiecznie przetrwać wojnę i jeszcze nie narazić się przy tym na oskarżenia o tchórzostwo, ale najwidoczniej Dola zaplanowała wobec mnie coś zgoła innego.

Nie miałem pojęcia, jak z tego wybrnąć, bo na wspaniałomyślność pułkownika Drusta raczej nie mogłem liczyć.

– Czemu żeś to zrobił? – odezwał się krasnolud, który usiadł i wpatrywał się we mnie badawczo. – Czemu sam nie dałeś dyla? Czemu ryzykujesz, żeby mi uratować skórę, co? Czyżbym tak ci przywalił, że ci się we łbie pomieszało?

– Nie wiem. – Pokręciłem głową, ale niespodziewanie poczułem, jak narasta we mnie gniew, który rozjaśnił mi myśli. I już znałem odpowiedź. – Bo nie mam żadnego powodu, żeby im sprzyjać – powiedziałem.

– Im? – zdziwił się krasnolud. – Jakim im?

– Książętom. Hrabiom, diukom, baronom i całej reszcie nierobów, która nigdy w życiu nie usmażyła sobie jajeczniczy i potrzebowałyby służącego, by obrać głupią marchewkę – wycedziłem, potrząsając patelnią. – Wiesz, w zasadzie nie mam niż przeciwko rywalizacji o to, kto ma dłuższego kutasa, ale wolałbym, by synowie naszego króla nieboszczyka załatwili to jakoś między sobą. Wcielanie setki młodych ludzi do wojska i puszczanie ich na siebie tylko po to, by ustalić, kto ma prawo do zarządzania tym pierdolnikiem, to zwykła podłość. A ile upraw zostanie zdeptanych? Ile chat spalonych? Ile interesów zrujnowanych?



Uniosłem wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu i przez chwilę wsłuchiwałem się w śpiew świerszczy.

– Mam matkę, która prowadzi karczmę, w sumie niedaleko stąd – powiedziałem. – Mam żonę i trzyletnią córeczkę. Mam do czego wracać, mam po co żyć, a cała ta pieprzona wojenka – machnąłem ręką w bliżej niesprecyzowanym kierunku – to największe świństwo, jakie nasi szlachetni władcy mogli nam zafundować. I na samą myśl o tym, że któryś z tych gnojów miałby skrzywdzić niewinnego człowieka tylko dlatego, że ten przypadkowo zranił jego pocerowaną, wyliniałą, przerdzewiałą dumę, trafia mnie szlag! – Urwałem, by nabrać tchu. – Nawet jeśli owym niewinnym człowiekiem jest krasnolud. I to niezły kutas.

– No, kutas – bąknął Gramm. – Trochę.

A więc się myliłem. Jednak miał do siebie trochę więcej dystansu, niż sądziłem.

– Najgorsze zaś jest to, że na wysoko urodzonych nie ma sposobu – ciągnąłem, mieszając zrazy. – Ktoś taki jak ja nie jest w stanie walczyć z kimś takim jak oni, głównie dlatego że nie ma zbrojnych hufców na zawołanie. Na szczęście mój dziad Edgar podzielił się ze mną pewną wartościową myślą. „Jeśli coś cię wkurza – mawiał – i nic nie możesz na to poradzić, spróbuj przynajmniej na tym zarobić”. No więc zarabiam. W karczmie mamy osobne menu dla szlachty.

Krasnolud parsknął śmiechem i pokręcił głową. Milczał przez dłuższą chwilę, a potem spojrzął na mnie i bąknął z ociąganiem:

– Dobra, to ci coś powiem. Wiesz, że... No, że nie mam żadnego immunitetu?

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Nie? Popatrz. A tak przekonująco żeś gadał. Czyli wasi inżynierowie nic jednak ze Stefanem nie ugrali?

– Ugrali – przyznał niechętnie Gramm. – Mają immunitet i całą taczkę przywilejów, ale te zastrzeżone są dla wyższych szarż i dla samego sztabu planowego. Dla takich jak ja nie ma nic poza gwarancją zatrudnienia i dwoma posiłkami dziennie. Chyba dwoma.

Słuchałem go z uwagą. Z tego, co wiedziałem, krasnoludzki korpus inżynieryjny stacjonował na północy Wichrowin,

a budowane przezeń maszyny wspierały księcia Stefana w walce z bratem Fryderykiem. My zaś znajdowaliśmy się na południu, wiele mil od frontu strefy walk. Jak dotąd nie zadałem sobie pytania, co takiego mój przygodny znajomy w ogóle robi w okolicach Koziegobrodu.

Gramm musiał dojrzeć, że nad czymś się zastanawiam, bo stwierdził:

– Niewiele wiesz o krasnoludach, prawda?

– Niewiele – przyznałem.

Przed wojną domową przedstawiciele tego plemienia widywało się w Dolinie częściej, to jasne. Czasami zachodzili całymi gromadami do Gryfa, gdzie jedli, śpiewali, prezentowali magiczne sztuczki lub zmyślne zabawki. Gdy dorosłem, przekonałem się, że w Dolinie mało kto darzy ich sympatią. Towary krasnoludzkich rzemieślników nierzadko górowały jakością nad naszymi, przez co były o wiele droższe, a umiejscowienie sadyb w Gwiżdżących Górach pozwalało im spoglądać na sprawy Doliny z pobłażliwością i lekceważeniem. Do tego od wieków władali archipelagiem zwanym Paszczką, co dawało im sposobność inkasowania ogromnych ceł od każdego, kto chciał wypłynąć z Dymu, największego portu Doliny. Moi rodacy przeważnie uważali więc każdego krasnoluda za aroganckiego wydrwigrosza, a Gramm jak dotąd nie zrobił wiele, by temu stereotypowi zaprzeczyć.

Opowiadano jednakże o krasnoludach wiele innych rzeczy, a w część z tych historii trudno było uwierzyć. Nagle uświadomiłem sobie, że stoję przed szansą, by dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczym plemienu z Gwiżdżących Gór.

– Główna różnica między wami a nami polega na tym – zaczął Gramm – że człowiek na ogół umiera tym, kim się urodził. Może mało o was wiem, ale chyba nie zdarza się u was, by prosty chłop zasiadł gdzieś na tronie, co? U nas jest inaczej. Jesteśmy cenieni nie za to, kim się urodzimy, ale za to, co robimy. Tu, w Dolinie, wszyscy nas mają za górników, inżynierów i rzemieślników, ale tak naprawdę najwyżej cenimy rolników i hodowców. Tak, właśnie tak – przytaknął, widząc moje zaskoczone spojrzenie. – Nie masz

pojęcia, jak ciężko jest coś wyhodować na naszych halach, a żreć przecież trzeba, no nie?

– No tak – bąknąłem.

– Ktoś, kto ma łeb na karku, umie słuchać i nie boi się pracować, może się zająć dosłownie tym, czym chce. Chcesz zostać rolnikiem, szukasz takiego, kto uczy cię fachu, i po krzyku. Chcesz zostać inżynierem? Nie ma problemu, pod warunkiem że umiesz liczyć, rysować, masz trochę wyobraźni i kilka lat na naukę. Wyjątkiem są tylko czarodzieje.

Znieruchomiałem, co Gramm natychmiast zauważył, bo uśmiechnął się kpiąco.

– No tak. Chwilowo zapomniałem, z kim rozmawiam – prychnął i uniósł wzrok ku gwiazdom. – Wiem, że tu, w Dolinie, boicie się magii jak przeciągów, ale moc czarodziejska, wyobraź sobie, nie jest niczym złym. To talent, być może nieco potężniejszy od umiejętności śpiewania czy projektowania mostów, ale wciąż tylko talent, i to pożyteczny, z czego być może już zdaliście sobie sprawę.

Oczywiście rozumiałem aluzję. Kilka lat przed moim urodzeniem król Rotgier, ojciec Rodryka, z poduszczenia kapłanów Doli ogłosił magię złem wcielonym, po czym wydał wojnę tym, którzy ją uprawiali. Mogłem się tylko cieszyć, że nie pamiętam tamtych ponurych czasów.

– Problem z magią – ciągnął krasnolud – leży w tym, że w przeciwieństwie do każdego innego talentu niestety jest dziedziczna. Każde plemię Doliny czaruje bądź, w waszym przypadku, czarowało w inny sposób. Elfy uwalniają moc przez śpiew, gobliny przez odpowiednie gesty, a my przez długotrwałą medytację, ale by móc z owej mocy skorzystać, trzeba najpierw ją mieć. A ja akurat jej nie mam.

Krótkie zdanie, które zwieńczyło wywód krasnoluda, było dla mnie prawdziwym zaskoczeniem.

– Tradycją mego rodu zawsze była astrologia i przepowiadanie przyszłości – podjął Gramm po chwili, wpatrzony w niebo. – W sumie nic dziwnego, gdy mieszkasz wśród szczytów, a więc blisko gwiazd. Co więcej, dzieci w naszym rodzie zawsze przychodziły na świat z odrobiną mocy. Nie mogłyby co prawda wzrokiem ciosać bryły granitu,

ale wystarczało jej, by w gwiazdach, układzie chmur czy mocy wiatru ujrzeć wizje przyszłości. Można było w ten sposób sporo zarobić – Gramm uśmiechnął się krzywo – bo kto nie chciałby się dowiedzieć, co go czeka, ale mój dziad uznał, że to niebezpieczna wiedza i nie można się z nią afiszować. Narzucił nam wszystkim zasady, w myśl których mogliśmy się dzielić ze światem tylko tymi wizjami, od których zależała przyszłość thanatu. Nie zabronił nam natomiast sięgania po wizje dla własnych spraw.

– Wartościowa umiejętność – bąknąłem.

– Żebyś wiedział. Mój wuj dorobił się na frachcie morskim, matka zbiła fortunę na handlu skórą, a ojciec – tu krasnolud się skrzywił – stał się wybitnym dowódcą wojskowym. Każde z nich, rzecz jasna, sięgało po wróżenie, gdy tylko mogło, bo w sumie czemu nie. Ruszysz wpływ przez rzekę, gdy będziesz mógł zasiać w łodzi?

– No nie – przytaknąłem. – A ty? Jaka... eee... karierę dla siebie wybrałeś?

– Kariere! – prychnął krasnolud i rozłożył szerokie ramiona. – Ja nie mam ani cienia mocy. Ani odrobiny! W innej rodzinie zapewne nie byłby to wielki problem, bo dwie ręce mam i roboty się nie boję, ale przez moją rodzinę zostałem uznany za dziwadło, bez mała kalekę. Robiłem wszystko, by zyskać akceptację ojca – mówił coraz szybciej, z wyraźnym żalem. – Skończyłem szkołę, tyrałem przy mostach i fortyfikacjach, odbyłem staż w wojsku, choć tam biorą tylko półgłówków, przez krótki czas nawet w marynarce służyłem i dupa! Nadal traktował mnie jak coś niedokończonego. Mógłbym staremu przykowi cisnąć pod nogi kufer ze skarbami, a i tak uznałby, że jestem nieudacznikiem. Choć forszę pewnie by zabrał.

– I tak oto trafiłeś do tego całego korpusu? – domyśliłem się.

– Zaciągnąłem się, gdy tylko się o nim dowiedziałem – przyznał Gramm. – Pomyślałem sobie, że warto odetchnąć świeższym powietrzem, choćby i wśród ludzi. Niestety, gównu mi to dało, bo mój stary chyba zdążył zamienić parę słów z szefem korpusu i przekazał mu co nieco na mój temat, dzięki czemu moje obowiązki nie wyszły poza kopanie latryn,

rabanie drewna i smołowanie machin. Pieprzę taką robotę. Niech sobie ludzi do tego wynajmują.

Pomyślałem o swoim ojcu, ponurym, zawziętym człowieku, który ani na moment nie przestał się obawiać, że ktoś kiedyś przyjdzie odebrać mu majątek. Zaangażował więc wszystkie siły, ogromne środki i większość życia w próby zamienienia rodzinnej karczmy w twierdzę, co nie skończyło się najlepiej, bo pieniądze szybko się wyczerpały, karczma twierdzą się nie stała, a wśród podróżnych rozniosła się wieść, że w Gryfie lepiej się nie stołować, bo szef woli kielnię od chochli. Ja zaś pod surowym okiem ojca nabyłem podstawowe umiejętności murarskie oraz wypracowałem sobie szczerą do nich nienawiść. Tak, wiedziałem co nieco o ojcach owładniętych dzikimi, trudnymi do zrozumienia ideami.

W tej sytuacji mogłem powiedzieć tylko jedno:

– Zraziki chyba będą już gotowe.

Jedliśmy rękami, bo Gramm nie pomyślał, by gwizdnąć również talerze czy sztućce, i poparzyliśmy sobie palce, ale żadnemu z nas jakoś to nie przeszkadzało. Na długą, błogą chwilę do pieśni świerszczy, cichego trzaskania płomieni i odległego rżenia koni dołączyło mlaskanie i ciamkanie dwóch kompanów, których połączył kaprys Doli.

Zraziki wyszły świetnie, nie chwaląc się, do tego stopnia, że ich smak przytępił mi wszystkie inne zmysły i chyba również zdrowy rozsądek. To pewnie dlatego odrobinę za późno zdałem sobie sprawę, że ziemia drży od łomotu kopyt. Uniosłem głowę, odruchowo wycierając dłonie w mundur, i zamarłem.

Jeździec wrył rumaka kilka kroków od nas i odwrócił go sprawnie bokiem, zapewne po to, móc wycelować w nas ostrze włóczni. Rdzawy blask płomieni ogniska migotał na jego wypolerowanym napierśniku i wspaniałym hełmie, na którym powiewała jasna kita. Twarz, choć ledwie widoczna, wydała mi się podejrzanie znajoma, a to obudziło we mnie nieprzyjemnie złe przeczucia.

– Wiedziałem, że daleko nie uciekniesz – zagrzmiał przybysz.

Zatkało mnie.

– Ale... – wyjąkałem. – Ale przecież mnie legalnie wypuszczono. Jestem kwatermistrzem pułkownika Dru...

– I że okażesz się zbyt głupi, by pojąć, jaki błąd popełniłeś, pokurczu! – zagrzymiał jeździec, a ja zrozumiałem, że wcale nie zwraca się do mnie. Zerknąłem w bok i ujrzałem, że Gramm powoli się podnosi, nie spuszczając wzroku z przybysza.

– Wiesz, jaką cenę płaci ten, który splugawi mój honor? – Jeździec zwrócił konia ku krasnoludowi, a ja ujrzałem herb widniejący na jego piersi.

Czarne grono na zielonym polu.

Dopadł nas sam hrabia Maurycy Gillian.

W głowie zakolatała mi pewna myśl, zważywszy na okoliczności, niepokojąco trzeźwa i przytomna. Bo jak dotąd nie poświęciłem ani chwili uwagi okolicznościom wyjścia z aresztu, a zwłaszcza temu, że nim Baryła podjął decyzję, ktoś szepnął mu coś do ucha.

Zrobiło mi się zimno.

– Oczerniłeś mnie i moją rodzinę na oczach setek ludzi, kurdupłu! – syczał hrabia. – Zdajesz sobie sprawę, ile trudu włożyliśmy w to, by wreszcie zaczęto okazywać nam należny szacunek? Ile kosztowało nas zbudowanie tej pozycji? Myślisz, karle, że pozwolę, by jakieś koślawe wynaturzenie znów plwało mi w twarz?

Koń postąpił krok naprzód. Włócznia opadła niżej, mierząc teraz w serce krasnoluda, stojącego ledwie kilka metrów dalej.

– Jam jest Maurycy Gillian! – zawołał ochryple szlachcic. – Słyszałeś nasze miano, prawda, pokurczu?

Stałem bez ruchu, całkiem sparaliżowany strachem i niepewnością, choć w mojej głowie obracały się trybiki. Jego ojciec był mieszczaninem, uzmysłowiłem sobie nagle. Zbił fortunę na tyle dużą, by móc kupić sobie tytuł szlachecki, a potem towary krasnoludzkie wygryzły go z rynku. W spadku zostawił synowi trochę ziemi, wysokie mniemanie o sobie i nienawiść do konkurencji.

W panice spojrzałem na Gramma, który powoli, wyczekująco zaplótł ogromne ramiona na piersi i wpatrywał

się w przybysza z zaintrygowaniem. Jeśli słowa Gilliana wywarły na nim jakieś wrażenie, starannie to ukrył.

Tymczasem rycerz podjechał jeszcze bliżej.

– Dobrze ci radzę, skurwielu – charczał – padnij na kolana i daj się zarznąć. Jeśli będziesz się stawiał, zawlekę cię do rodzinnego kasztelu i flaki ci wypruję tępym nożem!

– Pewnie się spieszysz – odezwał się Gramm, udając niepewność – i nie mam czasu do zastanowienia?

Rycerz warknął głucho i pochylił się w siodle, jakby już miał zamiar kopnąć rumaka piętami, na co krasnolud cofnął się o krok i uniósł ręce.

– Śmierć! – wrzasnął piskliwie. – Wybieram śmierć! Och, zabij mnie, zabij! Ukarz mnie za mą bezczelność!

Zdażyłem pomodlić się w myślach do Doli, by Gramm przypadkiem nie rzucił się do ucieczki – nawet długonogi biegacz nie zdołałby umknąć przed ścigającym go jeźdźcem z włócznią – ale mój przygodny towarzysz miał inny zamysł w zanadrzu.

Hrabia spał konia i zaszarżował, chcąc wbić włócznię w szeroką krasnoludzką pierś, Gramm naraz jednak zerwał się i skoczył. Nie w bok, ku zbawczym ciemnościom, ale prosto w stronę rumaka. Przemknął tuż przed kolanami rozpędzającego się konia i nagle znalazł się poza jego zasięgiem. Doświadczony jeździec zdołałby oczywiście przerzucić włócznię nad końskim łbem i pchnąć pieszego przeciwnika, ale potrzebowałby na to więcej miejsca.

A Gramm, choć pieszy i bezbronny, miał go dokładnie tyle, ile potrzebował, by zrealizować kolejny szaleńczy pomysł.

Oniemiały patrzyłem, jak łapie jeźdźca za łydkę.

Zwykłemu człowiekowi impet zapewne wyrwałby ramię, ale też mało kto miał w barkach tyle siły co rozsierdzony krasnolud. Hrabia zdołał co prawda wyszarpnąć nogę, ale zakołysał się w siodle i tylko pęd rumaka ocalił go przed drugim upadkiem tego dnia. Mężczyzna odruchowo uderzył konia w boki piętami, odskoczył, po czym osadził go w miejscu kilkanaście metrów dalej.

Nie da się już ponownie zaskoczyć, uświadomiłem sobie z narastającym przestrawieniem.

Ziemia drżała pod moimi stopami, czas zwolnił. Patrzyłem ze zgrozą, jak hrabia zawraca. Ostrze zataczającej krąg włóczni znów odbiło rdzawy poblask ogniska, w czym ujrzałem jakąś ponurą ostateczność.

– Ty bezczelny... – wysyczał Gillian, ale nie dokończył.

Kamień odbił się od jego hełmu, krzesząc iskry. Drugi, nieco większy, trafił go z brzękiem w sam środek napierśnika, a trzeci w kość policzkową.

– Bezczelny? – zawołał krasnolud, który szedł w stronę rycerza i bombardował go kamieniami. – A co powiesz na to?

Hrabia otarł krew dłonią w rękawicy, po czym ryknął dziko i spał konia do szarży, prosto na Gramma. Ten znieruchomiał, wpatrzony w mierzący w niego grot włóczni. Chciałem krzyknąć, by go ostrzec, ale wtedy uzmysłowiłem sobie, że owo drżenie, które odczuwałem od chwili, chyba nie ma żadnego związku z końcem świata, bo nagle zmałało.

Kątem oka ujrzałem tabun kilkunastu koni, zapewne powiazanych linami, który zatrzymał się na równinie. Pojedynczy jeździec – najprawdopodobniej jeszcze przed momentem je prowadzący – teraz pędził prosto na mnie.

Toyhan?

Jechał na oklep, nie miał pancerza i nie celował we mnie włócznią, mimo to przeszedł mnie zimny dreszcz. Cofnąłem się odruchowo, ale moja reakcja okazała się spóźniona, bo złodziej już na mnie nacierał, trzymając konia za grzywę. Krzyknąłem, straciłem równowagę i padłem na plecy, a ten zeskoczył na ziemię i przygniótł mnie kolanami, zanim zdołałem się podnieść.

Na widok noża w jego ręku na moment zapomniałem o moim druhu, który walczył na śmierć i życie z pijanym żądzą zemsty rycerzem. Złapałem Toyhana obiema dłońmi za nadgarstek, ale tylko po to, by się przekonać, że jest o wiele, o wiele silniejszy ode mnie.

– Jeden jedyny uczciwy kwatermistrz w całej Dolinie – syczał, a ostrze nieubłagane przybliżało się do mego gardła. – Zagrażasz moim interesom!

Bezrozumne przerażenie kazało mi puścić jedną dłoń jego rękę. Ostrze opadło jeszcze niżej i nieomal opierało się



o moją skórę, ale przynajmniej drugą dłoń mogłem desperacko macać naokoło w poszukiwaniu jakiejś broni.

Która, o dziwo, znalazłem.

Toyhan wyglądał mi na twardziela, który z niejednego pieca chleb jadł, i pewnie cios patelnią w łeb nie zrobiłby na nim wielkiego wrażenia, ale ta wciąż spoczywała nad płomieniami i wciąż skwierczał na niej tłuszcz po zrazikach. Walnałem złodzieja ze wszystkich sił, spotęgowanych rozpaczą i desperacją. Głuchy brzęk niemalże utonął w rozdzierającym wrzasku poparzonego. Nóż wypadł mu z ręki, a ja wyslizgnałem się spod napastnika i grzmotnąłem go jeszcze raz.

Nie miałem siły na tryumfalne pogróżki. Tłukłem go raz za razem, a Toyhan wył i skamlał, próbując się podnieść. Obok, co zauważyłem kątem oka, stał Gramm, który okładał drzewcem włóczni rycerza po głowie pozbawionej hełmu.

Staliśmy tak pośród nocy na równinie niczym dwie demoniczne praczki z kijankami i okładaliśmy swe ofiary do chwili, gdy te wreszcie przestały wrzeszczeć i straciły przytomność, a w ciszy znów dało się usłyszeć pieśń świerszczy, a także prychnanie zaniepokojonych koni i nasze chrapliwe oddechy.

Wyczerpani, przysiedliśmy na ciałach nieprzytomnych przeciwników. Odłożyłem patelnię, oparłem łokcie na kolanach i zwiesiłem głowę. Minęła dłuższa chwila, zanim ją uniosłem, a wtedy mój wzrok padł na tarczę z czarnym gronem na zielonym polu. Spojrzałem na krasnoluda.

– Musisz się stąd wynosić – powiedziałem cicho. – Ten kutas będzie cię ścigał z pasją, Gramm. Na twoim miejscu przeprosiłbym się z ojcem albo z karierą kopacza rowów w waszym korpusie. Wszystko jest lepsze od śmierci z ręki rozwścieczonego szlachetki z Owczej Kupy.

Gramm powoli pokręcił głową. Jego wzrok był osobliwie nieobecny.

– Lub – dodałem, tknięty nagłym pomysłem – ukryj się w mojej rodzinnej karczmie. Nazywamy ją Gryfem, co jest skrótem od „Pod Kaprawym Gryfem”, choć naprawdę nikt nie wie, dlaczego dziadek Edgar postanowił ją tak nazwać. Zarządza nią moja matka do spółki z żoną, co, o dziwo, wcale

dobrze się sprawdza. Nikt nie będzie tobą pomiatał, roboty będziesz miał sporo, a żarcie, chłopie, palce lizać. Musisz tylko przestać pyskować, bo jak cię Sara w gębę strzeli, to się nogami nakryjesz, a moja matka...

– Sześć – powiedział nagle Gramm. Nie patrzył na mnie, ale mrugał dziko, jakby nie mogąc opanować natłoku myśli. – Sześć.

– Co sześć? – spytałem zaskoczony.

– Sześć to twoja szczęśliwa liczba – odparł krasnolud, nadal wpatrzony w dal. – W niej szukaj bezpieczeństwa i oparcia. Dzięki niej będziesz kiedyś rozmawiał z książętami jak z równymi i podejmował za nich decyzje. Bądź czujny, gdy zerwie się nocny wiatr, bo to on przyniesie ci zmiany w życiu. Wśród drzew szukaj największej tajemnicy Doliny, wśród wzgórz wypatruj dla niej największego zagrożenia, a pośród bagien bezpieczeństwa. I miej się na baczności w czwartki, choć właśnie wtedy urodzą się twoi synowie.

Wpatrywałem się w Gramma jak oniemiały.

– Co... co to było? – wyjąkałem ze zdumieniem. – Przecież mówiłeś, że... że nie umiesz wróżyć. Że nie masz w sobie mocy, że...

Gramm odkaszlnął nagle i zamrugał, jakby się budził z głębokiego snu. Spojrzał na leżącą u swych stóp tarczę, potem na nogi rycerza, a następnie na włócznię, wciąż trzymaną w dłoni.

– Co ty mówiłeś o tym Gryfie?

*Ukochana!*

*Skoro czytasz ten list, poznałaś już zapewne Gramma syna Triska, kompana, którego ja z kolei poznałem w dość nieciekawych okolicznościach. Zapewne Ci o nich opowie, bo lubi się przechwalać. Mimo początkowych napięć przekonaliśmy się co do siebie i nie żywię do niego żalu, a nawet szczerze go polubiłem.*

*Dybie na niego pewien szlachcic, Maurycy Gillian herbu Czarne Grono na Zieleni, choć najlepiej, jeśli utrzymasz go z dala od wszystkich wysoko*

urodzonych. I w ogóle od gości, co chyba trudne nie będzie, bo roboty u nas nie brakuje. Obiecał, że zajmie się rynnami, okiennicami i tymi cholernymi drzwiami w kuchni, co się bez przerwy zamykają. Grządki niech też skopie. W jego ojczyźnie rolnicy to ponoć uprzywilejowana kasta, a więc może lepiej się przez to poczuje.

Wybacz, że piszę skrótowo, ale wracam do jednostki po pewnej misji logistycznej, która przybrała dość nieoczekiwany obrót. Po powrocie czeka mnie zapewne długa rozmowa z pułkownikiem, ale czuję, że wszystko dobrze się skończy. Mam bowiem pewnego asa w rękawie, o którym mój przełożony dowie się w stosownej chwili.

Co słyszeć w karczmie? Wiem, że zmagania toczą się głównie na północy, i mam szczerą nadzieję, że tam też się zakończą, że nigdy nie dotrą nawet w nasze okolice. Nie przestaję myśleć o Tobie i o naszej Salii. Ucałuj Mamę.

Edmund

P.S. Wiem, że takie pytania powinno się zadawać wprost, ale coś mi chodzi po głowie i chodzić nie przestaje. Jak by to ująć... Saro, czy od czasu mojej ostatniej wizyty na przepustce zauważyłaś może u siebie jakieś zmiany?

Draniu Ty,

od czego by tu zacząć? Może od spraw najistotniejszych.

Tak, nadal jestem zła na Ciebie za to, że się zaciągnąłeś do tej pieprzonej armii, bo roboty mamy tyle, że się w głowie nie mieści! Twoja matka

ostatnio nie czuje się najlepiej, ja nie mogę spuścić z oczu Salii, a stara Pelagia, która przychodzi pomagać w kuchni, regularnie wykrada nam sztucce i przyprawy. Szczęście, żeś przysłał tego krasnoluda, który rzeczywiście jest robotny. Wygląda nawet na przyzwoitego, oczywiście dopóki gęby nie otworzy, bo bluzga, jakby mu za to płacono, a gdy go matka ofuknęła, oznajmił, że przemawia przez niego szczerłość.

Okiennice rzeczywiście naprawił, drzwi się domykają, przetkał komin i wykonał setki innych napraw, o które Ciebie się od lat doprosić nie mogę. Co więcej, miewa też wieczorami oko na gości, bo różne typy się ostatnio tu złażą. Bywa, że zwiewają bez płacenia albo że powołują się na jakieś lipne odznaczenia czy przywileje weteranów i domagają się darmowego żarcia. No, przydaje się krasnolud, by ich rozumem nauczyć. Co ciekawe, jego czujność wzrasta w miarę ilości wypitego cydru, ale mieliśmy dobre zbiory jabłek i paliwa nie zabraknie.

Tylko powiedz mi, czemu on ciągle gada o jakiejś katapulcie?

Wyjaśnij mi też, co miałeś na myśli, pisząc, że masz asa w rękawie na okoliczność rozmowy z dowódcą. Bo na mój rozum, skoro potrzebujesz asa, to popadłeś w tarapaty, i to srogie. Minie zapewne parę dni, zanim mój list do Ciebie dotrze, ale chciałam Ci też przypomnieć, że pokerzysta z Ciebie jak z psiej dupy poduszka. Wybacz mi to określenie, ale od kilku dni po karczmie pałęta się krasnolud. Sam rozumiesz.

Wracając zaś do Ciebie, nie chcę być w Twojej skórze, jeśli wdepnąłeś w przysłowiowe łajno i straciłeś ów awans, z którego byłeś tak dumny! Bo, że pozwolę sobie przypomnieć, obiecałeś, że wrócisz do domu cały, zdrowy i w miarę szybko. Nie możemy prowadzić tego bajzlu same, tym bardziej że podstępnych typów w okolicy włóczy się aż nadto. Ktoś podobno widział na trakcie jakiegoś szalonego

*goblina, dotarły też do nas plotki o najemniku, który rzekomo ściga dezertarów, ale dopuszcza się dziesiątków przestępstw. Poważnie się zastanawiam, czy nie ściągnąć mojej matki do pomocy.*

*Innymi słowy, lepiej uważaj na siebie. I wracaj szybko.*

*Kocham Cię, Ty durniu.*

Sara

*P.S. O jakie zmiany Ci chodzi?*

*Ukochana!*

*Całkowicie rozumiem Twoją złość, a nawet ją dzielam, ale muszę Ci przypomnieć, że gdybym nie zgłosił się do wojska na ochotnika i nie zaznaczył, że mam doświadczenie w gotowaniu, zgarnęliby mnie werbunkowi i bez gadania wcielili do piechoty, co bynajmniej nie leży w naszym interesie. Ta wojna jest idiotyczna, ale zapewniam Cię, że nadal gotuję dla pana pułkownika, dzięki czemu jestem stosunkowo bezpieczny. Jego napady apopleksji powtarzają się co prawda regularnie, ale rzadko złości się na mnie, a i wtedy wolę je od wrogiej piki.*

*A co do owego asa w rękawie... Cóż, muszę Cię, ukochana, rozczarować! Ująłem bowiem pewnego znanego złodzieja i koniokrada, który regularnie uprowadzał tabuny książęcych koni do świeżo formowanych oddziałów kawalerii. Zawlokłem drania przed oblicze mego pułkownika, dzięki czemu jego złość na mnie przeobraziła się we wdzięczność, zwłaszcza że przyprowadziłem również skradzione konie. Pułkownik dał mi nawet dzień wolnego i przedstawił do odznaczenia.*

*Innymi słowy, powróciłem do leniwej rutyny kuchmistrza. Na naszym odcinku frontu panuje święty spokój i wedle słów naszego dowódcy nic nie*

wskazuje na to, by sytuacja miała się zmienić. A rozmawia ze mną dowódca nader chętnie, co również jest poniekąd pokłosiem mojego awansu.

W tej chwili niepokoi mnie tylko ów pomysł ściągnięcia do Gryfa mej drogiej teściowej. Ukochana, wiem, że Ci ciężko, ale czy to naprawdę konieczne? Twa zacna matka jest wspaniałą kobietą i kocham ją jak rodzoną, ale mam wrażenie, że nigdy mnie nie polubiła, i obawiam się, że jej kąśliwy humor zatruje nieco rodzinną atmosferę karczmy. Dobrze się zastanów, błagam Cię.

Twój Edmund

P.S. Mam nadzieję, że Gramm nadal się dobrze sprawuje. Skoro się przydaje, nie mów mu tego, ale ryzyko, że hrabia Gillian wyruszy za nim w pościg, mocno zmalało, bo przypadkowo dołączyłem jego rumaka do tabunu odzyskanych koni. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że koń wpadł w oko pułkownikowi.

P.P.S. Zmiany, jak zmiany, no wiesz. Takie tam. Tu i ówdzie.

P.P.P.S. Wybacz bazgroły, dopisuję te słowa w ostatniej chwili. Właśnie wrócił zwiad. Na granicy spokój jak nigdy. Książę Rupert to tchórz i nigdy na nas nie uderzy.

# Łaska Doli



– Szybciej! – darłem się na Bawoła, w pośpiechu zaprzęgając konia, który jak na złość wybrał sobie ten moment na pojedynek siły woli. – Pospiesz się, ty durny bydlaku, bo oni zaraz tu będą! Wszystkich nas na pikach rozniosą, jeśli się nie ruszysz, ty durny...

– Miód też bierzemy? – spytał Bawół, wyłaniając się z namiotu z zaopatrzeniem. Pod każdą pachą trzymał po baryłce.

– Miód?! – ryknąłem, szarpiąc się z popręgiem. – Pogięło cię, chłopie? Mąka, groch, boczek! Na tym się skup!

– Ale już nie ma!

– Jak to nie ma? – Uniosłem na Bawoła spojrzenie pełne pasji. – Wczoraj robiłem inwenturę, na Dołę! Samej mąki mamy na stanie szesnaście worków! Osiem poszło na wóz Joachima, pięć na nasz, a więc...

– A więc brakuje trzech – przerwał mi Bawół, odbierając mi tym samym prawo do wyzwania go od nieuków. – Okradli nas.

Naprawdę chciałem na kogoś nawrzeszczyć. Chciałem drzeć się w niebogłosy, choć wiedziałem, że tylko zedrę gardło, a sytuacji to nie zmieni. Na szczęście wydarzenia rozwijały się zbyt szybko, bym mógł sobie pozwolić na wygłoszenie tyrady.

– Załadowane! – wrzasnął Tyka, mój przeraźliwie chudy pomagier, wiążąc ostatnią klatkę z kurami do burty własnego wozu. – Może już ruszymy przodem, co?

Zauważyłem, że drugi z pomagierów, z bliżej nieznanym mi powodem przezywany Pępolem, już się gramoli na kozła.

– Nie ma mowy! – zawołałem. – Ruszamy razem! Rozkazy pułkownika!



Mój przełożony nie powiedział na ten temat ani słowa, ale nie znałem innego sposobu, by ich powstrzymać. Miałem bowiem osobliwe przeczucie, że z chwilą, gdy wóz Tyki i Pępola zniknie za rogiem, już go więcej nie zobaczę. Trwała wszak wojna i kury, jajka i kozy upchnięte przez moich pomagierów na wozie zyskiwały na wartości z każdą godziną.

– A Joachimowi to szef pozwolił! – prychnął wściekle Tyka. – I to z krowami!

Na końcu języka miałem słowa: „Bo jemu lepiej patrzy z oczu”, ale się powstrzymałem. Głównie dlatego, że od wyjazdu Joachima upłynęło już piętnaście minut, co sprawiło, że przestawałem powoli w to wierzyć, a oczyma wyobraźni widziałem już, jak Joachim sprzedaje pułkowe krowy za równowartość pary łapci z lipowego łyka.

Od konieczności udzielenia odpowiedzi uwolnił mnie goniec od pułkownika, który osadził zakurzonego, spoconego konia między naszymi namiotami i zawołał:

– A wy jeszcze tutaj?!

– Jak sytuacja?

– Chujowo! – parsknął żołnierz. – Pułkownik kazał mi sprawdzić, czy już się wynieśliście, bo...

Ucichł na moment i odwrócił głowę w kierunku, z którego przyjechał. Twarz miał brudną od pyłu i potu, a mimo to odniosłem wrażenie, że pobladł.

– Bo kiepsko byłoby spierdalać przez własną kuchnię – dodał, co właściwie było niepotrzebne, bo nawet ja, choć nieobyty na wojnie, wyczuwałem zmiany w zgiełku, który towarzyszył nam od godziny. W szczęku oręża, rykach setek ścierających się ludzi i wrzaskach rannych pojawiły się bowiem okrzyki przestrachu, coraz głośniejsze i bliższe, a w rozkazach sierżantów dało się wychwycić nutę desperacji.

Co oznaczało tylko jedno. Dostawaliśmy w dupę.

Odruchowo spojrzałem na las, za którym toczyła się bitwa, i zdało mi się, że dostrzegam pierwszych uciekających. Gdy znów przeniosłem spojrzenie na swą niewielką karawanę, uświadomiłem sobie, że Pępół już zacina konia, a ich wóz, w akompaniamencie przerażonego gdakania, kwakania, beczenia i meczenia, znika za zakrętem.

– Ładuj ten cholerny miód! – wrzasnąłem do Bawoła, pnąc się na kozła. – Zjeżdżamy stąd!

Wóz zadygotał, gdy Bawół wrzucił na tył obie baryły, a potem trzasnęła zamykana tylna klapa. Strzeliłem z bata i szarpnąłem za wodze.

– Ruszaj, durna szkapo! – wycedziłem nerwowo. – Bawół! – krzyknąłem do pomagiera, który wspinał się na własny wóz, wyładowany w większości kuchennymi utensyliami. – Pamiętasz rozkazy? Spotykamy się pod Kozimbrodem!

Moje słowa utonęły w rumorze czynionym przez dziesiątki garnków i kotłów na jego wozie – koń Bawoła miał najwidoczniej całkiem niezły kontakt z rzeczywistością i krzyki coraz liczniejszych uciekinierów obudziły w nim istic młodzieńczy wigor. Mój zaś, pomimo mych usilnych próśb i starań, stał nieruchomo i potrząsał łbem, jakby wypierał wszystko, co działo się wokół.

A z każdą chwilą działo się coraz więcej.

– Stać, psiekrwie! – ryczał jakiś oficer, najwidoczniej na próżno, bo między pniami pojawiało się coraz więcej przerażonych, rozwrzeszczanych uciekinierów. Gdzieś zamajaczył jakiś jeździec, skądś dobiegł rozdzierający krzyk. W powietrzu świsnęła strzała, co prawda daleko ode mnie, ale uświadomiła mi, że mój spokój oraz bezpieczeństwo, którymi cieszyłem się tak długo, znikły raz na zawsze.

– Rusz się, szkapo! – błagałem konia, a w myślach przeklinałem wszystko i wszystkich.

Jak choćby to, że miałem pod swoimi rozkazami jedynie sześciu pomagierów, cztery konie i tyleż rozklekotanych wozów. I to, że nie zacząłem pakowania dobytku wcześniej. Jak również to, że w ogóle dałem się wpakować w tę całą wojenną zawieruchę. Oraz że moje przeżycie było najwidoczniej uzależnione od nastroju obojętnego na zmiany na froncie konia.

– To serio kiepski moment na bunt! – perorowałem. – Ludzie księcia Ruperta to okropne koniojady i...

Trudno powiedzieć, czy zadziałała moja argumentacja, czy też koń wreszcie się ocknął, ale nagle prychnął głośno i ruszył. Szedł powoli, majestatycznie, wprost przerażająco leniwie, ale przynajmniej posuwał się naprzód.

Spojrzałem za siebie. Pierwsi uciekinierzy, zakrwawieni i zdyszani, otrząsnęli się wreszcie i usłuchali słów sierżanta, uformowali bowiem nierówny szyk. Wszystko wskazywało na to, że bitwa o południową granicę jeszcze trochę potrwa.

Na szczęście miała się toczyć beze mnie.

\*

Nie bierzcie mnie za tchórza. Za ważną dla mnie sprawę byłem gotów walczyć do upadłego, ale wojna między księciem Stefanem a księciem Rupertem do ważnych dla mnie spraw bynajmniej nie należała. Poza tym wcale nie byłem rycerzem czy żołnierzem – pełniłem zaszczytną funkcję kucharza-kwatermistrza i zajmowałem się aprowizacją oraz przygotowaniem posiłków. Głęboko wierzyłem, że o wiele bardziej przydam się memu pułkowi, jeśli wycofam się w porę i przygotuję dla żołnierzy pożywny obiad.

O ile Dziesiąty Pułk Piechoty przetrwa starcie z siłami księcia Ruperta.

Rupert, władca księstwka o nazwie Sokolnik, jak dotąd nie brał udziału w wojnie, a złośliwi twierdzili, że wyczekuje na wyniki innych kampanii, by móc się sprzymierzyć ze zwycięzcą. O jego pomoc zapewne zabiegali zarówno Fryderyk, jak i Stefan, aż Rupert, z niejasnych dla mnie powodów, wybrał tego pierwszego i zmusił Stefana do walki na dwa fronty, a mnie do ucieczki.

Ta na szczęście nie okazała się wcale dramatycznym wyzwaniem, bo ze względu na zaangażowanie mojego konia mógłbym jej nie przeżyć. Koń zaprzężony do mego wozu najwidoczniej miał o sobie bardzo wysokie mniemanie, bo ciągnął swe brzemie niechętnie i co chwila demonstracyjnie przystawał, by skubnąć źdźbło trawy, napić się wody czy po prostu popatrzeć na niebo. Ja zaś musiałem cierpliwie znosić te fochy, dość szybko bowiem się przekonałem, że wystarczyło podnieść bat, by koń zaczął sobie robić dłuższe przerwy.

Droga wiła się wśród kamiennych murków, wytyczających granice sadów jabłkowych i śliwkowych, często spotykanych w tej części Doliny. Niebo zasnuły szare chmury, a w

powietrzu zastygło osobliwe napięcie, jakby lada chwila miała nadejść burza. Dookoła nie widziałem żywego ducha. Co chwila stawałem też w koźle i odwracałem się za siebie, ale nie dostrzegałem już bitwy, zasłoniętej gestymi gajami. Nie słyszałem także żadnych odgłosów, gdyż wszystko zagłuszało człapanie zniechęconego konia i przeraźliwe skrzypienie nienaoliwionych piast.

Nie widziałem też żadnego z pozostałych wozów pułkowego zaopatrzenia, ale to próbowałem sobie usprawiedliwić lichym tempem mojego konia. Zresztą, szczerze powiedziawszy, z każdą upływającą chwilą los pułkowego zaopatrzenia obchodził mnie coraz mniej.

Bo zrobiło się naprawdę dziwnie.

Koń prychnął, jakby na potwierdzenie moich domysłów. Coś wisiało w powietrzu, coś obcego i niejasnego. Coś, co niemalże na pewno nie miało związku z bitwą, być może nadal toczącą się gdzieś za moimi plecami.

– Ty też to czujesz, prawda, koniku? – mruknąłem. – O co tu chodzi?

Rozglądałem się, aż rozbolała mnie szyja, ale nigdzie nie widziałem żywego ducha. Nie było kotów leniących się na kamiennych murkach, nie było ptaków dokazujących pośród gałęzi. Niczego nie było poza gęstniejącą atmosferą niepewności.

Na Dole, przecież jechałem drogą na Kozibród nieraz, wyrzekałem w duchu. Zawsze było tu pełno wędrowców. Żebraków, maruderów, chłopów wracających z roboty, pyskatek krasnoludów i tak dalej. Co się z nimi stało? Gdzie się wszyscy podziali? Czyżby książę Rupert zaatakował w wielu miejscach jednocześnie i kto mógł, dawno już nawiał?

W chwili, gdy sformułowałem ostatni domysł, na drodze przede mną ktoś się pojawił.

Niestety, odkrycie wielkiej nadziei mi nie przyniosło. Bo barczysty wojownik w pełnej zbroi, który stoi w wyzywającej pozie na środku traktu i mierzy człowieka uważnym spojrzeniem, rzadko kiedy oznacza dobrą nowinę.

Odruchowo się rozejrzałem, ale kamienne murki po obu stronach traktu uniemożliwiały zawrót, a poza tym wóz

zaprzężony w mojego konia można by dogonić, czołgając się na plecach. Przez głowę przeszła mi myśl, by zeskokczyć i salwować się pieszą ucieczką, ale w tym momencie zbrojny nieznajomy odezwał się gromkim głosem:

– Jam Urgo, rycerz Doli i obrońca traktów! A tyś kto?

W pierwszej chwili zalała mnie ulga tak wielka, że o mało nie spadłem z wozu, a potem ogarnęła mnie podejrzliwość. Jeśli wierzyć opowieściom dziadka Edgara, rycerze Doli kiedyś nie należeli wcale do rzadkości. Wędrowali po traktach Doliny, ochraniali wędrowców, bronili wsi przed zbójcami, przeganiali Złe i strzegli świątyń, ale w pewnym momencie zaczęło ich ubywać i tej tajemnicy dziad Edgar za nic nie potrafił rozgryźć.

Miałem na ten temat własną teorię, wedle której o wygaśnięciu tej profesji zadecydował jej charakter. Wszak mało komu odpowiada wieczna włóczęga i nadstawianie karku za miskę strawy i ciepłe słowo, tym bardziej że rycerzy Doli rzekomo obowiązywał celibat. Nie najlepiej świadczyło to o bóstwie, które zakazywało swym wyznawcom związków, by mieć ich uwagę na wyłączność, do czego oni sami z pewnością również doszli. Ostatni rycerze Doli, jeśli wierzyć minstrelom, polegli w bitwie pod Wyrzyskiem, podczas której król Rodryk z synami rozgromił inwazję Złego.

Ten więc mógł być jednym z ostatnich albo... albo oszustem.

Patrzyłem, jak zbliża się ku mnie wolnym krokiem. Do lewego ramienia przytroczył trójkątną, pogiętą tarczę, a prawą rękę miał wolną, ale nie wątpiłem, że w każdej chwili może złapać za miecz wiszący mu u pasa. Na głowie miał stary, wysłużony hełm, a napierśnik, przerdzewiały i noszący ślady licznych cięć, też z pewnością widział już lepsze czasy. Wygląd rycerza nie podsuwał żadnych wniosków co do jego tożsamości i zamiarów i dopiero oblicze zdradziło mi, że być może mam jednak do czynienia z prawdziwym rycerzem Doli.

Na wychudłej twarzy Urgo, okolonej rzadką jasną brodą, widziałem bowiem spokój i skupienie, a w spojrzeniu jego niebieskich oczu nie dostrzegłem ani śladu fałszu, na co, odkąd zaciągnąłem się do kwatermistrzostwa, byłem bardzo wyczulony. Rycerz stąpił miarowo i pewnie, jakby był

w pełni przekonany o słuszności tego, co robi. Z jakiegoś powodu nie zaprotestowałem, gdy chwycił mego konia za uzdę.

– Jam Urgo, rycerz Doli, a tyś? – powtórzył.

– Nazywam się Edmund, lecz zwań mnie Kociołkiem – odparłem. – Ze służby kwatermistrzowskiej Dziesiątego Pułku Piechoty. Tam... eee... bitwa się toczy i ja...

Rycerz zmarszczył brwi. Nie spuszczał ze mnie wzroku, przez co nagle zacząłem tracić pewność siebie.

Opanuj się, ofuknąłem się w myślach. To przecież cholerny fanatyk religijny, zafiksowany na czynieniu dobra! Gotów w każdej chwili nabrać podejrzeń i dojść do wniosku, że dajesz dyla z pułkowym zaopatrzeniem.

– Bitwa – powtórzył w końcu rycerz. – A wiesz ty może, Kociołku, jaki jej przebieg?

– No, chyba przegrywamy – bąknąłem. – W przeciwnym razie pułkownik nie kazałby ewakuować zaopatrzenia.

– Czyli należy się spodziewać odwrotu? – indagował rycerz.

– I to dość panicznego.

– Fatalnie. – Urgo zacisnął zęby i spojrzał na trakt, którym nadjechałem, jakby lada moment spodziewał się ujrzeć tłumy przerażonych maruderów. – Nie ma nic gorszego niż odwrot.

– Czasem to konieczność – bąknąłem, odruchowo stając w obronie towarzyszy. – Nie chcesz chyba, by Rupertowi ludzie wyrznęli wszystkich naszych, co?

– Jestem rycerzem Doli – napomniał mnie surowo Urgo. – I nie obchodzą mnie małostkowe konflikty ludzkich książąt. Jeśli mają ochotę łapać się za łby i wyrzynać nawzajem, nic mi do tego, a nawet ucieszę się, że będzie dzięki temu więcej jedzenia dla maluczkich.

– Trochę racji w tym jest – oznajmiłem.

Bo było.

– Nikt cię nie ściga? – upewnił się rycerz.

Obejrzałem się na pusty trakt.

– Nie, nikt.

– A jest jakaś szansa, że wasz oddział wytrzyma jednak wrogi napór? – spytał Urgo z nadzieją.

– Nie wiem. Niezbadane są wyroki Doli. A skąd te pytania?

– Za zakrętem stoi sierociniec, którego poprzysiągłem bronić – oświadczył rycerz. – I chciałem wiedzieć, czy...

Urwał i pociągnął nosem. Odruchowo zrobiłem to samo i odniosłem wrażenie, że w powietrzu unosi się delikatny swąd dymu. Rozejrzałem się i dostrzegłem smużkę meandrującą nad drzewami. Zmroziło mnie.

– Czy ów sierociniec... – zacząłem i musiałem odkaszlnąć, bo naraz zaschło mi w gardle. – Czy ów sierociniec nie znajduje się przypadkiem gdzieś tam?

Rycerz spojrział we wskazanym kierunku. Miałem wrażenie, że krew odpływa mu z twarzy.

– Tak! – krzyknął. – To tam, na Dołę! Po co ja strzegłem traktu, skoro...

Spojrzał na mnie, a w jego oczach błysnęło zdecydowanie.

– Nie ma chwili do stracenia! – wrzasnął. – Ruszaj ze mną!

Odwrócił się i popędził przed siebie, chrzęszcząc orężem. Wtedy zauważyłem, że kilkanaście kroków dalej stoi osiodłany koń, przywiązany do zwisającej nad murkiem gałęzi.

– Nie mogę! – jęknąłem. – Ja muszę... Mam pułkowy prowiant i... Poza tym mój koń...

– Te dzieci są w niebezpieczeństwie! – huknął rycerz, który przypadł do swego rumaka i płynnie wskoczył w siodło, aż chrupnęła zardzewiała zbroja.

Dzieci.

Nie jestem bohaterem. Ba, nie ma we mnie ani śladu materiału na bohatera i nigdy go we mnie nie było, ale jedno zdanie rycerza Doli rozwiązało we mnie worek ze wspomnieniami. Przez mój umysł przemknął wicher obrazów, na zawsze wypalonych w pamięci. Bezzębny uśmiech Salii. Jej umazane dżemem policzki. Jasne loczki unoszące się na wietrze. Paluszki zaciśnięte na moim palcu. Małe stópki, z trudem utrzymujące ciężar pulchnego ciała.

Nim się zorientowałem, w pośpiechu i panice wyprzęgałem konia.

– Pojadę na tobie na oklep! – oznajmiłem, wyprowadzając zdziwionego wierzchowca spod dyszli. – I lepiej się nie ociągaj, cholerna szkapo, bo cię zaćwiczę!

Koń zarżał głośno i grzmotnął kopytem w trakt, a ja złapałem go za ogłowie i wciągnąłem się na grzbiet.

– Jadę za tobą! – krzyknąłem do oddalającego się galopem rycerza. – Poczekaj! Poczekaj na mnie! No, cholero, ruszaj!

Ostatnie słowa, wzmocnione uderzeniem piętami, skierowane były do konia, który, o dziwo, usłuchał. Zarżał jeszcze raz, a potem niespodziewanie zerwał się do biegu, i to z takim impetem, że mało się nie zsunąłem z grzbietu. A więc o to ci chodziło, przemknęło mi przez myśl. Chomąto ci przeszkadzało? Jesteś stworzony do większych czynów?

Na kolejne wnioski nie było mnie już stać, bo utrzymywanie się na grzbiecie rozpędzonego konia okazało się aż nadto absorbujące. Mój wierzchowiec w jednej chwili odzyskał wigor i zrównał się z rozpędzonym rumakiem rycerza Doli. Z trudem wyrobiliśmy na ostrym zakręcie, a potem skręciliśmy w prawo w inny, węższy trakt. W powietrzu było coraz więcej dymu, a przez łomot kopyt przebijały ochryple wrzaski.

– Dolo, poratuj! Litości, litości! – wrzeszczała z przerażeniem jakaś kobieta, biegnąca ku nam piaszczystą drogą. Rozpoznałem szaty kapłanki Doli.

– Rycerzu! – krzyknęła na widok Urgo. – Pomocy! Uratuj mnie!

Padła na kolana przed rozpędzonym koniem rycerza. Ten szarpnął za wodze i gładko wyminął lamentującą kapłankę. Popędziłem za nim.

Na jakiegokolwiek refleksje zabrakło czasu, bo nagle wpadliśmy w sam środek istnego pandemonium.

Trakt nieco się tu rozszerzał, tworząc niewielki placyk, przy którym wyrastał piętrowy dom z dachem krytym czerwonym gontem. Drzwi oraz okiennice pozostawały zamknięte, ale nie było wątpliwości, że jest to ów sierociniec, bo ze środka dobiegały krzyki i płacz dzieci. Dym buchał z wrót stojącej kawałek dalej szopy, gdzie tliła się wrzucona do środka pochodnia. Jego kłęby niosły się nisko przy ziemi i rozpełzały po pobliskim sadzie, zamieniając go w scenę z koszmaru.

Wpadliśmy na placyk w chwili, gdy dwóch zbrojnych w obcych mundurach, rechocząc z zadowolenia, zarzuciło właśnie linę na klamkę drzwi. Ich kamrat popędził stojącego



nieopodal konia. Przytroczony do siodła sznur naprężył się gwałtownie i drzwi z trzaskiem wyleciały z futryny. Któryś z żołdaków zaśmiał się tryumfalnie i wpadł do środka, ale zaraz zatoczył się z wrzaskiem i przewrócił prosto na strzaskane drzwi.

Od napastników dzieliło nas jeszcze kilkanaście kroków, ale żaden z nich, o dziwo, jeszcze nas nie zauważył. Kompan wykopniętego żołdaka ryknął z furją i również wpadł do budynku, skądś dobiegły odgłosy szamotaniny, wyraźne mimo łoskotu kopyt, oraz kobiecy pisk. Chwilę później ujrzałem, jak żołdak wytacza się na zewnątrz, trzymając się za pierś. Potknął się, przewrócił i padł na ziemię, a w ślad za nim w obszarpanym wejściu do domu stanęła kobieta. Była młoda, o wiele młodsza ode mnie. I samym swoim spojrzeniem mogłaby rozbijać ściany.

– Won stąd, parszywa szmato! – wrzasnęła i wzniosła kij, którym najpewniej przed chwilą potraktowała żołdaka. – Wynocha, bo gniew Doli, na który się naraziliście, będzie niczym w porównaniu z moim!

Któryś z żołdaków zdążył się pogardliwie roześmiać, co okazało się koszmarnym błędem – gniew Doli spadł nań bowiem uderzenie serca później. Jego uosobieniem był Urgo.

Ta część mego mózgu, która nie uległa jeszcze skrajnemu przerażeniu, doliczyła się sześciu przeciwników i gorąco namawiała mnie, bym przestał się przejmować perspektywą przygryzienia sobie języka i ostrzegł rozpędzonego rycerza. Coś jednakże mówiło mi, że Urgo doskonale zdaje sobie sprawę z przewagi, z którą przyjdzie mu się mierzyć, a i tak nie powstrzyma go żadna siła na świecie.

Jego rumak stratował próbującego się podnieść żołdaka, a miecz zakreślił szeroki łuk i zdjął z ramion głowę kolejnego. Gnałem tuż za nim i oślepił mnie bryzg krwi – odruchowo uniosłem rękę, by przetrzeć oczy, a gdy znów odzyskałem zdolność widzenia, ujrzałem Urgo, jak wpada między dwóch innych, tym razem konnych, siekąc na prawo i lewo.

Konie rżały, stal zgrzytała, jakieś ciało rąbnięto o ziemię, ktoś wrzeszczał wniebogłosy, ktoś inny przeklinał i wył jak zarzynane zwierzę. Ni z tego, ni z owego przede mną pojawił się jakiś wrogi jeździec, który stanął w strzemionach, by ciąć

toporem. Mój rumak zarżał dziko, wystraszony, i uskoczył w bok. Ostrze topora śmignęło mi tuż nad głową.

Krew huczała mi w skroniach. Lewą ręką nadal trzymając się ogłowia, wyszarpnąłem miecz prawą i ciałem ze wszystkich sił, o mało nie ześlizgując się przy tym z końskiego grzbietu. Czas, jak to czasami bywa, nieco zwolnił, a ja wyraźnie ujrzałem, jak moje ostrze rozrąbuje skórzany karwasz napastnika i wbija mu się w ciało powyżej nadgarstka.

Z niedowierzaniem patrzyłem, jak wrogi jeździec z głośnym syknięciem wypuszcza topór i przyciska ranne ramię do piersi. Przez jego zaskakująco młode oblicze przemknął grymas bólu przemieszany z przestraczeniem, gdy nagle uświadomił sobie, że wojna niekoniecznie będzie polegać na popijawach, darciu mordy, podpalaniu szop i straszaniu niewinnych.

I że przypuszczalnie dał się wciągnąć w koszmar, z którego może się już nie obudzić.

Nie mam pojęcia, co wyczytał z mojego oblicza, ale wystarczyło, by zawrócił konia i rzucił się do ucieczki. Ja zaś, rozgrzany całkiem niezasłużonym zwycięstwem, dźgnąłem konia piętami i ruszyłem do dalszej walki.

Kątem oka ujrzałem Urgo, który zdążył już posłać jednego ze swoich przeciwników na ziemię, ale jego miejsce zastąpił inny. Przez myśl mi przeszło, by przemknąć obok przeciwnika i zajechać go mieczem przez plecy, ale wtedy dostrzegłem ostatniego z wrogów, który właśnie się wspinał na siodło. W rękę trzymał pochodnię.

Twarz, wykrzywioną osobliwym grymasem, obrócił w stronę sierocińca.

Nie miałem pojęcia, co takiego chciał osiągnąć, próbując podpalić budynek zamieszkały przez dzieci, podczas gdy logika nakazywałaby przykładowo zaatakować Urgo od tyłu i pozbyć się największego zagrożenia, ale wystarczył jeden rzut oka na oblicze żołdaka, by się zorientować, że zdolność logicznego myślenia nie jest jego najmocniejszą stroną. Wyłupiaste oczy żołnierza płonęły szaleństwem, a wargi szeptały jakieś słowa, których wolałem nie słyszeć. Naraz

mężczyzna zaśmiał się chrapliwie i odchylił ramię do tyłu, szykując się do rzutu.

– Stój! – ryknąłem, pędząc na niego ze wzniesionym mieczem.

Usłyszał mnie i zawahał się na chwilę krótką jak myśl, co wystarczyło, by ocalić sierociniec. Pędziłem bowiem na niego jak szalony i do zderzenia pozostały nam zaledwie sekundy. Żołdak był nie w ciemną bity i wiedział, że musi wybierać: mógł zrealizować swój zamysł i cisnąć pochodnią, ale wystawić się przy tym na mój atak, albo zwrócić się ku mnie.

Wybrał to drugie.

Nie byłem wojownikiem. Miałem o wiele większą wprawę w wymachiwaniu chochlą, tasakiem czy choćby – dzięki ojcu – kielnią murarską aniżeli mieczem, ale żołdak księcia Ruperta nie mógł tego wiedzieć i potraktował mnie jak poważne zagrożenie. Z wprawą uniknął mego ciosu – przyznam, dość rozpaczliwego – a potem z impetem grzmotnął mnie pochodnią przez plecy.

Buchnęły płomienie, strzeliły iskry, zahuczało i zabolęło. Na Dole, ból był tak okropny, że na krótko kompletnie straciłem panowanie nad sytuacją. Zapomniałem o mieczu, koniu i walce, oddając się tylko jednej myśli: jak najszybciej stłumić płomienie, które pożerały mi koszulę.

Nawet nie poczułem impetu, z jakim grzmotnąłem o ziemię. Tarzałem się do chwili, gdy ogień zagaś, a ból zelżał na tyle, bym mógł na powrót zebrać myśli.

Z trudem uniosłem się na łokciu.

Pochodnia upuszczona przez szaleńca w mundurze księcia Ruperta nadal płonęła, a rozgrzane powietrze falowało. Ujrzałem w nim rozmazaną postać młodej kapłanki, która stała nad nieruchomym już ciałem mojego przeciwnika i napierała na włócznie tkwiącą gdzieś w jego trzewiach. Ku niej szedł Urgo, zakrwawiony, w porąbanym pancerzu, ale nadal wyprostowany.

– Czyli jednak wojna – powiedziała kapłanka znużonym, drżącym głosem.

– Wojna – potwierdził ochryple Urgo.

Patrzyli sobie w oczy intensywnie i śmiało. Jak ludzie, którzy stworzyli silną więź i nauczyli się na niej wspierać.

Pierwszy odwrócił wzrok rycerz. Opuścił głowę, jakby nagle doznał upokorzenia.

– Tu mogło dojść do strasznych rzeczy – szepnęła kapłanka. – Powinnam była od razu zabrać dzieci jak najdalej stąd.

– Nie powinnaś się obwiniać – odparł rycerz. Patrzył w dal, ku zasnutym dymami jabłonkom. – Wojna nie czeka na nikogo. Poza tym – przez jego usta przebiegł grymas pogardy – dziś rano to nie ty podejmowałaś tu decyzje.

Kapłanka się skrzywiła.

– Widziałeś ją? Widziałeś Gwonn?

– Uciekała, potykając się o własne nogi. Błagała mnie o pomoc. – Urgo pokręcił głową z wyraźnym niesmakiem. – Niech ją Dola pokarze!

– I tak też się stanie – powiedziała surowym głosem dziewczyna. Miałem wrażenie, że chciała unieść rękę, by dotknąć jego dłoni, ale może tylko mi się przywidziało w gorącym, rozedrganym powietrzu.

Oboje odwrócili się ku zabudowaniom. Walka trwała krótko, lecz ogień zaprószony przez żołdaków księcia Ruperta rozchodził się coraz śmieiej. Widziałem, jak płomienie pożerają snopki siana ustawione wzdłuż ścian szopy, jak wspinają się po deskach. Powietrze było nieruchome, a dom kryty czerwonym gontem stał kilkanaście kroków dalej, dzieciom nie groziło więc bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale zbliżał się czas podjęcia decyzji.

Rycerz Urgo najwidoczniej doszedł do tego samego wniosku, bo rozejrzał się po zasłanym trupami dziedzińcu i spytał:

– Gdzie macie tu wiadro? Trzeba...

– To tylko dom, Urgo. – Kapłanka pokręciła głową. – I to za blisko frontu, jak na mój gust. Trzeba zabrać stąd dzieci.

– Mam wóz – wykrztusiłem, wstając.

Wyładowany pułkowym zaopatrzeniem, podpowiedziała przytomniejsza myśl, ale zbyłem ją potrząśnięciem głową.

Kapłanka i rycerz odwrócili się ku mnie. Usiłowałem sprawiać wrażenie, jakby starcie na dziedzińcu wcale mnie nie obeszło, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że schowałem je za plecami.

– Mam wóz – dodałem. – Spory. Zawalony towarem, ale... da się go wykorzystać. Ile macie tych dzieci?

Odruchowo zerknąłem na dom. W szparach między okiennicami i za rozbitą futryną dostrzegłem kilka rozczochranych główek i szeroko otwarte oczy, błyszczące przestraszonym i ciekawością.

– Czternaścioro – odpowiedziała kapłanka i zrobiła krok ku mnie. – Dola cię tu ściągnęła, dobry człowieku. Naprawdę to dla nas zrobisz?

– To żadne wyrzeczenie – powiedziałem. – Pomogę wam, o ile...

Odnalazłem wzrokiem mojego kapryśnego wierzchowca, który stał przy kamiennym murku wraz z rumakiem jednego z żołdaków. Oba konie wyciągały szyje, by sięgnąć jabłek z rosnących w pobliżu muru drzew.

– O ile pomożecie mi wpiąć tego bydlaka do wozu – dodałem.

– Z tym nie powinno być problemu – oświadczył rycerz i ruszył w stronę konia. Odruchowo spojrzałem za nim, a wtedy...

Miałem wrażenie, że coś targnęło rzeczywistością. Był to ostry, gwałtowny ruch, który z braku lepszego pomysłu przyrównałbym do zaciśnięcia paska przy spodniach. Z szeroko otwartymi oczami odwróciłem się ku kapłance i ujrzałem, jak przez chwilę krótką niby okamgnienie spowija ją złocista poświata, czysta niczym woda górskiego stawu przeszyta promieniami słońca.

Poświata znikła równie szybko, jak się pojawiła, ale nie była złudzeniem, o czym świadczyło bezgranicznie zdumienie na twarzy kapłanki. Zdumienie oraz...

Oraz coś jeszcze, czego nie umiałem nazwać.

Naraz dziewczyna uświadomiła sobie, że się jej przypatruje. Odwróciła ku mnie głowę i spoglądała na mnie przez kilka uderzeń serca, a potem uniosła do ust brudny od krwi palec i nakazała mi milczenie. W jej oczach, szarych niczym niebo nad naszymi głowami, malowała się teraz rezygnacja oraz...

Tak, teraz już wiedziałem.

Żal.

Brałem w życiu udział w dziesiątkach przepychanek, bójek i szarpanin, ale nigdy dotąd nie zdarzyło mi się walczyć na śmierć i życie. Gdyby jeszcze wczoraj ktoś mi powiedział, że u boku dopiero co poznanego błędnego rycerza skoczę na sześciu uzbrojonych po zęby żołnierzy wroga, zapewne parsknąłbym pełnym niedowierzania śmiechem. Gdybym usłyszał, że takie starcie przeżyję, zapewne popukałbym się w głowę.

Ale przeżyłem. I być może pomogłem ocalić kilkanaście niewinnych ludzkich istnień. Czułem, że pułkownik Drust, o ile przetrwał bitwę, będzie chciał sobie powetować uszczerbek na honorze na kimś niegroźnym, a nieudolny kwatermistrz, który zawieruszył prowiant dla całego oddziału, nada się do tego wprost idealnie, ale w tej chwili niespecjalnie się tym przejmowałem.

Wciąż raz po raz odtwarzałem w głowie niedawne wydarzenia i usiłowałem zwalczyć dygot wstrząsający mym zmęczonym ciałem.

Nie bardzo pamiętam, jak dotarliśmy do porzuconego przeze mnie wozu, ale odkryłem, że prosta czynność, jaką jest ściąganie worków i przerzucanie ich za mur, przynosi mi ukojenie. W pewnym momencie zacząłem nawet ustawiać je tak, by nie były od razu widoczne dla nadciągających drogą żołnierzy.

Może uda się je jeszcze jakoś odzyskać, pomyślałem, co było kolejnym dowodem na to, że wracam do równowagi.

– Wystarczy – powiedział rycerz, pozbywając się worka z grochem.

Uniosłem głowę zaskoczony. Urgo otrzepał dłonie i wskazał tył wozu.

– Bez trudu zmieścimy tu czternaścioro dzieci, przyjacielu – powiedział. – A tych beczek i tak bym nie wyrzucał, bo coś mi mówi, że wiesz w nich miód. Na dziecięce lęki nic nie działa lepiej od miodu.

Uśmiechnąłem się lekko, patrząc, jak rycerz łapie mojego rumaka za uzdę, po czym prowadzi go w stronę wozu. Zwierzę, o dziwo, nie protestowało.

– Sporo wiesz o dzieciach – powiedziałem.

Urgo zaśmiał się sucho.

– Nic nie wiem o dzieciach – rzucił. – Choć je lubię. Przypominają mi, że wciąż jest na tym świecie coś, dla czego warto walczyć i znosić wyrzeczenia. One i...

Urwał. Przez moment milczał, w pełni skupiony na zaprzęgnięciu konia, choć widziałem, jak jego grdyka unosi się i opada. Nie było wątpliwości, że targają nim silne emocje.

– I ona – dokończyłem za niego, uśmiechając się lekko. – Ta kapłanka, prawda? Dla niej również warto walczyć, co nie?

– Dislai to nowicjuszka – poprawił mnie Urgo. – I minie jeszcze kilka lat, nim zostanie pełnoprawną kapłanką, ale... ale tak.

Uśmiechnąłem się lekko i wskoczyłem na kozła. Urgo już siedział w siodle i patrzył w niebo, po którym wciąż przesuwają się chmury, szare i ciężkie niczym kłęby dymu.

Cmoknąłem na konia, a ten ruszył przed siebie, ciągnąc pusty wóz. Urgo podążył za nami.

– Dola to zazdrosne bóstwo – powiedział cicho, nie patrząc na mnie. – Nie życzy sobie, by służący jej ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, obdzielali uczuciami również inne osoby. Nie pozwala nam na miłość. Nie chce, byśmy zakładali rodziny. Dislai...

Znów zamilkł, a ja nie skomentowałem jego słów.

Ktoś opowiadał mi kiedyś, że walka na śmierć i życie wyzwala wielkie emocje i każdy człowiek odreagowuje ją na swój sposób. Jedni kulą się i szlochają, inni zamykają się w sobie na długie godziny, a jeszcze innym drżą ręce i nogi. Bywają też tacy, którzy po prostu mówią.

Coś mi podpowiadało, że źle postępuję. Że nie powinienem wykorzystywać chwili słabości dzielnego rycerza, by w ten sposób poznać jego sekrety, ale z drugiej strony nie mogłem przestać myśleć o owej jasności, która spowiła Dislai, oraz jej osobliwym geście. Pomogłem tym dwojgu, narażając własną skórę, a teraz chciałem się dowiedzieć, co nimi kieruje.

– Obiecałem sobie, że nigdy już się do niej nie zbliżę – podjął Urgo. – Że będę wędrował traktami Doliny, modlił się i walczył dopóty, dopóki jej obraz w mojej pamięci się nie

rozmyje. Dopóki wszystkie wspomnienia nie skruszeją ze starości. Dopóki nasza nierozważna, niepotrzebna miłość nie obumrze. Za punkt honoru przyjąłem sobie, by nie zbliżać się do żadnej kobiety, tak by nic, absolutnie nic, nie przypominało mi o Dislai... Ale Dola doświadcza nas ciężko, przyjacielu. Słyszałeś o jej Snach?

Rycerz odwrócił ku mnie udręczoną twarz. Był kilka lat starszy ode mnie, ale teraz wydał mi się niemalże starcem.

– O Snach Doli? – spytałem z głupkowatą miną. – Coś tam słyszałem, ale...

– Zapewne bzdury rozprowadane przez rozochoconych pijaków! – prychnął Urgo ze złością, ale jego gniew szybko osłabł, a błękitne oczy rycerza znów zasnuła mgła. – Dola wie, że nie możemy kochać. Wie, że cierpimy, dlatego często zsyła nam wizje tych, których kochamy. Wyraźne, czyste wizje, piękniejsze od zwykłych snów. Mówiono mi, że to rekompensata za wszystko, co tracimy na służbie, ale mnie tylko odbiera to spokój.

Przytaknąłem bezwiednie. Moim zdaniem nie była to żadna nagroda, jedynie dowód na to, że bóstwo nie rozumie podstawowych pragnień swoich sług, zwłaszcza że – jeśli wierzyć owym rozochoconym pijakom – zdecydowana większość Snów Doli była mocno nieprzyzwoita.

Zamrugąłem, bo nagle przypomniała mi się jeszcze inna opowieść o kapłanach Doli, bardzo frapująca, zwłaszcza w tej chwili.

– Choć może nie powinienem narzekać – dodał rycerz. – W ostatnim Śnie Doli ujrzałem płonący sierociniec. Gdyby nie to, nie przybyłbym Dislai na pomoc i...

Pokręcił głową, jakby chciał odegnać wizję koszmaru. Przez moment jechaliśmy w milczeniu, aż rycerz spojrział na mnie.

– Z tego wszystkiego zapomniałem ci podziękować – rzekł. – Odważny z ciebie człowiek. I mieczem robisz jak mało kto. Naprawdę jesteś kwatermistrzem?

– Wiele przemawia za tym, że już nie. – Wskazałem kciukiem niewidoczny już murek, za którym ukryliśmy pułkowe dobra. – I nie obraż się, ale chętnie popędzę konia. Martwię się o Dislai i dzieciaki. Nie mam bladego pojęcia, czy ta bitwa trwa nadal, czy może właśnie dobiegła końca, ale



skoro ci jeźdźcy dotarli aż tutaj, w ślad za nimi mogą przyjechać kolejni. Tym bardziej że jeden z nich na pewno zwiął.

\*

Dotarliśmy do sierocińca w chwili, gdy płomienie zajęły już szpęgę aż po dach, a gryzący dym zalał całą okolicę. Dislai nie marnowała czasu i na drodze, daleko od ognia, stała gromadka obdartych, wystraszonych dzieciaków. Każdy z nich trzymał koc pod pachą i tobołek na ramieniu, a kilkoro starszych wrzuciło na tył jakieś worki i skrzynie.

Jedna z nich zatrzymała się tuż obok baryłek z miodem. Doskonale znałem widniejące na niej oznaczenia.

– Co to jest? – spytałem zaskoczony.

– Bocek! – wyjaśnił pchający skrzynkę umorusany malec z dziurą w uzębieniu na dwa palce. – A nie, bo bocek jest w tej długiej! To gzybki!

– Nie, chodziło mi o to... skąd wy to macie?

– Od dziada! – pisnęła jakaś dziewczynka w chuście, tuląca do siebie główkę kapusty.

– Dziada?

– Takiego stalego! – wyjaśnił szczerbaty malec. – I łysego. Tłochę śmiędział, ale fajne histolyjki opowiadał!

– Ciągłe coś do żarcia przynosił! – dołączył drobny piegusek z czupryną przypominającą spalone ptasie gniazdo. – Szyneczki! I rzepe! I jajeczka! Całe worki!

Wywróciłem oczami, obiecując sobie w duchu, że kiedyś, w innych okolicznościach, przybliżę tym dzieciom ideę sprzeniewierzenia dóbr państwowych, co, miejmy nadzieję, nastąpi po tym, jak dorwę owego stalego dziada.

Urgo zatrzasnął klapę wozu, a Dislai dosiadła jednego ze zdobycznych luzaków i zważyła w dłoni włócznie. Nieźle dawała sobie radę w siodle, a zadziorność na jej pięknym obliczu w pełni tłumaczyła uczucie, którym zapłonął do niej rycerz.

– Ruszamy do Koziegobrodu! – zawołała. – A potem zobaczymy!

Odjechali i żadne z nich nawet nie obejrzało się na zasnuty dymami, zasłany trupami i zbryzgany krwią dziedziniec.

\*

Dobrze znałem trasę, którą przyszło nam przemierzyć, bo sam czyniłem to wielokrotnie. Wiedziałem, że w drodze do Koziegobrodu przyjdzie nam mijać dwie ludne wioski i kilka mniejszych osiedli, i próbowałem sobie wyobrazić sytuację na trakcie wiodącym do zamku. Jeśli dotarł tam już jakiś goniec pułkownika Drusta bądź – co gorsza! – konny zagon księcia Ruperta, ludzie z pewnością uciekali właśnie w popłochu, uwożąc dobytek. Oczyma wyobraźni widziałem przewrócone wozy i wrzeszczących ze zgrozą uciekinierów, usiłujących się przepchnąć ku wolności.

Nawet srogi rycerz Doli, który niedawno pokonał kilku wrogich siepaczy, oraz kapłanka, na którą najwyraźniej spłynęła łaska bóstwa, nie zdołają zapewnić dzieciom bezpieczeństwa pośród takiego rejdowachu.

Zerknąłem na nich. Rycerz jechał przodem, a kapłanka tuż za nim. Miałem wrażenie, że od chwili opuszczenia sierocińca nie spojrział na nią ani razu, podczas gdy Dislai nie spuszczała z niego wzroku, raz po raz ukradkiem ocierając oczy.

Na horyzoncie nie widziałem dymów, a lekki wiatr jak dotąd nie niósł krzyków przerażenia, co poczytywałem za dobrą nowinę. Może podjazdy Ruperta wcale nie zapuściły się aż tak daleko. Może poszły w innym kierunku. A może nie było ich wcale.

Wóz hurkotał na nierównościach traktu, kopyta stukotały, dzieci gadały ze sobą i chichotały. Najwyraźniej zapomniały już o strasznych przeżyciach. Zza jabłonek i grusz wylaniały się pierwsze zabudowania. Widziałem równiutkie strzechy, uporządkowane obejścia, proste płoty i ludzi pochłoniętych obowiązkami. Gdzieś ujadają psy, ale mało kto na nas spoglądał.

Obudziła się we mnie nadzieja, że być może jednak dotrzemy do Koziegobrodu bez przeszkód.

– Mam wrażenie, że... – odezwałem się, ale urwałem, bo gdzieś za nami rozległ się tętent kopyt. Odwróciłem się, podobnie Urgo i Dislai.

Traktem pędził żołnierz w mundurze wojsk księcia Stefana. Nie miał broni ani tarczy, zgubił też hełm i jego rzadkie siwe włosy powiewały na wietrze. Szeroko otwarte z przerażenia oczy zdradzały jednak, że utrata przydziałowego sprzętu to najmniejsze z jego zmartwień.

– Klęska! – darł się. – Klęska! Wszyscy zginęli! Uciekać! Uciekać, póki jest jeszcze czas!

– Hej! – stanąłem na koźle. – Karsten! Karsten, bracie! Zatrzymaj się!

W naszym pułku służyło trzystu dwudziestu żołnierzy i przez długie miesiące podawania draniom posiłków nauczyłem się łączyć twarze z imionami, zdołałem się też dowiedzieć co nieco o każdym z nich. Karsten, starszy od dużej części żołnierzy, należał do największych mądrali. Głośno wykladał swoje prawdy każdemu, kto chciał go słuchać, a tych na ogół było wielu, bowiem Karsten nie wierzył w wojnę na południu Wichrowin i otwarcie zapewniał, że księżę Rupert nigdy nie ruszy swych wojsk.

„Dobrze go znam – powtarzał zaszuchanym poborowym. – Służyłem mu wiele lat jako przyboczny i doradca, a to starczy, by poznać czyjś charakter. Nieraz mawiał: »Nie masz pojęcia, Karsten, jak mnie męczy wojaczka. Całe to błoto, grochówka i sranie do dziury to sprawy zdecydowanie nie dla mnie«”.

To, czego Karsten doświadczył tego dnia, musiało więc zniszczyć fundamenty jego świata i wstrząsnąć nim do głębi, bo nie poznał mnie wcale. Nie reagując na moje okrzyki i wymachiwanie rękami, przemknął obok na spienionej chabecie i wpadł w sam środek wsi.

– Ratujcie się! – wrzeszczał. – Porzucajcie chudobę i uciekajcie! Oni tu zmierzają! Idą! Pałą, niszczą, zabijają! Nikt nie ocaleje!

Chłopi porzucali pracę i podbiegali do płotów. Niektórzy już odwracali głowy w stronę, z której nadjechał Karsten, i patrzyli na nasz wóz. Słyszałem niespokojne pokrzykiwania, tu i ówdzie płakało dziecko. Gdzieś trzasnęły drzwi. Psy

szczeły jak opętane, a Karsten mknął dalej, nie przestając wrzeszczeć.

Co gorsza, jego krzyki wzbudziły również strach w naszych podopiecznych. Któreś z dzieci jęło głośno zawodzić, inne pochlipywały żałośnie.

– Ja chcę do stałego dziada! – szlochał mój rozmówca od gzybków.

Dislai podjechała do burty wozu. Słyszałem, jak uspokaja dzieciaki miękkim, cichym głosem, który nawet mnie dodał otuchy. Spojrzałem na Urgo. I przełknąłem ślinę, opanowując odruch odwrócenia się za siebie.

– Przez tę wieś przejedziemy – oznajmiłem. – Przez kolejną, jeśli ten wariat nie przestanie się drzeć, już nie. Uciekinierzy zatłoczą trakt.

Urgo zawrócił konia i spojrzał na trakt niknący między sadami.

– Nie mamy wyjścia – oznajmił. – Musimy spróbować jakoś...

Nagle mnie olśniło.

– Jest inna droga – przerwałem mu. – Bardziej wyboista i dłuższa, ale omija większość wsi. Jeśli nic nas nie zatrzyma, po zmierzchu będziemy w Kozimbrodzie!

– I dopiero teraz mi to mówisz?! – zadudnił rycerz. – Prowadź!

Zjechaliśmy z traktu obok stodoły, z której przerażony chłop wytaczał właśnie wóz, drąc się na żonę, dźwigającą worek na plecach i zapłakaną dziewczynkę pod pachą. Dislai nadal przemawiała swym cudownym głosem do dzieci i próbowała skupić na sobie ich wagę. Urgo zaciskał szczękę.

W powietrzu unosił się zapach dymu i lęku. Wojna dotarła do Doliny na dobre.

\*

Z traktu, który wskazałem Urgo, korzystałem wcześniej parokrotnie. Lubiłem nim jeździć, bo prowadził prosto na targowisko i omijał łukiem osadę. Co więcej, znałem dogodne miejsce na brzegu rzeki, gdzie mogłem napić konia, gdy po letniej suszy wreszcie wezbrały wody. Mostek nad żwawym

nurtem – ten sam, na którym niegdyś starłem się z krasnoludem Grammem – nie należał do szerokich, ale jak dotąd bez trudu udawało mi się go przejechać.

Wszystko układało się więc po naszej myśli, z tym wyjątkiem, że trakt nigdy dotąd nie wydawał się aż tak koszmarnie długi.

Wierciłem się na koźle, a w mojej głowie walczyły najrozmaitsze pomysły. Co chwila się odwracałem, niby po to, by uśmiechnąć się do dzieciaków, ale tak naprawdę chciałem się przekonać, czy nikt nas nie goni. Parokrotnie popędziłem konia, co zakończyło się pełnymi protestu piskami dzieciaków oraz oskarżycielskimi skrzygnięciami piasty i resorów, odtąd więc co jakiś czas wstawałem, by objąć wzrokiem cały horyzont.

– Możesz przestać się wiercić? – ofuknęła mnie w końcu Dislai. – Stresujesz dzieci!

– Nie jestem bohaterem tak jak ten twój... – parsknąłem w odpowiedzi, ale urwałem na widok jej wściekłego spojrzenia. Skupiłem się na powożeniu, bo nie pozostawało mi nic innego do roboty.

Dzień miał się już ku końcowi i szare chmury, wiszące, zdawałoby się, tuż nad naszymi głowami, zaczynały ciemnieć, a powietrze stygło gwałtownie. Dislai, przytroczywszy konia do wozu, rozsiadła się między dziećmi i okrywała je troskliwie kocami. Trakt zdawał się nie mieć końca, konie człapały, wóz skrzypiał, a ja przeklinałem.

W duchu, rzecz jasna, by się nie narazić kapłance.

Pozostawało się cieszyć, że jak dotąd nie wpadliśmy w żadne tarapaty. Ciemniejącego nieba nie skaziły nawet ślady dymów z palonych osad, a ziemia nie drżała od łomotu kopyt. Gdyby nie wciąż świeże wspomnienia starcia przed sierocińcem, mógłbym nawet zapomnieć, że toczy się wojna.

Sytuacja uległa zmianie, gdy dotarliśmy do mostu.

Stały przed nim dwa wozy, a konie zaprzęgowe, pozostawione same sobie, skubały trawę, obojętne na pokrzykiwania grupki mężczyzn szarpiących się z trzecim wozem, który najwyraźniej utknął na moście. Podjechałem bliżej powoli i czujnie, pełen najgorszych przeczuć, a wtedy uświadomiłem sobie, że znam tę bandę.

I to aż za dobrze.

– Tyka? Pępol? Bawół? – zawołałem, zeskakując z wozu. – Co za spotkanie!

W kilku krokach znalazłem się przy chłopakach ze służby kwatermistrzowskiej, spoconych, ubrudzonych i najwyraźniej będących na skraju wyczerpania. Mojej uwadze nie uszło również to, że dwa stojące dalej wozy wciąż były po brzegi wyladowane dobrami pułkowymi. Rozładowany był tylko ów trzeci, czemu nie sposób było się dziwić – powożący nim władował się w balustradę, a koło uwięzło między skrajem mostu i stromym tu brzegiem.

– Coś taki zdziwiony? – spytał, prostując się, Joachim, siwobrody kuternoga o grzmiącym głosie. – Przecież wszyscy mieliśmy iść na Kozibród. Rozkazy były.

– Tak, jasne, jasne – bąknąłem pod nosem, idąc ku nim. – Zaraza, Pępol, to tyżeś się tak tu wpierdolił? Nie dało rady na prostych kołach wjechać?

Pępol wciągnął chrapliwie powietrze do płuc i zaplótł ramiona na piersi, a mnie się przypomniało, że kiedyś widziałem go zonglującego nożami. Uprzytomniłem sobie ponieważ, że mój pomagier zapewne już usłyszał to od reszty, i to kilkanaście razy. Zrobiło mi się trochę niewyraźnie.

– Masz jeszcze jakieś mądre spostrzeżenia, Kociołek? – spytał Tyka, a potem zerknął na nasz wóz. – Czy może chciałbyś już posłuchać moich?

– Daruj sobie – burknąłem. – I bierzmy się do roboty.

– Do roboty? – syknął Tyka. – Robotą to my się, Kociołek, zajmujemy już od dawna. Ciekawe natomiast, czym ty się zajmowałeś, chłopie. Bo widzę, że z naszych wozów nic nie ubyło, a twój jakby puściutki!

Poczułem, że się czerwienię.

– Ja... – wykrztusiłem, bo nagle zaschło mi w gardle. – Dajcie mi wytłumaczyć! Zaszła nagła potrzeba...

– No to opowiedz nam o tej potrzebie, słuchamy – rzekł słodkim tonem Pępol. – Bo odniosłem wrażenie, Kociołek, że ty sumienny chłopak jesteś i bardzo dbasz o pułkowe zaopatrzenie. Tak bardzo, że nie chciałeś nas puszczać samych z wyladowanym wozem.

– Pewnie chodziło o to, żeby się nam co nie zawieruszyło – dodał z przekąsem Tyka. – Żeby, zaraza, coś z wozu nie spadło. A tu popatrzcie, kamraci. Nasz Kociołek, uosobienie praworządności, zajeżdża niemalże puściuteńkim wozem, za to z bandą bachorów!

– Komu żeś opchnął ładunek, co? – spytał Joachim ze świętym oburzeniem.

– Nikomu niczego nie opchnąłem! – Moje zmieszanie powoli przeobrażało się w gniew. – Wywalilem go z wozu, by wziąć te dzieciaki z sierocińca tuż po tym, jak pojawiła się banda żołdaków księcia Ruperta i...

– No nie! – zaryczał Tyka z udawaną rozpaczą, teatralnym gestem przytykając sobie dłoń do czoła. – Zaraz chyba zemdleję ze wzruszenia! Dzieci uratowałeś przed straszliwym podjazdem wroga, tak? Ja się chyba zaraz ze wstydu spalę! Myśmy cię brali za kanciarza, Kociołek, a ty, jak widać, świętszy od kapłanów Doli!

Wściekłość odebrała mi mowę. Zrobiłem krok w stronę Tyki, gotów złapać go za kaftan, cisnąć na ziemię i tłuc dopóty, dopóki nie zacząłby mnie traktować poważnie, ale wyrósł przede mną Pępol, który grzmotnął mnie otwartą dłonią w pierś, aż się zatoczyłem.

– Fatalnie to rozegrałeś, Kociołek! – rzucił. – Zamiast wciskać nam głodne gadki o sierotkach, powinienes, gnoju jeden, rzucić po mohinie każdemu z nas i byłoby dobrze!

Widziałem, że zwierza pięści i pochyła się do przodu, gotowy do walki. Ta konfrontacja nie mogła skończyć się dobrze, ale nagle stało mi się to obojętne.

– Niczego. Nie. Ukradłem – powiedziałem dobitnie, robiąc krok ku Pępolowi. – I ostrzegam cię: jeszcze jedno słowo i...

– I co? – wycharczał Pępol, pochylony niczym rozwścieczony buhaj, trzymany w miejscu już tylko przecierającym się, pękającym sznurem. Stał tak blisko, że czułem od niego smród przetrawionego alkoholu.

– I będę musiał się wtrącić – odezwał się ktoś za moimi plecami.

Pępol spojrzął nad moim ramieniem i natychmiast się wyprostował.

– Nie wtrącaj się, Urgo! – warknąłem. – To nie twoja sprawa.

– Owszem, moja – powiedział spokojnie rycerz i odsunął mnie niczym snopek siana, po czym sam stanął naprzeciwko Pępola, tak blisko, że ten musiał się cofnąć, by nie uderzyć nosem w przerdzewiały, pogięty napierśnik. – Bo uznaję za moją każdą sprawę, w której ktoś zarzuca kłamstwo człowiekowi dobrej woli.

– A ty niby kto? – warknął Pępol, choć jakby mniej pewnie niż jeszcze przed chwilą. – Miejski sędzia czy może...

– Jestem rycerzem Doli – odrzekł Urgo. Nagle jego dłoń w skórzanej rękawicy wystrzeliła naprzód i zacisnęła się na szyi mojego pomagiera, który zarzęził i wybałuszył oczy. – I istnieje tylko jedna rzecz, która irytuje mnie bardziej od niesprawiedliwości: zwykła durnota. Spójrz na to!

Gwałtownym szarpnięciem ustawił Pępola tak, by mógł się przyjrzeć naszemu wozowi.

– To jest Dislai. – Wskazał na dziewczynę, która zeskakiwała właśnie z wozu. – Kapłanka, która do dziś zajmowała się sierocińcem. Na wozie zaś siedzą dzieci, które z tego sierocińca uratowaliśmy. Te konie z kolei to jedyne, co zostało z Rupertowego podjazdu, który próbował spalić rzeczony sierociniec. A nie udało się to tym skurwysynom dlatego, żeśmy we troje ich wythukli, podczas gdy twoim największym dokonaniem – rycerz wymownie spojrzał na zaklinowany wóz – pozostaje wyżłopanie paru czarek wódki i pogruchotanie balustrady na moście.

– Puść go – powiedziałem do Urgo, gdyż czerwień na policzkach Pępola szybko przechodziła w sinawy fiolet, a białka oczu nabiegły krwią. Urgo rozwarł palce i mój pomagier osunął się na ziemię, rzeżąc i pryhajac.

Klepnąłem rycerza w ramię i postąpiłem krok do przodu.

– Nigdy więcej nie mierz mnie swoją miarką, Tyka – powiedziałem ze znużeniem. – I zamknij już gębę, na Dole, bo zaraz coś ci jaja w niej złoży.

– Rupertowi się przedarli? – spytał przytomnie Joachim.

– Nie wiem – powiedziałem. – Ten jeden podjazd na pewno. Widziałem też, jak nasi wieją przez las ku obozowisku. Przez moment miałem nadzieję, że pułkownik zatrzymał odwrót,



ale potem traktem przejechał Karsten i wrzeszczał coś o kłesce.

Choć zapadał zmrok, widziałem, jak moi towarzysze bledną. Tyka głośno przełknął ślinę, a Joachim splunął i zaklął głośno. Pępol nadal zwijał się na ziemi, kaszląc i łapiąc powietrze.

– Trzeba usunąć ten cholerny wóz – oznajmiłem. – Skoro koło utknęło, durnie, trzeba je zdjąć i przeciągnąć...

– Próbowaliśmy! – warknął Tyka. – Ale nie da się wybić czopu!

– No to wymyślimy coś innego!

– Lepiej się pospieszcie – powiedział nagle zmienionym głosem Bawół.

Spojrzałem na starego poczciwinę ze zdumieniem przemieszonym z konsternacją, ale nim zadałem choć jedno pytanie, zrozumiałem, o co mu chodzi.

Ziemia pod naszymi stopami zadrżała, a wiatr niósł ku nam stłumiony szcęk oręża i niewyraźne pokrzykiwania podoficerów.

Staliśmy jak oniemiały, wpatrując się w ciemności, wśród których kroczyła ku nam zagłada, gdy chwilę niepewności przerwał Urgo.

– Dislai! Zabieraj dzieciaki i uciekajcie przez most! – huknął, wyciągając ze zgrzytem miecz. – Pomóżcie im, na Dole! – Wolną ręką pchnął oszołomionego Tykę, a po nim Bawoła. – Ruszcie się, nieszczęsne półgłówki! To dzieci, nie zdołają uciec o własnych siłach! Wyprzęgnijcie konie! Ja zdobędę dla was trochę czasu.

Jego głos, ostry i nieznoszący sprzeciwu, miał w sobie coś, co poskramiało wszelką niesforność. Tyka przypadł do mego wozu jako pierwszy. Trzęsącymi się rękami odtroczył jednego ze zdobywczych koni, po czym posadził w siodle dwójkę najmniejszych malców. Obok niego szarpał się z kantarem Bawół, a Joachim kusztykał już kamratom na pomoc.

– Urgo! – szepnęła Dislai, z trudem panując nad rozpaczą. – Urgo, nie rób tego.

Złapała rycerza za łokieć, ale ten wyszarpnął się jej niemalże z przestrachem i pochylił się nad Pępołem, powoli

dochodzącym do siebie. Pochwycił go za ręce i pomógł mu się podnieść.

– Pomóż im – powiedział łagodnym, niemalże współczującym głosem. – Weź mojego rumaka. Mnie na nic się nie przyda.

Patrzyłem, jak oszołomiony Pępol podnosi się powoli, i wtedy coś sobie przypomniałem. Odwróciłem się ku kapłance.

– Dislai – szepnąłem nerwowo, wpatrzony w ciemność, rozbrzmiewającą setkami równo odmierzonych kroków. – Dislai, ja wiem, co tam się stało! Znam tę opowieść! Wszyscy ją znają!

W istocie, nie było bodajże w Dolinie człowieka, który nie znałby opowieści o Łasce Doli. Opiekujące się nami bóstwo, na ogół odległe i nieprzystępne, potrafiło bowiem niespodziewanie zesłać swą łaskę na kogoś, kto znalazł się w niebezpieczeństwie, porzucony przez innych i pozbawiony nadziei. Wedle opowieści byli to kapłani bądź rycerze, ale również zwykli ludzie czy nawet dzieci, byleby mieli czyste serca, a w nich odrobinę odwagi. Łaska Doli zaś objawiała się na dwa sposoby – po pierwsze, narzucała na wybrańca konieczność doprowadzenia do końca danego zadania, a po drugie dawała mu szczególną moc, którą ten mógł wykorzystać jedynie raz.

– Dola cię naznaczyła! – szeptałem gorączkowo, ściskając jej ramię. – Zobaczyłem, jak spływa na ciebie jej blask! Trudno zresztą o lepszy wybór, bo tak odważnej kobiety to w życiu nie widziałem, ale teraz chyba nadszedł czas, by sięgnąć po tę moc! Ocal te dzieci! Ocal nas wszystkich!

Wskazałem drżącym palcem ciemność, na tle której błyszczały już ogniki pochodni. Słyszeliśmy ochryple pokrzykiwania, gdzieś zarżał dziko koń. Ziemia dygotała, poszcze kiwał oręż.

Dzieci, którym udzielił się nasz lęk, popłakiwały.

Płakała również Dislai.

Po jej kamiennym, zniewalającym obliczu płynęły dwie strużki łez, których nawet nie starała się ukryć. Uniosła zasmarkaną dziewczynkę i posadziła ją w siodle własnego

konia, obok innej, którą umieściła tam chwilę wcześniej, a potem spojrzała na mnie.

– To niemożliwe – wyszeptała ledwie słyszalnym głosem, a potem zerknęła na Urgo, który wpatrywał się w mrok z zaciętą miną.

– Jak to niemożliwe? Wyraźnie widziałem, jak spływa na ciebie...

– Tak – przerwała mi ochryple kapłanka. – Ale zmarnowałam tę moc. Chyba nieświadomie, ale nikt nie przewidzi kaprysów Doli. Ja... – Urwała, by stłumić szloch. – Ja modliłam się podczas drogi, by... by on zapomniał. By przestał mnie kochać. By żył bez brzemienia, które zesłało na mnie bóstwo. I nagle poczułam, jak Dola przekazuje mi swą zgodę, a gdy spojrzałam na Urgo, w jego oczach była już pustka.

Poczułem, jak ulatują ze mnie resztki nadziei.

– To był błąd – szeptała kapłanka. – Ogromny. Nie powinnam była o tym myśleć. Nie powinnam była się skupiać na sobie, skoro...

– Teraz już za późno – powiedziałem surowiej, niż zamierzałem. – Uciekajcie. Stąd do Koziegobrodu zostały raptem dwie mile. Stamtąd idźcie cały czas na północ, aż znajdziecie karczmę zwaną Gryfem. Spora, zwalista, otoczona murem. Prowadzi ją moja żona. Tam otrzymacie pomoc i schronienie. Jedźcie.

Spojrzałem na most. Moi pomagierzy ze służby kwatermistrzowskiej stali już na drugim brzegu. Trzymali za uzdy zdobyczne rumaki oraz wyprzęgnięte konie pociągowe, którym zarzucono na grzbiety derki. Starczyło miejsca dla wszystkich dzieciaków.

– Jedźcie – powtórzyłem i klepnałem w zad konia trzymanego przez Dislai.

Nie popatrzyłem już na twarz zapłakanej kapłanki, nie powiodłem wzrokiem za koniem, którego przeprowadziła przez most. Usłyszałem w mroku oddalający się tętent kopyt. Dobrze – przynajmniej im się udało zbiec.

Stanąłem obok Urgo i wyciągnąłem miecz.

– Tę Łaskę Doli – mruknąłem, wpatrując się w coraz większe ogniki pochodni – można jakoś przyzwać czy co?

Rycerz uśmiechnął się lekko.

– Nie, chyba nie – odparł. – Ale zawsze możesz się pomodlić. Nie słyszałem jeszcze, by ktoś źle się od tego poczuł.

– Kiepsko mi to wychodzi – bąknąłem. – No wiesz, modlenie się.

– Nikt nie jest doskonały.

Poczułem na sobie jego wzrok, czujny i badawczy.

– Nie musisz tu zostawać – powiedział.

– Wiem, że nie muszę – wykrztusiłem przez ściśnięte gardło. – Co więcej, nie powinienem. Ale chyba sobie nie wybaczę, jeśli ci nie pomogę.

– Jeśli masz rodzinę – wyrzekł powoli rycerz – musisz do niej powrócić. Cały i zdrow. Ja nie mam nikogo poza Dola. Dla mnie – lekceważąco machnął mieczem ku zbliżającym się szeregom wojska – to chwila, która była mi pisana.

Ziemia drżała coraz mocniej, a moja determinacja kruszyła się i osypywała.

– Nie – wykrztusiłem wbrew sobie i wyżej uniosłem miecz. – Zostanę z tobą.

– Tylko będziesz przeszkadzał – westchnął Urgo. – Wiesz, nie chcę ci teraz sprawiać przykrości, ale... No, przesadziłem trochę, gdy ci powiedziałem, że dobrze walczysz. Nie sądziłem, że weźmiesz moje słowa na poważnie.

– Nie wzięłem – oznajmiłem z największym przekonaniem, na jakie było mnie stać.

– Przydałoby ci się kilka lekcji. No, już. Zwiewaj stąd.

– Nie. – Odchrząknąłem. – Zostanę tu i pokażę ci, na co naprawdę mnie stać.

– Ale ja nie chcę tego oglądać – warknął rycerz. – Chcę zatrzymać tych drani możliwie jak najdłużej, by Dislai zdołała uwieźć dzieciaki. Wiesz, co się dzieje z dziećmi pojmanymi w niewolę, Kociołek? W najlepszym razie zostają sprzedane i harują do śmierci! W najlepszym!

– To tym bardziej muszę zostać! – zaperzyłem się.

– Błagam cię, wynoś się stąd! – Głos rycerza zadrżał. – Nie mogę zatrzymać tych drani i jednocześnie osłaniać ciebie!

– Nie trzeba mnie osłaniać! – niemalże wrzasnąłem, powodowany osobliwym połączeniem frustracji i przerażenia.

Widziałem już jeźdźca na czele zbliżającej się formacji, który nagle uniósł pochodnię. Szeregi za nim zafalowały, zatrzymując się.

– Sierzancie, poślijcie zwiad! – poniosło się po nocy. Urgo wciągnął powietrze w płuca, rozstawił szerzej nogi i uniósł miecz. Ja zaś poczułem niewysłowioną ulgę.

– Nie nadymaj się – bąknąłem dziwnie słabym głosem. – To nasi. Dziesiąty Pułk Piechoty. Mój oddział.

*Ukochana!*

*Myślę, że dotarły już do Ciebie wieści o bitwie stoczonyj na południowej granicy Wichrowin. Jeśli dałaś wiarę uciekinierom, zadręczasz się zapewne wizjami naszej całkowitej klęski. Jeśli poczekałaś z osądem na książęcych gońców, zapewne uwierzyłaś, że odnieśliśmy druzgocące zwycięstwo. Rzeczywistość przedstawia się jednak całkowicie inaczej. Nasz pułk w istocie starł się z siłami księcia Ruperta, po czym rzucił się do ucieczki, a w chwili, gdy ścigający nas Rupertowi ciut opadli z sił, ruszył do kontrataku. W efekcie oba oddziały gonily się przez resztę dnia na przestrzeni kilku mil, a potem każdy z nich się wycofał na dalsze pozycje, przekonany, że wróg jednak jest o wiele liczniejszy, niż sądzono.*

*W efekcie mamy więc nowe, niegotowe jeszcze szańce, kilka mil ziemi niczyjej oraz znacznie krótsze linie zaopatrzenia, a do tego dziesiątki odznaczeń i medali, dzięki którym dowództwo chce nam wpoić i utrwalić świadomość licznych przewag nad nieprzyjacielem. Mnie, wyobraź sobie, również przedstawiono do odznaczenia za udział w rozbiciu wrogiego podjazdu, co jest oczywiście mocno naciąganym chwytem propagandowym. Moje życie ani przez moment nie znajdowało się w niebezpieczeństwie, ale przed medalem wzbraniał*

się nie będę, bo mówią, że będzie z tego jakaś emerytura. Miałem otrzymać jeszcze odznaczenie za odzyskanie dóbr pułkowych, które jakimś cudem trafiły do opuszczonego sierocińca, ale szefostwo zorientowało się, że nikt jak dotąd nie wpadł na to, że kucharzy też można za coś nagradzać, a więc skończyło się na wyróżnieniu przed całym pułkiem i obietnicą przepustki w bliżej nieokreślonej przyszłości.

Nie wiem, kiedy to nastąpi, bo przepierka z siłami księcia Ruperta uświadomiła naszemu Stefanowi wagę tejże linii frontu. Nie dalej jak wczoraj dotarła tu konna kompania porucznika Zyberta – dość posępna gromada, gdyż, jak wieść niesie, ich dowódca kocha konie równie mocno, jak nienawidzi ludzi. Niebawem też ma tu ściągnąć kilka orszaków rycerzy, którzy postanowili zdobyć sławę łatwym kosztem. Czuję, że wkrótce Kozibród stanie się miejscem trudnym do zniesienia.

Tęsknię za naszym starym, kochanym Gryfem jeszcze bardziej, choć mam wrażenie, że o spokój teraz tam trudno, prawda? Wybacz, że zrzuciłem Ci na głowę całą tą dzieciarnię wraz z kapłanką i błędnym rycerzem, ale czułem, że tak należy. Nasz Gryf leży dokładnie pośrodku między północną i południową linią frontu i modłę się do Doli, by tak właśnie pozostało. Dislai to rozumna kobieta i jestem pewien, że znajdzie dla tych sierot nowy dom.

Nawiasem mówiąc, szlaki w Dolinie naprawdę stały się niebezpieczne. Na Twoim miejscu zdecydowanie odradziłbym Twojej matce wyściubianie nosa za drzwi, nie mówiąc już o podróży do nas.

Tęsknię za Tobą i myślę o Tobie każdego dnia.

Edmund

P.S. Ów rycerz, którego poprosiłem o oddanie Ci listu, to przyzwoity, dzielny człowiek, ale ma wielkie

skłonności do koloryzowania faktów. Nie wierz przypadkiem w jego opowieści, dobrze?

P.P.S. Nie napisałaś mi w poprzednim liście, czy zauważyłaś u siebie jakieś zmiany. To jak jest?

*Draniiu Ty,*

*wiem o wszystkim.*

*Trochę to potrwało, bo ten Urgo nieśmiały jakiś jest i dwa dni mi się wymykał, ale ostatecznie go dopadłam i zmusiłam do zeznań. Pąsem się oblewał, mamrotał pod nosem, a parę razy mało brakowało, by zemdlął, ale w końcu wszystko mi wybełkotał.*

*Myślałam, że szlag mnie trafi.*

*Szarża na oklep na wrogi podjazd? Walka na miecze z zawodowymi najemnikami? Obrona mostu przed wrażą hordą?*

*Czy Ciebie, Edmund, pogięło?*

*O ile dobrze pamiętam – a jestem kobietą i pamiętam dosłownie wszystko – umawialiśmy się, że będziesz w tej całej armii kucharzował! Masz pichcić tym mundurowym kutasom, zarabiać pieniądze i zdobywać kontakty, by interes nie upadł tuż po wojnie, gdy nikt nie będzie miał pieniędzy na naszą grzybową! Masz dbać o przyszłość rodziny, a nie bawić się w pieprzonego bohatera! Odbiło Ci, pajacu?*

*Czułam, że tak będzie. Czułam, że gdy tylko założysz mundur i przypniesz miecz, zbierze Ci się na chojrakowanie. Niedoczekanie Twoje! Jesteś kucharzem, karczmarzem i moim mężem (w odwrotnej kolejności, ale nie chcę kreślić, bo znowu kleksa zrobię), a żadna z tych funkcji nie pozwala na wymachiwanie żelazem innym niż tasak! Modłę się do Doli, byś jak najszybciej upadł się jak Twój ojciec. Jak nie będziesz mógł biegać, to*

przynajmniej durne myśli łatwiej Ci z głowy wyparują.

Te sieroty to akurat najmniejszy z naszych problemów. Zakwaterowałam je na razie w pokojach gościnnych, choć przyznam, że gdy Dislai znajdzie dla nich nowe lokum, będzie mi ich bardzo brakowało. Codziennie zamiatają izbę, pomagają w obieraniu warzyw, karmią zwierzęta, doją krowy, wybierają jajka, pielą grządki, zbierają jabłka i tak dalej, a Salia ma świetnych towarzyszy zabaw.

Raz tylko wyniknął przez nie ambaras, gdy do karczmy zajechał hrabia Henryk z wielce wielmożną małżonką, hrabiną Albertyną. Zażądali dla siebie najlepszych komnat i musiałam przepędzić dzieciaki do szopy, co jeszcze potraktowałabym z wyrozumiałością – prowadzimy w końcu karczmę, a nie przytułek – gdyby państwo hrabiostwo nie okazało się istną klęską żywiołową. Z początku wydawało mi się, że wizyta przejdzie bez większego echa, bo hrabina jest w ostatnich tygodniach ciąży i chyba doceniła troskę, jaką ją otoczyłam. Z jej mężem już tak łatwo nie poszło, bo tak nadętego jegomościa jeszcze w życiu nie widziałam. Upudrowana gęba, trefione włosy, paziowie, dzwoneczki, minstrele, złocone czapraiki, ptaszki w klatkach, komplementy, ukłony, a następnego dnia co? Półtorej godziny targowania się o cen. Bo przewiewy. Bo szorstkie prześcieradła. Bo dzieciaki śpiewały w stodole. Bo w jajkach za mało żółtka, a szczypiorek nie taki, do jakiego hrabina przywykła. Matka musiała się po tym wszystkim położyć i przez cały dzień z łóżka nie wstawała.

Gramma wówczas nie było – gdzieś zniknął i doprawdy nie wiedziałam, czy się z tego cieszyć, czy tego żałować.

Starzy bywalcy, którzy wrócili do karczmy po tym, jak ją wywietrzyłam z perfum jaśniekurwapaństwa, nadal opowiadają o szalonym goblinie, który ponoć zapuszcza się między chaty i wyczynia jakieś



*bezceństwa. Traktami zaś tłucze się ów najemnik, który ponoć łapie dezzerterów. Rohatyna na niego mówi, Dola jedna wie dlaczego. Przyznam, że teraz, gdy po obejściu włóczy się ów rycerz, jest mi trochę różniej, ale naprawdę czekam niecierpliwie na chwilę, gdy to durne wojowanie się skończy i wrócisz do pracy.*

*I do mnie.*

*Nie cierpię Cię. I kocham.*

Sara

*P.S. Moja matka przyjeżdża w sobotę, ale zostanie tylko na miesiąc. Góra pięć tygodni.*

*P.P.S. O jakich zmianach Ty ciągle mi piszesz?*

*Kociołek,*

*fajna ta twoja karczma. Głośno, bo same baby się tu pałętają, ale przyznam Ci, zaraza, że trudno o miłszą dziurę. Jest co robić, a więc się nie nudzę, żarcie, chłopie, wyśmienite, o Waszym cydrze mam ochotę rymy klepać, a wieczorami, gdy schodzą się ludzie, robi się naprawdę wesoło. Nie masz pojęcia, jak dobrze jest przywalić komuś w mordę w słusznej sprawie.*

*Twoja stara ciągle wyrzeka na tę waszą posraną wojnę, a więc pewno nie omieszkała przedstawić Ci własnego zdania na ten temat. Dodam od siebie, byś skorzystał z pierwszej dogodnej okazji i byś się z tego bajzlu wyłgał. Nie mówię zaraz o dezercji, bo za to ponoć ścigają, ale może zorganizuj sobie jakieś zwolnienie z tego wojska czy coś. U nas wystarczyła porządna rana. Taka na wylot najlepiej.*

*Jak wrócisz, zajmiemy się moim projektem. Człowieku, mam kompletnie innowatorski pomysł na katapultę. Dam sobie kołek w dupę wsadzić, że*

*czegoś takiego w thanatach jeszcze nie było i długo nie będzie. Każdemu z tych dziadów z Korpusu stanie na widok mojego wynalazku. Niektórym to pewnie po raz pierwszy od dekady.*

*Ale to sprawa na przyszłość. Na razie, Kociołek, pomogę Ci tu w paru sprawach. Jakiś goblin się ponoć włóczy w okolicy. Znam ja dobrze tych skurwieli ze Skri'i i mam z paroma na pieńku. Wyprawię się jutro skoro świt i rozszczepię bydlaka. Będzie jeden problem mniej.*

*Trzymaj się, grubasie.*

*Gramm*

# Liść olchy



– Ile za jeden, ty cholerny, złodziejski sępie? – zawołałem, podnosząc się zza stołu, ale kłobuk rozłożył ręce i uśmiechnął się kpiąco.

– Tyle, ile powiedziałem – oznajmił. – Oczywiście u bartników ze skraju Kolczastego Boru zapewne zapłaciłbyś mniej, ale nie sądzę, by chciało ci się drałować trzy dni, by zaoszczędzić sześć miedziaków.

– Miałbym zaoszczędzić sześć? Chyba coś ci się w tej głowie poprzestawiało, Huba! O ile dobrze pamiętam, słój miodu jeszcze dwa dni temu kosztował siedem miedziaków! Siedem, a nie trzynaście, bo tyle będziemy mieli po odjęciu twojej zafajdanej prowizji!

– Zgadza się – przytaknął z obłudną miną kłobuk. – Dwa dni temu. Zanim zjechały tu orszaki rycerskie. Popyt na towary luksusowe zaczął rosnać w obłędym tempie. To – wskazał towar serdelkowatym palcem – przypuszczalnie ostatni słój miodu w promieniu kilkunastu mil.

– Pierdzielisz, aż głowa boli! – rzuciłem hardo. – Założę się, że w tych skrzyniach masz jeszcze niejeden! – Wskazałem palcem kufry, niektóre długością dorównujące wzrostowi dorosłego człowieka, ustawione równiutko jeden na drugim wzdłuż ściany namiotu.

– Tymi kufkami – kłobuk uśmiechnął się zimno – to się, człowiek, nie interesuj, bo kaczaj gęby dostaniesz. A słój miodu kosztuje dziewiętnaście miedziaków i, co ciekawe, cena wzrasta z każdym głupim pytaniem.

– A mi się wydaje – rzekłem, przechylając głowę. – Że ten słóik kosztuje dwanaście.

– Nie, bo dwadzieścia.

– To nie było pytanie.

– Fakt, ale powiedziałem „dwadzieścia” i nie mogę już się z tego wycofać. Co by sobie moi partnerzy pomyśleli, gdyby się rozniosło, że zacny Huba na próżno miele ozorem.

W przymrużonych, lekko skośnych oczach kłobuka odbijały się blask świecy oraz czysta, niczym nieskażona złośliwość.

– Dwadzieścia – udałem zadumę. – Tyle tobym dał za dwa. Masz może gdzieś drugi słoiczek?

– Dwadzieścia jeden.

– Czyli znajdziesz?

– Dwadzieścia dwa.

– Czy my właśnie ustaliliśmy cenę za dwa słoiki?

– Dwadzieścia trzy!

– Cudownie – zatarłem dłonie. – Dwadzieścia trzy miedziaki za dwa słoiki miodu. Przyzwoita cena, Huba, przyzwoita. Dobrze, żeś ty zacny kupiec, Huba, i nigdy nie mielesz ozorem na próżno.

Na obliczu kłobuka pojawił się krzywy uśmiech, który mógł być oznaką zarówno rozbawienia, jak i niezadowolenia. Handlowałem z nimi praktycznie od początku mojej służby w Dziesiątym Pułku Piechoty i wiedziałem już, że dranie wyniosły negocjacje handlowe do rangi sztuki. Każdą rozmowę o interesach ozdabiały mnóstwem gierek słownych i forteli, przez co nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że istotniejsza jest dla nich sama forma targowania się niż jego efekt. Choć przyznaję, od czasu, gdy poznałem ich zwyczaje i zacząłem pełniej uczestniczyć w negocjacjach, ceny wyraźnie spadły. Najwidoczniej kłobuki mają osobne taryfy dla ludzi, którzy podejmują tę ich grę.

– Kompletnie się nie znasz na targowaniu – zrzędził Huba i postawił przede mną słoik miodu, po który jeszcze chwilę temu powinienem powędrować na skraj Kolczastego Boru.

– No nie – przyznałem, co również stanowiło element gry.

– Bo szarpiesz się ze mną jakby to twoje własne pieniądze były – ciągnął kupiec – a ty przecież pułkową sakiewką wymachujesz. Albo wręcz pułkownikową. Co cię obchodzi, ile straci twój przełożony? Albo lepiej nic nie mów – kłobuk zamachał rękami – bo jeszcze wyjdzie na to, że ów smród, który się za tobą ciągnie, to nie gazy, ale uczciwość.

Huba najwidoczniej wciągał mnie do rozmowy, by sprzedać mi coś jeszcze, a więc podziękowałem mu uprzejmie, zapłaciłem, zgarnąłem oba słoiki i wyszedłem na ulicę.

Kozibród, który już przeszedł jedną metamorfozę, przez ostatnich kilka dni znów zmienił się nie do poznania, gdy na wieść o działaniach wojennych zaczęły tu ścigać orszaki rycerskie. Nie było ich wiele – księstwo wszak wcale do dużych nie należało, a wielu rycerzy ścignął pod swe rozkazy książę Stefan na północy – ale najwidoczniej paru jego wasali czekało, aż wojna wybuchnie gdzieś bliżej, by nie musieć za daleko drałować. I tak oto tydzień po pierwszym starciu z siłami księcia Ruperta wokół Koziegobrodu wyrosły barwne namioty z dumnymi proporcami, a powietrzem co rusz wstrząsał ryk surm wraz ze szczękiem pancerzy i łoskotem kopyt potężnych destrierów.

Z tego, co zdołałem zaobserwować, wojna w pojęciu rycerstwa polegała głównie na godnym zaprezentowaniu swego rodu przed innymi. Nowo przybyli paradowali po osadzie na pysznych rumakach w asyście pięknie ubranych, uroczo uśmiechniętych żon, a za każdym sunął orszak z sokolnikami, grajkami, psiarczykami, błaznami, damami dworu i wąsatymi zabijakami, otaczały ich zaś dźwięki muzyki, a także gwar śmiechów i niezliczonych przechwałek. Innych wysoko urodzonych pozdrawiali uniesieniem dłoni lub pełnym wyższości skinieniem głową, z rzadka przystając, by wymienić uprzejmości. O wiele częściej zdarzały się starcia lodowatych spojrzeń, sugerujące, że prędzej czy później gawiedź będzie miała sposobność obejrzeć pojedynki – do tych ostatnich dochodziło średnio raz na dobę.

Nie było to jedyne pole rywalizacji. Miałem wrażenie, że rycerstwo konkuruje ze sobą bezustannie, czy to podczas zaimprovizowanych turniejów, popisów rycerskiego rzemiosła, podczas konkursów sztuki minstrelskiej, czy też w trakcie cichej, niewypowiedzianej wojny na najwystawniejszą ucztę. Wysilek wojenny jednakże nie znajdował się wysoko na liście rycerskich priorytetów. Kilkakrotnie drużyny zapuszczały się co prawda na ziemię niczyją, ale głównie po to, by dowieść swej sprawności. Kilka

nierozstrzygniętych starć z rycerzami księcia Ruperta, którzy, nawiasem mówiąc, niczym się od Stefanowych nie różnili, w żaden sposób nie zmieniło sytuacji strategicznej, a jedynym ich skutkiem było parę rozbitych głów, kilka pogiętych pancerzy i trzy złamane ręce.

Noc była ciepła jak na październik, co najwidoczniej zachęciło barona Alberta, głowę rodu Vuxów, do wydania uczty pod gołym niebem. Blask ognia z żelaznych koszy padał na zastawiony stół, wokół którego zasiadało kilkunastu szlachetnie urodzonych gości, uprzejmymi śmiechami kwitujących wyczyny płasających w błocie cyrkowców. Z karczmy, którą całkowicie przejęło we władanie gorzej urodzone rycerstwo, wytoczyło się właśnie dwóch rozwścieczonych pasowanych, którzy zwarli się w dzikim starciu na pięści, zagrzewani do walki przez rozemocjonowanych stronników. Z bocznej uliczki dobiegł pisk kobiety, skądś niosła się ryczana zgodnym chórem pieśń, skądinąd chórally rechot dobywający się z kilkunastu gardeł, gdzieś czekały psy, gdzieś ktoś wył o litość.

Przybycie rycerstwa na południową granicę w zasadzie na niewiele się księstwu zdało, za to Kozibród stał się miejscem o wiele bardziej niebezpiecznym niż wcześniej.

Cudownie, pomyślałem, przestępując nad leżącym w błocie ciałem spitego rycerza. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że kiedyś uznam poczynania swego pułkownika za gwarant spokoju i bezpieczeństwa.

– Hej! – Ktoś sapnął i złapał mnie za ramię. – Hej, koleś!

Wystraszyłem się tak, że o mało nie upuściłem słoików z miodem. Odwróciwszy się, ujrzałem młodego chłopaka w czymś na kształt liberii. Miał modnie przystrzyżone włosy, co wskazywało na szlacheckie urodzenie lub przynajmniej powiązanie z jakimś dworem.

– Koleś! – wychrypiął chłopak i wytrzeszczył na mnie oczy, w których malowało się przerażenie. – Jesteś stąd, co? Jasne, że stąd. Mundur widzę. Od Drusta, co? Od pułkownika Drusta?

Wpił dłonie w mój mundur i potrząsał mną co zdanie. Cudem utrzymywałem słoje w objęciach.

– Koleś, jak dobrze, że jesteś! – bełkotał. – Musisz mi pomóc! Musisz! Mówią mi Brix! Paziem jestem! U hrabiego Henryka! I hrabiny Albertyny! Na pewno widziałeś ich namiot, co? Tam, na wzgórzu.

Owszem, widziałem, i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nie miałem pojęcia, że jakiś pociotek żony księcia Stefana może zajechać z orszakiem godnym królów, i machnąłbym na to ręką, jak na tysiące innych spraw, na które nie miałem żadnego wpływu, gdyby nie to, co napisała mi Sara w ostatnim liście.

Nie zdołałbym podać choć jednego powodu, by żywić cieplejsze uczucia wobec kogokolwiek z tej rodziny. Wyrwałem się paziowi gwałtownym szarpnięciem.

– Człowieku, ja mam tu słoiki z miodem! – warknąłem. – Pan pułkownik zażyczył sobie pierników. Chcesz coś ode mnie, to mów po ludzku i przestań mnie szarpać!

– Koleś! – Paż odwrócił gwałtownie głowę, by spojrzeć za siebie, a potem znów wbił wzrok w moją twarz. – Koleś, nie masz pojęcia! Cholera, ale się porobiło. Kurwa, łeb mały na to wszystko! Mówiłem im! Mówiłem, ale nie słuchali! A teraz mam przechlapane!

Powoli dochodziłem do wniosku, że trzeba zrobić krok w tył i udać, że bardzo się spieszę.

– Koleś, znasz jakiegoś uzdrowiciela? – bełkotał paż. – Zaklinacza może? Znachora? Kurwa, guślarz nawet może być!

Teraz to już miałem pewność, że trzeba zwiewać. Wiedziałem o dwóch znachorach, którzy mieszkali w okolicach Koziegobrodu, ale obaj zniknęli jak cegła w gnojówce niedługo po pojawieniu się naszego pułku. Wcale im się nie dziwiłem. Dla zwykłego człowieka sztuka uzdrawiania była umiejętnością trudną do pojęcia i zakrawającą na czarnoksiężstwo, a więc afiszowanie się z nią mogło rychło przyciągnąć uwagę kapłanów Doli, nawet jeśli znachor z magii wcale nie korzystał. Wypytywanie o zamawiacza w środku nocy było więc co najmniej podejrzane i nie mogło się dobrze skończyć.

– Spieszę się – bąknąłem. – Miód kupiłem i ten... Muszę teraz... Eee...



– Koleś, hrabina rodzi! – jęknął paż. – Wrzeszczy, rękami macha i przeklina! A hrabia wszystkich po mordach tłucze! Dorwał mnie, w pysk zdzielił i wrzeszczy: bez zamawiacza, Brix, nie wracaj! Koleś, pomóż mi! Rozwłóczy mnie, rozszczępi, wieprzom rzuci!

Słyszając te słowa, poskromiłem w sobie narastającą chęć ucieczki. Hrabiostwo hrabiostwem, ale ludziom w niedoli należało pomagać. Przygryzłem wargę, zastanawiając się, co robić, a wtedy odniosłem wrażenie, że pośród zgiełku wieczornej zabawy wychwytyję długi, przeciągły ryk zniekształcony bólem. Przypomniałem sobie poród Salii i skóra mi ścierpła na karku. Paż rymnął przede mną na kolana.

– Koleś, znajdź mi kogoś! Może być ktoś, kogo nie lubisz! Niech się hrabia na kimś wyżyje, no bo wiadomo! Błagam cię, on gardło gotów rozerwać! I juchę wychłęptać! Zaraza, chyba się zmoczyłem... Nie patrz na mnie! Nie patrz! Nie, takie fajne pantaloney ufajdałem... Wszystko tej nocy stracę, wszystko...

Kolejny ryk hrabiny był nieco wyraźniejszy i chyba jeszcze bardziej przerażający. Słyszałem kiedyś, jak wyją upiornicy u podnóża Gór Gwiżdżących, i przysięgam, że nie byli nawet w połowie tak straszni.

– Nie wiem nic o żadnym znachorze – powiedziałem – ale słyszałem o pewnej znachorce, która...

Paż, który jeszcze przed chwilą klęczał przede mną i kołysał się w przód oraz w tył, zerwał się i skoczył na mnie. Był niższy ode mnie i o wiele chudszy, ale nie spodziewałem się tak gwałtownego ataku i przewróciłem się na ziemię. Oba słoiki odtoczyły się w ciemność, a Brix usiadł na mnie, przetarł oczy, odkaslnął i krzyknął w mrok:

– Chłopaki, mam trop!

\*

Nie zdążyłem nawet pomyśleć o wygrzebaniu się spod pazia, gdy złapała mnie czyjaś dłoń w skórzanej rękawicy i mocnym szarpnięciem postawiła na nogi. Zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać, ten sam człowiek grzotnął mną o pobliską ścianę

tak, że straciłem dech, a potem przytknął mi sztylet do szyi i wycharczał:

– No, mów! Gdzie ta znachorka?

Za jego plecami zamajaczyło kilku innych, roślących, brodatych, w kolczugach lub napierśnikach, do tego uzbrojonych po zęby. Rycerze, bez dwóch zdań.

– Dorwałem – sapał stojący między nimi paż. – Dorwałem trop... To ja. Pamiętajcie, że to ja. Jak hrabia zapyta...

– Hrabia ma dziś zbyt wiele problemów na głowie, Brix, by się roztkliwiać nad twoim męstwem – warknął trzymający mnie rycerz, a potem skupił uwagę na mnie. – Gdzie. Znachorka? – wycedził.

– M-m-m... – wymamrotałem z trudem.

– Co? – Rycerz nachylił się nade mną.

– M-m-moje słoiki...

– Ty chyba nie rozumiesz powagi sytuacji – parsknął rycerz, a drobinki jego śliny zrosiły mi policzki. – Hrabina rodzi i coś chyba idzie nie tak, bo drze się jak opętana od dwóch godzin, a dziecka jakoś nie widać. Wiesz, co się wydarzy, jeśli dalej będzie szło nie tak? Bo ja, dla przykładu, nie chcę tego wiedzieć.

– Za dużo gadasz, Cruhan – odezwał się jego kompan, szczupły rycerz o wąskiej, wilczej twarzy. – Prowadź nas do znachorki, knypku, albo pożałujesz, żeś rodzicielce z dupy wylazł.

– To w sumie nie aż taka znachorka. Koniom pomaga, krowy leczy, na syfa dekokty sprzedaje...

– Nada się.

– Skoro tak, to do końca tej uliczki – wymamrotałem. – A potem w prawo. Taka rozpadająca się chata przy końcu...

– Mam kiepską pamięć! – warknął rycerz nazwany Cruhanem. – Zaprowadzisz nas tam i tyle.

Wykręcił mi rękę, aż lzy stanęły mi w oczach, gwałtownym szarpnięciem oderwał od ściany chaty i ustawił przed sobą.

– Prowadź – syknął.

Nie miałem wyboru. Nie zdołałbym przecież stawić czoła czterem uzbrojonym rycerzom, tym bardziej że w ostatnim liście do Sary złożyłem jej solenną obietnicę, że będę się wystrzegał wszelkich przygód. Mogłem tylko spełnić wolę

agresorów i mieć nadzieję, że uzdrowicielka wypełni swe zadanie, a hrabia okaże choć trochę życzliwości i po wszystkim nie postanowi oddać jej kapłanom Doli.

Szedłem przed siebie, półprzytomny z bólu, raz po raz popychany przez Cruhana. Modliłem się w myślach, by uzdrowicielka, o której tak naprawdę wiedziałem niewiele, była u siebie, bo prowadzący mnie rycerze nie wyglądali na wyrozumiałych i jeśli cokolwiek poszłoby nie po ich myśli, jak nic to na mnie wyładowaliby swój gniew. Ba, mogliby uznać, że próbuję chronić kobiecinę, a wówczas to ja trafiłbym w łapska kapłanów i został oskarżony o herezję. Dobiegające z oddali wycie rodzącej hrabiny tylko potęgowało moją pobożność.

Rety, przecież ja po prostu poszedłem po miód do cholernych kłobuków...

Ból ręki był tak silny, że aż mnie mdliło. Po chwili długiej jak wieczność ujrzałem krytą poszczerbionym gontem, obrośniętą pokrzywami chatę na skraju osady.

– To tu – stęknąłem.

Prowadzący mnie rycerz poluzował ucisk i przytknął mi sztylet do gardła.

– Hiliam i Gusto – rzucił do kompanów – zajdźcie chatę od tyłu. Gilfred, rozwalisz kłódkę. Brix, cofnij się.

– Nie będę wam przeszkadzał! – zaoponował paż. – Chcę pomóc! Chcę...

– To następnym razem nie szczaj w gacie – warknął Gilfred, rycerz o wilczej twarzy. W rękę trzymał masywny topór. – Śmierdzisz, że aż oczy łzawią. Cruhan, czy oni tam...

– Zaraz się przekonamy – mruknął Cruhan. – Do roboty.

Potem wydarzenia potoczyły się z impetem burzy śnieżnej. Gilfred wznosił topór i opuścił go na kłódkę, która pękła, krzesząc snop iskier. Uderzenie serca później Cruhan, nadal trzymając mnie za rękę, przypadł do drzwi, odtworzył je szeroko i wepchnął mnie do środka, a sam wskoczył za mną.

I obaj znieruchomieliśmy, bo ostatnią rzeczą, którą spodziewaliśmy się ujrzeć, były chude, owłosione nogi, a nad nimi męskie pośladki.

Sprawa ułożyła się w logiczną całość, gdy z ławy, przed którą stał odwrócony plecami do nas łysy mężczyzna,

zerwała się przerażona kobieta ze zmierzwionymi ciemnymi włosami. Odruchowo zasłoniła ramieniem swą rozkołysaną nagość, zerwała z furkotem jakieś prześcieradło i skoczyła ku oknu. W ślad za kobietą rzucił się rycerz Cruhan, któremu poczucie wyższości do spółki z poczuciem misji nakazało zlekceważyć zaskoczonego golasa.

I to okazało się błędem.

Czas znów zwolnił, dzięki czemu wyraźnie widziałem, jak golas zerka za siebie, zauważa szarżującego rycerza, a jego dzikie, zarośnięte oblicze wykrzywia szaleńczy grymas. Bez zastanowienia wyprowadził cios łokciem w tył.

Brzuch Cruhana chroniła kolczuga, mimo to rycerz zgiął się w pół, na co brodaty golas najwidoczniej tylko czekał. Pięść wielka jak górski otoczek wystrzeliła ku górze i grzmotnęła rycerza z taką siłą, że ten się zachwiał i przywalił plecami w polepę. Brodacz wykorzystał sposobność, by kopnąć leżącego w przyrodzenie, na co ten zwinął się z rozdzierającym jękiem.

Rycerza o wilczym obliczu ujrzeliśmy dosłownie w tej samej chwili, a właściwie nie tyle jego, ile wzniesiony przezeń topór.

– Ty sukinsynu! – zawołał Gilfred.

Nie było czasu do namysłu, a zresztą nawet gdybym go miał, z pewnością i tak nie spożytkowałbym go najlepiej. Odruchowo poderwałem się więc i pchnąłem rycerza barkiem na ścianę. Gilfred uderzył w nią z taką siłą, że chata się zatrzęsała, a z sufitu posypały się paprochy.

Ułamek chwili później sam leciałem na ziemię i dopiero gdy grzmotnąłem o polepę tuż obok rzeźącego Cruhana, uświadomiłem sobie, że takiego zabijaki jak Gilfred zwykle pchnięcie na ścianę na długo nie zatrzyma i pewnie lepiej bym zrobił, gdybym jednak się zastanowił. Kątem oka ujrzałem, jak rycerz wznosi topór do ciosu...

A potem czyjaś żyłasta dłoń złapała go za nadgarstek.

Gilfred stęknął z wysiłku i napał na łysego brodacza. Przez chwilę miotali się po chacie, odbijając się od ścian, i w końcu przewrócili stół. Zdażyłem się w tym czasie pozbierać na tyle, by złapać pierwszy lepszy zydel i rąbnąć Gilfreda w potylicę.

Topór wysunął się rycerzowi z palców, a on sam padł nieprzytomny na ziemię.

– Żeście se, kurwa, moment znaleźli! – wychrypiął zdyszany mężczyzna i przypadł do okna, za którym zniknęła kobieta.

– Stój! – zakrzyknąłem. – Tam jest jeszcze dwóch!

Spóźniłem się, bo nieznajomy, nie bacząc na swą nagość, już znalazł się po drugiej stronie. Przypadłem do parapetu.

– Uważaj, bo... – zacząłem, ale nie dokończyłem.

Spodziewałem się ujrzeć wściekłą jatkę, ale zamiast tego mój wzrok padł na nagiego brodacza, który stał nad dwoma rycerzami. Obaj leżeli bezwładnie na ziemi, jeden z rozrzuconymi szeroko ramionami, a drugi zwinięty w kłębek. W plecy każdego wbita była szpila przytrzymująca szeroki liść, bodajże klonowy. Brodacz rozglądał się wokoło.

– Mojra! – zawołał. – Mojra! Mojra, gdzie jesteś?

Na ulicach Koziegobrodu nadal trwała huczna zabawa – obaj słyszeliśmy śpiewy, wrzaski i muzykę – ale na wołanie mojego przygodnego towarzysza nikt nie odpowiedział, a potem gdzieś spomiędzy chat dobiegło piskliwe wołanie:

– Mam ją! Widzicie? Mam ją, koleś! Takie mądre rycerzyki, ale to paż złapał wiedźmę, ha, ha! Prowadźcie do hrabiego! W te pędy prowadźcie! Pókim dobry!

– Niech to puszcza pochłonie – warknął mężczyzna i zacisnął pięści, aż zachrzęściło, a potem odwrócił się i spojrzał na mnie spode łba. – Kto ją dorwał?

– Ja... – dzikość w jego oczach odebrała mi pewność siebie. – Ja nie miałem z tym nic wspólnego...

– Wiem, że nie miałeś! – prychnął obcy. – Parę lat już chodzę po tym świecie i potrafię się zorientować, kiedy ktoś kogoś do czegoś przymusza. Nie o to pytałem. Kto ją dorwał i po co?

– Paż hrabiego Henryka Darvona – sapnąłem. – Jego żona rodzi i ponoć kiepsko jej idzie.

– Aha. – Nieznajomy zgrzytnął zębami, a potem odwrócił się i zniknął. Po chwili wlaźł do izby drzwiami i mignął gołymi pośladkami, podnosząc z polepy parę gaci oraz burą szatę. – Jaśnie państwo przypomniało sobie, że w sumie dobrze by było raz na jakiś czas skorzystać z pomocy

uzdrowicieli, których ich ojcowie raczyli wyrżnąć i spalić. Oby ich wszystkich tępy byk spoconą kuśką po plecach wysmagał... Coś ty za jeden?

– Mam na imię Edmund, ale mówią mi Kociołek – powiedziałem, wygładzając mundur, jakby miało to jakoś poprawić moją pozycję. – Kwatermistrz Dziesiątego Pułku.

– Kociołek – burknął brodac, po czym poprawił szatę i odwrócił się ku mnie, drapiąc się po brodzie. – Może być Kociołek. A ja jestem...

I wtedy mnie zatkało.

– Stary Dziad – bąknąłem wbrew sobie.

Naraz nieodległe wspomnienia nabrały ostrości. Przed oczami stanął mi obraz siedzącego pod ścianą mężczyzny w sandałach, o którego niemalże się potknąłem, a potem inny, już widziany przez kraty więzienia. Przypomniała mi się opowieść Toyhana i zamieszanie z hrabią Gillianem, a na końcu sierociniec.

– Że co? – Nieznajomy zmarszczył brwi. – Coś ty, popierdółko, wygęgał?

– Stary Dziad! – powtórzyłem, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. – Znam cię! Ty jesteś Starym Dziadem!

– Czy również życzysz sobie oberwać w mordę? – spytał przygodny nieznajomy. – Tak jak ci tutaj?

Dla podkreślenia wagi swych słów kopnął Gilfreda w klejnoty rodowe, bez zauważalnej reakcji z jego strony.

– Nie, nie! – Zamachałem rękami. – Ja nie chciałem powiedzieć nic złego! Tak nazywały cię dzieciaki! Te z sierocińca! Te, dla których... – zawahałem się, gdy naszło mnie kolejne wspomnienie – okradałeś pułkowe magazyny.

– Aha. – Nieznajomy wpatrywał się we mnie z intensywnością, która odebrałaby pewność siebie rozpedzonemu żubrowi. – A to źle, tak?

– To kradzież. – Wzruszyłem ramionami. – Chodzi o własność armii. Dobra, za które byłem odpowiedzialny.

– Zaraz, ty „kradzież” powiedziałeś? Sprzątniecie sprzed nosa bandy nierobów w mundurach kilku worków mąki, których brak zrekompensuje skarb księstwa, i przekazanie ich grupce dzieci, które na żadne przywileje nie mogą liczyć,

choć powinny być dla wszystkich świętością, uważasz za kradzież?

Od początku swej służby kwatermistrzowskiej spotkałem się z najróżniejszymi definicjami kradzieży, ale żadna nie zauroczyła mnie tak bardzo. Wbrew swojej woli uśmiechnąłem się szeroko.

– Zresztą nie na wiele się to zdało – burknął brodac. – Bo sierociniec, jak mi mówiono, i tak spłonął.

– Wcześniej zdołaliśmy wywieźć dzieciaki – poinformowałem go.

– My? – Mój rozmówca uniósł krzaczaste brwi. – Jacy my? Twój pułk?

– Nie do końca... Ja, kilku chłopaków z kwatermistrzowskiej, pewien błędny rycerz oraz kapłanka Doli.

– Gwonn?

– Nie, Dislai. Gwonn, o ile mi wiadomo, uciekła ze strachu na widok wrogiego podjazdu.

– I całe szczęście – sapnął nieznajomy. – Nie masz, Kociołek, pojęcia, co ta glista wyczyniała, by mnie na siano zaciągnąć... Czyli pomogłeś tym dzieciakom?

– Tak jakoś wyszło.

– I są bezpieczne?

– Tak. Moja żona się nimi zajęła.

– Cholera, zuch z ciebie. – W jego oczach naraz zamigotały iskierki życzliwości. – Nazywają mnie Żychłoń. – Wyciągnął ku mnie rękę, twardą i spracowaną. – Jeszcze raz nazwiesz mnie starym dziadem, a ci pizgnę.

– Nie nazwę – obiecałem, ściskając mu dłoń.

– Dobra. – Żychłoń odwrócił się ku oknu. – To teraz lepiej się zastanówmy, jak pomóc Mojrze.

– Pomóc? – zawałałem się. – Czemu myślisz, że trzeba jej pomóc?

Żychłoń spojrzał na mnie z miażdżącym politowaniem.

– Bo to uzdrowicielka – oznajmił. – I to całkiem niezła. Zna się trochę na magii, ale leczy głównie dzięki ziołom i starym naukom, co dla hrabiego zapewne nie będzie miało większego znaczenia. Jeśli poród zakończy się źle, hrabia rzuci całą winę na Mojrę i spali ją na stosie. Jeśli dziecko urodzi się

zdrowe, a matka przeżyje poród, hrabia odda Mojrę w ofierze kapłanom Doli, by nie szczydzili błogosławieństw jego smarkaczowi. Wiesz coś może o tym hrabim?

– Wiem – przytaknąłem. – I to z pierwszej ręki. Kutas jakich mało.

– A więc nie mamy chwili do stracenia.

Miałem wrażenie, że przez umysł przebiegają mi setki myśli, z których każda wpija się we mnie, wywleka mnie z tej przeklętej chaty i ciągnie przez noc, jak najdalej od Żychłonia, któremu najwyraźniej pomieszało się w łysej głowie. Przecież obiecałem Sarze: żadnego chojrakowania! Do Gryfa! Muszę wrócić do Gryfa! Chciałem ciasto upiec... Ciasto upiec pułkownikowi! Dwa słoiki miodu... Gdzie mój miód? Ciasto mi piec, a nie więdźmy ratować, nie po nocy się skradać i w kłopoty pakować, nie, nie, nie...

– Nie – pisałem.

– Co? – Żychłoń spojrzał na mnie z uwagą.

– Nie damy rady – jęknąłem. – Sami nie damy rady!

– Nie damy – przytaknął Żychłoń. – Dlatego – spojrzał w mrok, a ja odniosłem wrażenie, że po dachu sąsiedniej chaty ktoś przemknął – trzeba znaleźć tego, kto załatwił owych dwóch rycerzyków i przypiął im liście olchy.

Kompletnie o nich zapomniałem.

– To możliwe? – Otworzyłem szeroko oczy.

– Łatwiejsze, niż ci się wydaje – odparł Żychłoń i uśmiechnął się paskudnie.

\*

Słoiki miodu na szczęście nadal leżały tam, gdzie je upuściłem, co poczytałem za uśmiech Doli, a chwilę później za jej błogosławieństwo. Żychłoń bowiem zarzucił sobie na głowę kaptur, przez co natychmiast upodobił się do zbira. Przeczucie mi podpowiedziało, że ściągnie na siebie niejedno zaintrygowane i zaniepokojone spojrzenie, a więc wysforowałem się przed niego, tuląc do piersi słoiki.

Podziałało, czemu nie należało się dziwić. Bo przecież trudno, by ktoś, kto niesie dwa słoiki z miodem, budził



jakiegokolwiek złe skojarzenia, nawet gdyby towarzyszył mu parszający wściekle ogr z kolczastą obrożą.

Możliwe zresztą, że nikt nie zwrócił na nas uwagi. Na ulicy zapanował bowiem jakiś osobliwy, trudny do nazwania niepokój. Miałem wrażenie, że ludzie śpiewają i śmieją się bardziej z musu niż z autentycznej potrzeby, a do tego rozmawiają ciszej niż zwykle, rozglądając się przy tym na boki. Zauważyłem też, że co poniektórzy trzymają dłonie na rękojeściach broni.

Na wzgórzu Fuxów uwaga biesiadników skupiała się teraz na pojedynku dwóch młodzianów w ubłoconych napierśnikach, których ciosy i złożenia z każdą chwilą traciły na gracji.

Wtórowały im złowieszcze uderzenia w kocioł, ale nawet one nie zdołały skutecznie stłumić upiornych wrzasków hrabiny.

Co rusz odwracałem głowę, by zerknąć na Żychłonia. Stąpał pewnie, a jego oblicze nadal zasłaniał kaptur, ale coś mi mówiło, że otaczający nas tłum, głośny i niespokojny, stanowi dla niego powód do obaw. Jeśli rzeczywiście był tym, za kogo miał go Toyhan, nie miałem się czemu dziwić.

Dziwiłem się natomiast sobie. To przecież pieprzony zamawiacz czy inny guślarz, huczało mi we łbie. Szaleniec, który wydał wojnę całemu światu, a teraz umyślił sobie wyrwać uzdrowicielkę z rąk szlachcica słynącego z paskudnego charakteru. W tym celu zaś postanowił połączyć siły ze mną oraz z...

Spojrzałem raz jeszcze za siebie, na zakapturzonego Żychłonia. Bo nadal nie wierzyłem w to, co mi kazał zrobić.

Człowiek, który właśnie wciągnął mnie w nie lada kabałę, poruszył lekko głową, jakby dodawał mi otuchy lub chciał mnie pogonić naprzód. Zakląłem w duchu i postanowiłem, że zakończę to najszybciej jak się da. A jak coś zacznie się źle układać, dam dyla. Po prostu zwieję i tyle, bo nie jestem bohaterem i nigdy nim nie będę. A Sara nie może się o tym wszystkim dowiedzieć. Nie ma mowy.

Naraz wyłowilem z tłumu znajomą twarz.

– Hej! Joachim! – zawołałem do mego pomocnika.

Siwobrody kuternoga o wiecznie nastroszonych brwiach spojrział na mnie ze zdumieniem.

– Kociołek? – burknął. – Co ty tu robisz? Nie miałeś czegoś upichcić dla pułkownika?

– Miałem, miałem – odpowiedziałem, wywracając oczami, i pokazałem mu słoiki. – Zabrakło miodu i musiałem dokupić u kłobuków. Słuchaj, spieszę się do jednostki, a ludzie mówią różne rzeczy... Wiesz ty może, gdzie siedzi ten cały elf, o którym wszyscy mówią? No wiesz, nie chcę się na niego natknąć! Wypieki rzecz święta!

\*

Większość mieszkańców Doliny widywała elfy jedynie podczas ich corocznych pielgrzymek do lasu zwanego Świetlistą Puszcza. Nikt nie rozumiał powodów, dla których elfy urządzały owe wędrówki, bo Świetlista Puszcza nie różniła się niczym od innych lasów Doliny, ale też mało kto w to wnikał. Na ogół zauważało się, że owe wyprawy wieńczyły tańce, śpiewy, pijaństwo i inne takie, wskutek czego elfie pielgrzymki ochrzczono mianem Chędożynek.

Z tego też powodu nie cieszyły się popularnością wśród starszych i bardziej konserwatywnych mieszkańców Doliny i moja matka, gdy byłem dzieckiem, na wszelki wypadek zamykała mnie w pokoju za każdym razem, gdy do Gryfa zawitał jakiś elf. Później, gdy nieco podrosłem, z wypiekami na twarzy słuchałem historii o niebywałej rozwiąłości elfów, opiewanej zresztą w niejednej pieprznej piosence. Z czasem nabrałem do tych opowieści dystansu, ale zainteresowały mnie relacje o znakomitej kuchni elfów, o ich świetnych winach i herbatach, o wspaniałych uprawach, doskonałym mięsie ich owiec i wysublimowanych wypiekach.

A także o przedziwnym sposobie prowadzenia wojen.

W razie konfliktu Elfiria wystawiała regularne oddziały wojska – kawalerię, piechotę oraz łuczników – ale nie zdarzało się to często, gdyż władcy elfów opanowali do perfekcji o wiele doskonalszą metodę rozwiązywania sporów politycznych. Temu, kto się im naraził, uprzejmie proponowali, by dobrze się nad sobą zastanowił, a jeśli się

upierał przy działaniach szkodliwych dla elfów, wysyłali zabójcę. Nie było ponoć zabezpieczeń, których nie potrafili pokonać elfi najemnicy, a tropieni przez nich ludzie nie mogli czuć się bezpieczni nawet strzeżeni przez najprzedniejszą ochronę.

Trochę nie chciało mi się w to wszystko wierzyć. Oczywiście, o wiele bardziej podobał mi się scenariusz, zgodnie z którym skłóceni władcy mordują się nawzajem, zamiast dowodzić swoich praw na czele wielotysięcznych armii, ale przecież elfy różniły się fizycznie od ludzi, więc wykrycie ich obecności było tylko kwestią czasu.

Nie miałem bladego pojęcia, skąd Żychłoń wie, że liście olchy do pleców dwóch rycerzy hrabiego Henryka przybił właśnie elf, nie wiedziałem też, co ów elf porabia w Kozimbrodzie. Jeśli rzeczywiście był zabójcą, to chyba kiepskim, skoro o miejscu jego pobytu wiedział nawet stary, dobry Joachim.

Powtórzyłem sobie w myślach, by nawiać przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Elf, jak twierdził Joachim, siedział pod starym więzem kilka kroków od jedynej w osadzie karczmy. Noc była jasna i gwieździsta, nieopodal paliło się kilka pochodni, a w oknach karczmy migotało światło, dzięki czemu był doskonale widoczny. Jego głowa obracała się to w jedną, to w drugą stronę, jakby nieustannie wypatrywał zagrożenia, choć na jego kamiennym obliczu nie dostrzegalem ani śladu niepokoju. Łuk oparł o drzewo, kołczan położył obok siebie, a przy pasie pozostawił sobie jedynie sztylet i jakieś trzy linki. Wyglądał na zdrożonego wędrowca, który z jakiegoś powodu nie ma odwagi wejść do tłocznej karczmy, choć niewątpliwie został już przyuważony przez jej klientelę – kobiety tłoczące się przy oknach i przed drzwiami przybytku nie szczędziły sobie kuksańców, chichotów i rozmarzonych westchnień.

Bo elf był przystojny, nie dało się tego ukryć. Widać było, że jest wysoki, wyższy ode mnie, szczupły, choć nie chudy. W jego ruchach kryła się zwinność i sprężystość, a oczy, czarne jak rozpacz bankruta, obiecywały mroczną i słodką tajemnicę. Oliwkowa cera, ciemne, zaplecione w warkocz

włosy oraz ostro zakończone uszy dopełniały intrygującego obrazu, co jednakże tylko potwierdzało moje przemyślenia na temat metod walki stosowanych przez to plemię.

Nie wiedziałem, kim jest ów elf ani co tu robi, ale o sztuce ukrywania się nie miał bladego pojęcia.

Wszystko to z każdą chwilą wydawało mi się coraz bardziej podejrzane. Zwolniłem i przepuściłem Żychłonia przodem.

– Witaj, Eliah – odezwał się mój zakapturzony znajomy.

Elf uniósł głowę, a ja wybałuszylem oczy.

– To wy się znacie? – bąknąłem.

– Nie, ale znam stare obyczaje. – Żychłoń westchnął pobłażliwie. – Eliah w mowie elfów to „olcha”, przy czym nie jest to imię, lecz funkcja.

Spoglądałem z oszołomieniem to na elfa, to na Żychłonia.

– A dałoby się jakoś czytelniej to wyjaśnić? – spytałem. Ochota, by się odwrócić i dać dyla, narastała we mnie z każdą chwilą.

– Historie o elfach zabójcach znasz?

– Znam, choć... – Ugryzłem się w język, czując na sobie przenikliwy, niebezpieczny wzrok elfa.

– Choć w nie raczej nie wierzysz? – podchwycił z rozbawieniem Żychłoń. – Bo zabójca powinien się chować, a nie siedzieć na widoku i prowokować? Cóż, wszystko wskazuje na to, że strategia władców elfów działa.

Chyba musiałem zrobić naprawdę paskudną minę, bo Żychłoń pospieszył z wyjaśnieniami:

– Prawdziwy zabójca, Kociołek, czeka na dogodną chwilę. Nie wiadomo, czy uderzy dziś, jutro czy za tydzień. Może będzie zwlekał cały rok, któż to wie? Eliah otrzymał inne zadanie: ma się kręcić wokół ofiary i swoją obecnością przypominać o czekającym ją losie. Ma ją prowokować i zachęcać do rozpoczęcia oblawy, co bardzo często źle się dla ścigających kończy. Jeśli Eliah da popalić napastnikom, ofiara straci pewność siebie i być może popadnie w paranoję. Jeśli Eliah zginie, ofiara uwierzy, że jest bezpieczna, co ułatwi robotę prawdziwemu zabójcy.

Obiło mi się o uszy to i owo o iście diabelskich knowaniach elfich władców, ale nigdy bym się nie spodziewał, że są aż tak perfidne i okrutne.

– Paranoja doprowadzi do tego, że ofiara będzie podejmować coraz to bardziej desperackie próby zabicia domniemanego zabójcy, zwłaszcza jeśli ten nie przestanie prowokować – odpowiedziałem. – Innymi słowy, to misja w zasadzie samobójcza.

Elijah nawet nie drgnął. Nadal śmiało patrzył w oczy to mnie, to Żychłoniowi.

– Co wam zrobił Henryk? – spytał cicho guślarz, odwracając się ku niemu. – Choć nie, czekaj. Sam zgadnę. Ludzie gadają, że jakoś do bogaczy nigdy nie należał, ale orszak wystawił ponad stan. Znaczą się, kogoś złupił, prawda?

Elf milczał długo. Z tawerny wylewała się skoczna muzyka, podłoga dudniła od obcasów biesiadników. Gdzieś czekały psy. Hrabina wciąż wyła rozdzierająco.

– Gorczycę złupił – powiedział w końcu mocnym, melodyjnym głosem.

Przełknąłem ślinę. Słyszałem niejedno o Gorzycy, sporej osadzie leżącej w granicach Wichrowin, na zachodnim brzegu rzeki Krwawicy. Nominalnie wchodziła w skład ziem króla Rotgiera, a po jego śmierci – księcia Stefana, ale większość jej mieszkańców stanowiły elfy, głównie kupcy, którzy postanowili się osiedlić wśród ludzi, by zapewnić sobie łatwiejszy zbytny. Wielu spośród nich zapewne powróciło do Elfirii z chwilą rozpoczęcia działań wojennych, ale część przybyszów bez wątpienia uwierzyła w swą szczęśliwą gwiazdę i została, choćby po to, by handlować ze wszystkimi stronami konfliktu.

– Zabił wielu naszych – dodał elf ponurym, chrapliwym głosem. – Kobiety, dzieci. Nikogo nie puścił żywcem, a to, czego nie zdażył wynieść, spalił do szcztetu. Zrabował ogromny majątek. Niewyobrażalny.

– A teraz pojmał pewną kobietę tylko dlatego, że jest uzdrowicielką – warknął Żychłoń.

– Nie mówiąc już o tym, że oszukał moją żonę podczas płacenia rachunku – oznajmiłem, biorąc się pod boki. – A matka miała przez niego atak migreny. Skurwysyn zasługuje na karę, ale... – urwałem na moment, wsłuchując

się w krzyki hrabiny – ...ale zrobimy to po mojemu – dodałem ze zdecydowaniem, zaskoczony własnymi słowami.

Elf uniósł brwi, a Żychłoń obrócił się ku mnie, by przyjrzeć mi się zza fałd kaptura.

– Czyli jak? – spytał.

– Dyskretnie – powiedziałem. – I z głową, tak, by nikt nie ucierpiał, a zwłaszcza to przychodzące na świat dziecko. Bo żadne niemowlę nie zasługuje na karę tylko dlatego, że ma popieprzonych rodziców. Mógłby mi ktoś popilnować słoików?

\*

Plan, który pospiesznie omówiłem z moimi przygodnymi współspiskowcami, był iście genialny, bo nie dość, że prowadził do ocalenia Mojry i pognębienia hrabiego, to jeszcze zapewniał bezpieczeństwo niemowlęciu, a mnie doskonale alibi. Jak każdy plan, miał jednak swoje wady, a największą z nich było to, że musiałem zebrać straszliwy łomot.

Siedziałem w kącie celi i bardzo dokładnie obmacywałem wszystkie kończyny, a po nich szczękę i czaszkę, co wedle dziadka Edgara z reguły pozwalało ustalić, czy warto popaść w histerię i zacząć wrzeszczeć z bólu. Na szczęście żadnych powodów ku temu nie znalazłem, choć jeden zęb chwiał mi się podejrzenie i wiedziałem, że będę miał masę siniaków na całym ciele. Wyglądało na to, że z każdym miesiącem wojny straż Koziegobrodu ma coraz mniej wyrozumiałości wobec ludzi zakłócających spokój publiczny.

– Trochę przesadzili – mruknąłem do siebie, obmacując szczękę, która zaczynała już puchnąć.

Cela była pusta, co bynajmniej nie oznaczało, że w osadzie panował spokój. Miałem wrażenie, że po prostu ludzie pozwalali sobie na więcej w chwilach, gdy straż patrolowała przeciwległą część osady, lub zwiewali od Baryły i jego pomagierów. Mnie natomiast na ucieczce nie zależało – wszcząłem bójkę z mijającym mnie najemnikiem właśnie po to, by znaleźć się za kratkami.

Postanowiłem zignorować ból oraz wszystkie inne fizyczne dolegliwości i raz jeszcze przemyśleć plan. Teraz, gdy oberwałem parokrotnie po głowie, wad przybywało mu z każdą chwilą. Zbyt wiele na przykład zależało od tego, czy Eliah potraktuje mnie poważnie i wypełni dane mi słowo. Bo w przeciwnym razie nie dość, że wszystko weźmie w łeb, to jeszcze posiedzę kilka dni za kratkami, po czym będę się musiał wytłumaczyć pułkownikowi oraz, co gorsza, Sarze.

– Oj, Kociołek, Kociołek. – Pokręciłem głową, mrucząc do siebie. – Czy ty aby nie przekombinowałeś? Bo obiecałeś, że...

W korytarzu rozległ się nagle żywy, energiczny i doskonale znany mi głos:

– Baryła, mój dobry człowieku! Jakże się cieszę, że cię widzę! Nie przestaję, chłopie, myśleć o tobie i cieszyć się tym, że mam w tobie przyjaciela, a na dowód tych słów... Ha, patrz, co ci przyniosłem! Flaszeczka przedniego wina, trochę sera, trochę pieczonego chlebka, garść soczystych winogron, a na dnie koszyka... Cóż to? Czyżby coś pobrzękiwało?

Przypadłem do drzwi celi, nasłuchując.

– Moja przyjaźń, jak wiesz, jest bezbrzeżna – perorował przybysz. – Co potwierdzę, wypełniając za ciebie robotę papierkową. Podaj mi, chłopie, tę twoją księgę, bo sam nie sięgnę. Pióro też mi daj. Spójrzmy... Tu mamy dzisiejszą datę, tak? A więc tu będzie jutrzejsza, dobrze myślę? Cudownie. Napiszemy więc: „Zwolniono więźnia po uiszczeniu grzywny”. Może być? Sam byś tego lepiej nie zrobił, co? Oj, skromniś z siebie, oczywiście, że byś zrobił. Daj klucz.

Odskoczyłem od drzwi, gdy zamek zazgrzytał, a zawiasy zajęczały przeraźliwie.

– Cześć, Huba – bąknąłem.

– Coś podobnego, Kociołek – rzucił kłobuk, przyglądając mi się uważnie. – A myślałem, że masz do siebie więcej szacunku.

– Mam go mnóstwo – zapewniłem kupca. – Dlatego właśnie dałem się zamknąć, a teraz, dzięki twojej pomocy, zrealizuję swój stuknięty plan do końca.

- Pomocy? - prychnął kłobuk. - Uwalnianie obitych kwatermistrzów wcale a wcale nie należy do moich obowiązków, Kociołek, dlatego potraktujemy to jako transakcję handlową. Twoją zapłatą jest utrata wszelkich przywilejów stałego klienta, w tym opcji przeskoku kolejki, wglądu w zawartość magazynu i błyskawicznej dostawy dla twojego pułku.

- Rozumiem - powiedziałem z udawaną pokorą i odwróciłem lekko głowę, by kłobuk nie ujrzał błysku rozbawienia w moich oczach. Nie miałem bowiem żadnych przywilejów, co oznaczało, że Huba doskonale wie o wydarzeniach w Gorczycy. To, że przypuszczalnie traktował je jako zamach na wolny handel, nie miało żadnego znaczenia, bo i tak nie zamierzał puścić ich płazem.

- Ciekaw jestem - bąknąłem cicho, by tylko on to usłyszał - jakimiż to przywilejami zapłacili władcy elfów za przetransportowanie zabójców w kufrach.

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczył kłobuk z pogodną miną. - Ale niezrozumiały bełkot to coś normalnego u człowieka, któremu tak gębę obito. Wynoś się stąd, i to szybko.

- Pozdrowić od ciebie Eliaha?

- Nie znam nikogo takiego. No, zjeżdżaj, bo Baryła zeżarł już ser.

\*

Hrabia Henryk przybył pod Kozibród na tyle późno, że nie zdołał zająć dla siebie żadnego pagórka. Jego namioty ciągnęły się więc półkolem dobrych kilkadziesiąt kroków za obozowiskiem Fuxów, ale na tyle blisko rzeki, że hrabia mógł uznać tę lokalizację za godną swojego statusu, zwłaszcza że w jego orszaku znajdowało się kilkanaście koni. Wokół natomiast ciągnął się równy teren, co mogło nieco skomplikować nasze plany, ale próbowałem się tym nie przejmować.

Znajdowałem się na tyle daleko od osady, by gwar wieczornej zabawy brzmiał jak niewyraźny pomruk, a zarazem na tyle blisko, by zrozumieć, że hrabina



najwyraźniej opada z sił. Jej ryki nie miały już bowiem nic wspólnego z ludzkimi i każdy z nich wywoływał u mnie ciarki. Najwidoczniej poród przebiegał naprawdę źle i choć nie miałem żadnego powodu, by darzyć ją szacunkiem jako szlachciankę, jako kobiecie współczułem jej z całego serca.

Niemniej plan pozostawał planem. Musieliśmy odbić Mojrę.

Popychając wózek, brnąłem w kierunku namiotów, nad którymi łopotały proporce. Zerwał się lekki wiatr, który szarpał płomieniami pochodni trzymanyh przez hrabiowskich podwładnych. Byłem przekonany, że hrabia, choć głęboko przejęty cierpieniem żony, doskonale pamięta o ostrzeżeniu wysłanym mu przez elfich władców. Wokół obozowiska krążyły grupki zbrojnych, zarówno rycerzy, jak i giermków czy najemników i nawet mysz nie zdołałaby się tu wślizgnąć niespostrzeżenie.

W takich zaś chwilach trzeba było zgrywać głupka, a w tym, jeśli wierzyć mojej żonie, byłem absolutnym mistrzem.

Wózek podskakiwał na wybojach, pobrzękiwało szkło. Wiatr z szelestem kładł trawy, a strażę wokół obozu pokrzykiwały nerwowo. Dwóch ludzi zatrzymało się na mój widok. Podmuch wydał ich tuniki z dwoma złamanymi różami, herbem hrabiego Henryka Davlon. Jeden z mężczyzn uniósł dłoń.

– Hej! – huknął. – Kto idzie?

– Ja... eee... – Zawahałem się. Teraz dopiero uzmysłowiłem sobie, że w ferworze układania planu całkiem zapomniałem o własnym pseudonimie. – Ja... Żychłoń jestem!

Wypuściłem z dłoni rączki wózka i wykonałem nieudolną imitację dworskiego ukłonu. Serce zabiło mi żywiej, gdy uświadomiłem sobie, że znalazłem się w miejscu, z którego nie ma odwrotu. Obaj mężczyźni szli już ku mnie. Blask roztańczonych pochodni odbijał się od naramienników, co oznaczało, że mam do czynienia z rycerzami. To zaś mogło sprawę zarówno ułatwić, jak i utrudnić.

– Stój, kmiecie! – zawołał jeden z nich, barczysty wasacz z buzdyganem za pasem. – Co tam wiesz?

– Jaki znowu kmiecie, szlachetny panie! – udałem dobroduszne oburzenie, znów skwitowane niskim ukłonem. – Jam dworski, panie, i hrabiemu Fuxowi służę!

– Tedyś kierunki pomylił – odezwał się drugi, z policzkiem rozciętym szeroką, nieładną blizną. – Fuxowie tam się rozsiedli, a niechybnie do nich właśnie wracasz.

– Tak się składa, że ja akurat do hrabiego Henryka się udaję, szlachetny panie rycerzu. – Uniosłem palec, jakbym próbował go pouczyć. – Ale od hrabiego Fuxa, a więc zgodzić się mogę przynajmniej częściowo. Hrabia – znów się ukloniłem – nie może się nacieszyć szczęściem waszej pani i śle dary z okazji powicia niemowlęcia. Spójrzcie, panowie. – Tryumfalnym gestem zerwałem serwetę z wózka i pokazałem szyjki butelek. – Oto wina najprzedniejsze, lata temu do piwnic zwiezione i...

Powietrze znów przeszył zwierzęcy ryk rodzącej kobiety. Z trudem powstrzymałem odruch zaciśnięcia powiek, a rycerze, którzy już się nachylali nad wózkiem, wyprostowali się na baczność. Na ich obliczach zagościła surowość przemieszana z udreką.

– Ale chyba hrabia się nieco pospieszył – szepnąłem ze zgrozą. – Rety, weźcie to ode mnie. – Pchnąłem wózek ku rycerzom. – Przekażcie waszemu panu, co? Nie mogę z tym wrócić, bo jeszcze stary Fux uzna, że niedojda i do złego obozu podyrdałem! A to pojeb, mówię wam, że aż głowa mała! Zaraz, gdzieś tu miałem flaszeczkę otwartą, żeby mi się raźniej pchało... O, tu jest.

Nagle uleciało ze mnie wszelkie napięcie. Znów byłem karczmarzem, który stawia poczęstunek przed naburmuszonymi gośćmi i powoli, ze spokojem rozbiera ich złe nastawienie. Wąsaczowi, który ewidentnie miał ochotę mnie przepędzić, wepchnąłem kieliszek jako pierwszemu, a ów z blizną, któremu przez twarz przemknęła rezygnacja, sam wyciągnął rękę po kolejny.

Ja zaś nalewałem i gadałem:

– Śmiało, śmiało, nie krępujcie się, szlachetni panowie. Przecież ja wam w pracy nie przeszkadzam, a jedynie ją umilam. Co będziemy wińsko, zaraza, marnować, no nie? Ejże, szanowni panowie – zawołałem głośniej – pójdźcie no tu!

Do naszej grupki podeszło dwóch innych pasowanych.

– Co tu się wyprawia?! – huknął wysoki, tyczkowaty rycerz z wydatną grdyką.

– Nie drzyj się – uciszył go Blizna. – Ten pajac od Fuxów przychodzi z winem dla hrabiego, ale... – rozejrzał się – hrabia zajęty, a pić się chce.

– Pewnie, że się chce. – Podałem każdemu pełny kielich. – Zwłaszcza w noc taką jak ta. Pijcie, szanowni panowie, bo przecież nie mogę wrócić do siebie z wózkiem pełnym butelek. Tylko szybko, bo hrabia czeka, aż mu kulasy rozmasuję, i będzie mi kołki na łbie ciosał, jeśli się spóźnię! Podczas masowania zaś mam mu śpiewać. Widzieliście kiedyś, szlachetni panowie, takiego pojeba?

Rycerze, którzy po wychyleniu kilku tęgich kielichów wina z wolna zapominali o różnicach klasowych, pokręcili zgodnie głowami.

– To jeszcze nic! – perorowałem. – Wyobraźcie sobie, szlachetni panowie, że stary cap ubrdał sobie, że przez pępek ucieka mu życie, a więc codziennie starannie zapycha go sobie przezutym chlebem. I skwapliwie dba, by każdy próg przekraczać lewą nogą, by nie urazić skrzatów, a gdy go na stolec najdzie ochota...

Rycerze to kręcili głowami, to rehotali zgodnym chórem, starając się zapamiętać plotki o głowie konkurencyjnego rodu, by jak najszybciej puścić je w obieg, a ja pytowałem jak najęty i co rusz otwierałem kolejną butelkę.

– I założę się, szlachetni panowie, żeście nigdy tak skąpego arystokraty nie widzieli! Stary Fux szasta pieniędzmi tylko na pokaz, wierzcie mi! Na własne oczy widziałem, jak kiedyś zlął z konia, by podnieść podkowę, przyuważoną gdzieś w błocie. I o własny kaftan ją wytarł, zanim słudze oddał.

– To jeszcze nic! – zachichotał wąsacz. – Pamiętacie, panowie, gdy naszemu Henryczkowi przyszło ostatnio do płacenia za wieczerzę i nocleg dla orszaku? Jak wydziwiał nad rachunkiem? Jak mu się nagle przypomniało, że prześcieradło było za szorstkie, a woda w misie za ciepła?

– Pamiętam! – czknął ten z blizną. – To po drodze było! W tej karczmie ze smokiem czy inną wiwerną! Pamiętacie, panowie, tę dziewczkę, co nam usługiwała? Tę rudą jak ogień? Zdrowa panna, co nie?

– Zdrowa! – przytaknął pokraśniały nieco dryblas z wydatną grdyką. – Ale jej mamuśka, hej, to ci dopiero babka była!

Rycerze podzielili się na dwa obozy: zwolenników mojej żony oraz mojej matki, a we mnie tak się zagotowało, że o mało nie wyszedłem z roli. Na szczęście dla mnie noc znów przeszył dziki ryk rodzącej.

– Zdrowie pani hrabiny! – huknął Wasacz.

– Zdrowie! – podjęli pozostali rycerze.

Wiwatom nie było końca, a mnie ogarnął niepokój, bo w owym ryku kryła się jakaś ostateczność i w istocie urwał się znienacka, zamiast wybrzmieć jak wcześniejsze. A potem rozległ się kolejny, tym razem męski.

– Cisza! – huknął dryblas.

Rozochoceni rycerze milkli jeden po drugim, a wtedy wszyscy usłyszeliśmy entuzjastyczny wrzask kogoś, kto mógł być tylko hrabią Henrykiem.

– Syn! Mam syna!

– Wiwat! – huknęli rycerze. – Niech żyje!

Kielichy strzeliły ku gwiazdom, wino trysnęło na wszystkie strony, dłonie w skórzanych rękawicach sięgnęły po kolejne butelki.

– My już się tu obsłużymy! – Wasacz protekcyjnie poklepał mnie po plecach. – Wracaj, chłopie, masować Fuxowe kulasy!

Ukloniłem się nisko, mamrocząc coś do siebie, i cofnąłem się o kilka kroków, a potem niespostrzeżenie skręciłem w bok i popędziłem prosto w stronę obozowiska.

Bo dla mnie, Eliaha i Żychłonia okrzyk hrabiego był wezwaniem do działania.

– Hej! – krzyknął któryś z rycerzy. – A ty gdzie? Stój!

Nie oglądając się za siebie, wpadłem między namioty, gdzie naraz rozpętało się największe zamieszanie, jakie w życiu widziałem.

Skoczyłem w stronę najokazalszego pawilonu, w którym, jak sądziłem, właśnie przyszło na świat hrabiątko, ale zawadziłem nogą o jakąś linkę. Potknąłem się i tylko temu zawdzięczałem życie, bo zataczający łuk ciężki miecz przeciął powietrze zamiast mojej czaszki. Kątem oka zauważyłem, jak

rycerz zrywa się, by za mną skoczyć, ale nagle zgina się w pół, obejmując się za brzuch.

Dobra robota, Żychłoń, przeszło mi przez głowę.

Inny, który skoczył na mnie z drugiej strony, zwałił się na ziemię, gdy jego kostki z furkotem oplótł bolas.

Ludzie wokół mnie padali pokotem. Widziałem jakiegoś rycerza, który tarzał się wściekle po ziemi, próbując podrapać się pod pancerzem, a obok innego, który rymnął na kolana i zwrócił całą zawartość żołądka oraz zapewne jeszcze paru organów. Najwidoczniej guślarz szastał swą mocą na prawo i lewo, a na koniec dosięgnął jeszcze jednego zbrojnego, który biegał w kółko, wrzeszcząc, że oślepl, do momentu, gdy zderzył się z giermkim próbującym wyrwać sobie sztylet z ramienia. Ja zaś przeskoczyłem nad ciałem rzeźącego najemnika, który usiłował zerwać sobie laso z gardła, i nagle droga do namiotu hrabiowskiego stanęła otworem.

Ciężko dysząc, rzuciłem się ku niemu.

Naraz dwóch strażników wyrosło przede mną jak spod ziemi. Jeden z nich skierował ku mnie włócznię, drugi w tej samej chwili wzniósł do ciosu miecz. Wiedziałem, że nie zdołam uciec.

Bicz świsnął w powietrzu i oplótł się wokół wzniesionej klingi. Elf, który pojawił się dosłownie znikąd, wyrwał zaskoczonemu żołnierzowi broń jednym szarpnięciem, po czym odwrócił się ku drugiemu. Ten, równie osłupiały, cofnął się o krok, co wykorzystałem bez litości i grzmotnąłem go prosto w zęby perfekcyjnym ciosem zadany według najlepszych prawideł karczemnej młócki.

A potem wpadłem do namiotu.

I zrozumiałem, że ze wszystkich rzeczy, które ujrzałem tej nocy, z pewnością nie zapomnę właśnie tej jednej. Przez chwilę rozciągniętą w wieczność patrzyłem na bladą z wyczerpania twarz kobiety, na jej włosy klejące się do spoconego czoła i drżące ramiona, które obejmowały kwilące niemowlę. Patrzyłem na palące się świece i zakrwawione prześcieradła, na kryjące się po kątach służące i zatopionego w modlitwie kapłana Doli. Wreszcie odnalazłem wzrokiem Mojrę.

Uzdrowicielka, dumna i spokojna, wstała na mój widok. Uśmiechała się zadziornie, jakby chciała w ten sposób zamaskować swój strach.

– Masz tu jeszcze coś do zrobienia? – rzuciłem zasapany.

– Nic a nic – odparła uzdrowicielka. – Bo szwy każdy zdejmie, nawet ten półgłówek.

Wskazała kapłana, który właśnie zamrugał, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że w namiocie coś się dzieje.

– Doskonale – stwierdziłem. – A więc wynosimy się stąd.

Złapałem kapłankę za nadgarstek i ruszyłem na zewnątrz, ale coś mnie tknęło. Zatrzymałem się w pół kroku i spojrzałem na wymizerowaną, półprzytomną hrabinę.

– Wychowaj go na dobrego człowieka – powiedziałem, patrząc jej w oczy.

I wyszedłem, ciągnąc uzdrowicielkę za sobą.

Trafiliśmy w chaos jeszcze większy niż wcześniej. Ujrzałem dryblasę, wasacza i tego z bliźną, jak pędzą prosto na mnie, wznosząc miecze. Kątem oka zarejestrowałem innego napastnika, którym, sądząc po bogatym stroju, mógł być tylko sam hrabia. Czerwony na gębie, wyskoczył zza pawilonu i zamachnął się mieczem.

Mojra wyrwała mi się gwałtownie, zanurkowała pod opadającym ostrzem i bosą stopą kopnęła hrabiego prosto w przyrodzenie.

– Swoje już, jak sądzę, zrobiłeś! – syknęła.

Uderzenie serca później, przy akompaniamencie szczęku żelaza, jęków i przekleństw, runął na ziemię kwiat hrabiowskiego rycerstwa, nie dostrzegłszy rozpiętej tuż nad ziemią liny. Eliah, jeszcze chwilę temu skryty między namiotami, przebiegł po plecach próbujących się podnieść wojów, brutalnym kopnięciem kolana w skroń odebrał przytomność temu, któremu szło to najsprawniej, a potem nagle znieruchomiał.

Jego wzrok, mroczny i drapieżny, odnalazł bowiem hrabiego.

Henryk również zastygł, dostrzegłszy elfa, a z jego twarzy odpłynęły wszystkie kolory. Nagle poczułem, że ktoś łapie mnie za ramię.

– Po robocie, Kociołek – szepnął mi do ucha Żychłoń. – To, co się tu teraz wydarzy, to już nie nasza sprawa. Zmywamy się stąd.

\*

Mojra przyglądała Żychłoniowi brodę i namiętnie pocałowała go w usta. Wyszeptała mu coś do ucha, ani chybi obiecując ciąg dalszy zabawy, którą przerwali im hrabiowscy rycerze, a potem podeszła do mnie i mocno przytuliła, aż poczułem miękkość jej piersi, po czym pocałowała mnie równie namiętnie co Żychłonia.

– Ja... – Zakrzusłem się. – Ja jestem żonaty!

– To co ty na wojnie robisz, głupolu? – westchnęła uzdrowicielka i odwróciła się do mnie plecami.

– Nie wiem – bąknąłem, patrząc, jak podchodzi do Żychłonia, a ten wręcza jej zdobyczną włócznię. Mojra pocałowała go raz jeszcze, a potem wsunęła sobie włócznię między nogi, odbiła się piętami od ziemi i... poleciała. Z niedowierzaniem i zachwytem śledziłem jej lot, aż znikła gdzieś na tle rozgwieżdżonego nieba.

– Myślałem, że one to tak bardziej na miotłach latają... – wykrztusiłem.

– Owszem – zgodził się Żychłoń. – W czasach pokoju. To co teraz? – Patrzył na mnie tym mądrym, nieprzejeżdżanym wzrokiem, od którego w głowie i sercu pojawiały mi się rozliczne pytania oraz wątpliwości.

– Teraz to chyba muszę wracać do jednostki – wyrzekłem powoli i spojrzałem na niebo, na którym zaczynał się różowić świt. – Huba, o ile dobrze pamiętam, załatwił mi poranny wypis, a Baryła ma w zwyczaju pozbywać się aresztantów bladym świtem, by oszczędzić na śniadaniu.

Ziewnąłem szeroko. Nie miałem pojęcia, że jestem aż tak zmęczony.

– Nie o to pytałem.

– Tak, wiem. – Pokiwałem głową.

Przez moment wpatrywałem się w odległe już obozowisko, skąd nadal dobiegały wściekle krzyki i lamenty.

– Idiotyczna ta wojna – przyznałem.

– Jak każda – rzekł Żychłoń. – Choć teraz przynajmniej udało się przyłożyć temu, kto najbardziej na to zasługiwał.

– Jesteś guślarzem, prawda? – Spojrzałem na niego hardo. Powoli, niechętnie skinął głową i odruchowo nałożył kaptur.

– Mam nadzieję, że zachowasz to dla siebie – burknął.

Aż pokręciłem głową, nie mogąc pohamować zdumienia. Co innego czyjś domysł, a co innego pewność, że oto stoję przed przedstawicielem niezwyklej, zakazanej profesji z dawnych lat, ocalałym z rzezi urządzonej przez kapłanów Doli i królewskich rycerzy.

Żychłoń uprzejmie nie skomentował faktu, że wpatruję się w niego z szeroko rozdziawioną gębą.

– Choć w sumie zbyt wielu ludzi już mnie tu widziało – mruknął, poprawiając szatę. – Fajnie w tym Kozimbrodzie, ale czas najwyższy się stąd ulotnić i zaszyć gdzieś, gdzie występuje mniejsze stężenie pasowanych i wysoko urodzonych.

– Znam takie miejsce – wypaliłem.

– Znasz? – zdziwił się guślarz.

– O, tak. Idealne miejsce dla ciebie. Nawet chętnie cię tam zaprowadzę, bo jeden z moich przyjaciół namawia mnie ostatnio do wzięcia przepustki. I to na dłużej.

– Mądry człowiek.

– To krasnolud, a więc niekoniecznie. Jak cię znajdę?

– Ja znajdę ciebie – oświadczył Żychłoń i odszedł w mrok, gdzie mieszkały legendy.

*Ukochana!*

*Wybacz, że piszę do Ciebie z takim opóźnieniem, ale miałem ostatnio sporo pracy. Pułkownik uznał bowiem, że muszę odpracować dwa zgubione przypadkowo słoiki z miodem, które to, wedle moich dostawców, stanowią w naszej okolicy wielką rzadkość. Gotowałem więc, piekłem, solłem*



*i wędziłem, a wieczorami byłem tak zmęczony, że zgoła nie mogłem utrzymać pióra w ręku.*

*Może zresztą i dobrze, bo, jak mawiał dziadek Edgar, nadmiar pracy źle działa na ciało, ale całkiem nieźle na głowę. Z czystym sumieniem ignorowałem więc wszelkie nowiny z Koziegobrodu, jak i z zagranicy. Bo jakie znaczenie dla mnie czy dla nas ma choćby to, że ktoś ukatrupił hrabiego Henryka, i to w noc, w którą jego żona powiła syna? Koledzy z kwatermistrzowskiej powtarzali mi później, że kilku jego rycerzy przez dobry tydzień biegano po osadzie i okolicach, poszukując jakiegoś „drania, który ich podtruł i pohańbił”. U nas też byli, ale akurat pękł mi worek z mąką i musiałem w pośpiechu sprzątać kuchnię. Szkoda, bo chętnie obejrzałbym sobie durniów z bliska.*

*Bokiem mi ta cała wojna wylazi. Mam już serdecznie dość harówki za dwa mohiny miesięcznie ze świadomością, że w każdej chwili książę Rupert może wpaść na pomysł, że pora zdobyć większą chwałę. Tworzenie siatki kontaktów na przyszłość również nie wychodzi mi najlepiej, bo ze szlachtą trudno mi się dogadać, a pułkownik trzyma mnie krótko i nie pozwala na wiele swobody. Nic w tym dziwnego, bo jada jak król.*

*A inni? Nie dalej jak wczoraj słyszałem, że kucharz porucznika Zyberta zrobił mu jajecznicę z nieświeżych jaj. Koszmar.*

*Poważnie rozważam, czy nie dać sobie z tym wojskiem spokoju, ale z tego, co słyszałem, nie będzie to proste. W armii krasnoludzkiej ponoć pomagają rany wylotowe, co niestety u nas honorowane nie jest. Wiem to na pewno, bo kilku kolegów pokazało mi własne. Będę mieć jednak czas do namysłu, bo wystarałem się o kilkudniową przepustkę. W chwili, gdy czytasz ten list, ja jestem już w drodze!*

*Do zobaczenia!*

*Tęsknię za Tobą z całego serca.*

*Edmund*

*P.S. Przyprowadzę kogoś, ale obiecuję, że to już ostatni lokator.*

Drużyna  
do zadań specjalnych



– Kiedy smaży się grzyby – mówiłem cierpliwie, poruszając drewnianą szpatułką po mojej ulubionej patelni – nie wolno ich stłaczać, bo wówczas puszczą sok i możemy zapomnieć o rumianej skórce. Solić je zaś najlepiej pod koniec smażenia.

Żychłoń przyglądał mi się uważnie.

– Czemu? – spytał w końcu. – Ja zawsze soliłem na początku, żeby nie zapomnieć.

– Tak też można – przyznałem. – Ale posolone grzyby puszczają wodę i potem trzeba ją odparować. Zwłaszcza jeśli zbiera się je po deszczu i nie ma czasu, by je wcześniej porządnie wysuszyć.

Guślarz burknął coś pod nosem. Nie miałem pojęcia, czy komentuje moje kulinarne rewelacje, czy też przeklina pogodę, która raczej nas nie rozpieszczała. Co prawda w listopadzie tylko naiwniak mógłby oczekiwać suchej, słonecznej aury, ale ulewę, która towarzyszyła nam od chwili opuszczenia obozowiska, trudno było potraktować z wyrozumiałością. Lało tak bardzo, że zarówno kupieckie trakty, jak i leśne ścieżki zamieniły się w mokradła i rychło musiałem porzucić nadzieję, że zdołamy dotrzeć do Gryfa rankiem następnego dnia. Nawet Żychłoń, który przywykł do życia w kniei, kłął w żywy kamień, a ja zastanawiałem się, czy by mimo wszystko nie wrócić do jednostki.

Noc spędziliśmy w jakiejś opuszczonej ziemiance, desperacko próbując wysuszyć przemoczone ubrania i memlając wilgotne suchary. Na szczęście przed świtem ulewa przerodziła się w nieszkodliwą mżawkę, która po nastaniu dnia całkiem znikła. Ruszyliśmy więc w dalszą drogę przez mokry i rozbrzmiewający ptasim trelem las, aż

natknąłem się na kolonię rydzów i po prostu musiałem się zatrzymać, żeby je usmażyć.

Wyszły, przyznam, całkiem, całkiem. Przez długą, błogą chwilę nasze ciamkanie i mlaskanie zakłócało idealną harmonię ptasiego koncertu, aż posiłek dobiegł końca i przegnaliśmy skrzydlatych muzykantów serią potężnych beknięć.

– Niezłe, niezłe – oznajmił Żychłoń i otarł usta dłonią. – Masz, chłopie, talent. Żona też gotuje?

– Lepiej ode mnie – zapewniłem szczerze.

– Cholera. – Guślarz palcem wybrał resztki tłuszczu z miski. – Za takie żarcie jestem gotów wyrzec się tego i owego.

– Na przykład?

– Tak tylko powiedziałem, Kociołek – rzekł guślarz ze spokojem. – Mam czterdzieści sześć lat i jak dotąd przez całe życie nie wyrzekłem się niczego. A przyznam ci się, że mnie korciło. Miałem ochotę machnąć na wszystko ręką, wybudować sobie gdzieś chatę, wziąć babę i sadzić ziemniaki, rzepę czy coś podobnego. Fajnie byłoby patrzeć, jak rosną dzieci, strugać im fujarki, uczyć trzymać wędkę. Fajnie, ale... – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Guślarze byli niegdyś wolni, Kociołek – podjął po chwili. – Nie wszyscy ich kochali, ale otaczał ich powszechny szacunek i przede wszystkim nie musieli się wstydzić tego, kim są. Nie musieli uciekać, jak zaszczute zwierzęta. Opiekowali się ludźmi, leczyli ich, prowadzili i nauczali. Poznawali Moc i uczyli się sięgać po nią tak, by pomagać, nigdy po to, by niszczyć. Ja jestem potomkiem tych ludzi. Wraz z Mocą odziedziczyłem umiłowanie wolności i szacunek do siebie. Nie mógłbym się ukrywać gdzieś na wsi. Nie zniósłbym tego, że zmuszono mnie, bym się stał kimś, kim nie jestem.

– Ale przecież się ukrywasz – sprzeciwiłem się. – Udajesz żebraka, zakrywasz twarz kapturem, nie zawierasz znajomości...

– Tak, lecz czynię to z wyboru, a nie z konieczności – odrzekł guślarz. – Zawsze mogę odwrócić się i odejść, zaszyć się gdzieś w kniei, leżeć całymi dniami na mchu i cieszyć się

ciszą. A potem, jeśli mi się zachce, wrócić do ludzi, by mścić się na szlachcie.

– I można tak żyć? – spytałem z powątpiewaniem.

– Można. – Guślarz zaplótł dłonie za głowę. – Choć nie bez końca, wiem. Będę się tak pałętał, dopóki nie przemarznę, nie zachoruję, nie zdołam zdobyć czegoś do zjedzenia czy dam się poharatać rosomakowi. Bo wtedy znów zadam sobie pytanie, czy jednak nie byłoby warto zapuścić korzeni. A to będzie oznaczało mój koniec.

– Dlaczego?

– Bo trzeba by powiedzieć sąsiadom, skąd się przybyło, a Dolina jest mała – odrzekł guślarz. – Prędzej czy później pojawi się ktoś, kto wysłucha mojej rzekomej historii i stwierdzi, że nie zgadzają mu się jakieś szczegóły. Albo ktoś zauważy, że ten łysy brodacz podejrzanie szybko doszedł do siebie po zapaleniu płuc. Że jego koń nigdy się nie ochwacił, mleko mu się nie psuje, a szpaki zawsze omijają jego sad. Podzieli się tym spostrzeżeniem z innym sąsiadem, a ten być może opowie o wszystkim kapłanowi. Nie, Kociołek. – Żychłoń pokręcił głową i zamilkł na moment. – Ja nie mogę osiąść na stałe. To dla mnie wyrok śmierci, a knieja...

– Istnieje, na szczęście, trzecie rozwiązanie – wtrąciłem. – Wiem, że trudno będzie ci się z tym pogodzić, ale naprawdę się zastanów, czy nie miałbyś ochoty zostać u nas, w Gryfie.

– To życzliwa propozycja – Żychłoń wydał usta – ale nazbyt, Kociołek, hojna, a do tego nie omówiłeś jej z żoną. Poczekajmy, co na to powie twoja Sara, a wcale się nie zdziwię, jeśli uzna ten pomysł za kretyński. Guślarz ukrywający się w karczmie? Posłuchaj sam siebie.

– To nie karczma, lecz gospodarstwo – upierałem się. – Spore i pełne zabudowań. A poza tym, jak mówi stare porzekadło, najciemniej pod latarnią.

– A inne mówi: pożyczmy, zobaczymy. Uszanuję wolę twojej żony.

– A co z moją wolą? – Podniosłem się, marszcząc brwi.

– Też ją uszanuję. Ale w mniejszym stopniu.

Wyglądało na to, że pokonanie tego upartego osła w pojedynku na argumenty graniczy z cudem, choć niechętnie przyznawałem, że trochę racji jednak ma.

Głównym zmartwieniem Sary oraz Triv, mej matki, było zapewnienie nam wszystkim bezpieczeństwa. Udzielenie schronienia guślarzowi, nawet staremu i przezornemu, oznaczało w zasadzie proszenie się o kłopoty, tym bardziej że Żychłoń wydawał się dość szorstki w obejściu i dosyć nieprzewidywalny. Z drugiej strony coś mi mówiło, że nie mogę po prostu go porzucić.

Wśród gałęzi na nowo rozcwierkały się ptaki, zawzięcie ignorując czarne chmury nadciągające od zachodu. Zanosilo się na kolejną ulewę. Bez słowa zacząłem pakować sprzęty, gdy przypomniałem sobie o jeszcze jednej nurtującej mnie kwestii.

– Żychłoń, a zastanawiałeś się może nad tą... – zacząłem, ale nie wiedziałem, jak zakończyć.

– Egzekucją? – Guślarz zdawał się czytać mi w myślach. – Niewiele. A ty?

– Trochę – przyznałem. – A właściwie sporo. Dziecko straciło ojca, zanim go poznało. To... to w sumie straszne.

– To byłoby straszne, gdyby przyszło na świat w zwykłej, chłopskiej rodzinie – poprawił mnie guślarz. – Hrabina może liczyć na pomoc całego fraucymeru, a do tego ma kufry pełne złota. Czy małemu będzie brakować ojca mordercy? Nie sądzę. Ba, może nawet lepiej, że nigdy go nie pozna. Mam nadzieję, że drugi mąż hrabiny, bo nie sądzę, by jej łożo długo pozostawało wolne, okaże się lepszym człowiekiem.

– Sporo racji w tym jest – przyznałem. – A ten elf? Myślałeś o nim?

– Też nie – odparł guślarz i podniósł się z głośnym stęknięciem. – Ale nie martw się o niego. Da sobie radę.

– Pewnie, że da. Po prostu ciekaw jestem, co teraz pocznie.

– Dlaczego?

– Bo zabił Henryka, choć nie na tym polegało jego zadanie – zauważyłem. – Co się dzieje z Eliahem, który ubiegnie zabójcę i wyeliminuje jego cel?

– Nie wiem – rzekł Żychłoń. – I pewnie się już nie dowiemy.

Nigdy wcześniej nie widziałem, by ktoś się pomylił tak bardzo jak Żychłoń w tej chwili.

Przypinałem właśnie patelnię do plecaka, gdy zaszeleściły krzaki i spomiędzy nich wyłonił się Eliah. Miał na sobie

podróżną pelerynę, a na plecach łuk z kołczanem oraz plecak z przytroczonym pledem. Oszołomieni patrzyliśmy, jak idzie w naszym kierunku z kamienną twarzą i wreszcie zatrzymuje się tuż przede mną.

– Eee... – wyjąkałem. – Eee, cześć.

Elf zdjął plecak i wyciągnął z niego dwa słoiki z miodem, które następnie wcisnął mi do rąk.

– Masz. To te twoje – oznajmił i ruszył przed siebie tym samym równym krokiem, by po chwili zniknąć wśród ociekających wilgocią brzoźek.

Gdyby z krzaków wyłonił się łoś śpiewający hymny ku czci Doli, zapewne nie byłbym aż tak wstrząśnięty. Minęła długa chwila, zanim doszedłem do siebie na tyle, by obrócić głowę i spojrzeć na Żychłonia, który, ku mojej uldze, również miał szeroko otwartą gębę. Potem przeniosłem wzrok na słoiki: namacalny dowód, że nie uległem halucynacjom.

– Czy ty... – bąkałem. – Czy ja... Czy my...

Niespodziewanie w krzakach coś zaszeleściło, stęknęło, jęknęło i zakłęło siarczyście, a potem grzmotnęło o ziemię. I jeszcze raz. I znowu.

Chwilę później znów ukazał się nieporuszony Eliah, który włókł za sobą jakiegoś poturbowanego nieszczęśnika w ubłoconym ubraniu i z wielkim sińcem pod okiem.

– Ja niewinny... – jęczał nieborak. – Niewinny... Ja tylko te grzybki zwęszyłem i... Rety, panowie szlachetni, pomiłujcie! Przecież ja nic złego nie chciałem.

Elijah szarpnął go mocniej i nieszczęśnik padł przed nami na kolana. Mało brakowało, a zaryłyby twarzą w żarze ogniska.

– Co ty wyczyniasz? – syknąłem do elfa. – Co to za jeden?

– Podśłuchiwał – oświadczył Eliah z lekceważeniem, choć w jego spojrzeniu kryło się niedowierzanie. „Jak wy mogliście go nie usłyszeć?”, zdawały się mówić jego lekko skośne, ciemne oczy.

– Wcale nie! – zawył człowiek. – Ja tylko poczułem zapach tej cudnej potrawy i chciałem sprawdzić, czy... no wiecie, czy nie zostało wam trochę i...

– Brzmi przekonująco – oświadczył Żychłoń. – Ja tam mu wierzę.



– I słusznie! – Nieznajomy gorliwie pokiwał głową. – Zaraz widać, żeście, panie, mądry człek, bom przecież niewinny! Za pocztyliona robię od paru miesięcy, między północą a południem listy wożę, a wszystko pilne! Konia trzeba gnać i bywa, że czasem na porządny obiad czasu brakuje!

– Puść go, Eliah – powiedziałem. – To chyba rzeczywiście pocztylion. Wybaczcie, dobry człowieku, maniery mego... eee... towarzysza, ale ma powody, by nie ufać ludziom chowającym się po krzakach. Ja zresztą też.

A potem tknęła mnie nowa myśl.

– A nie masz ty przypadkiem czegoś dla mnie, co? Jestem Edmund zwany Kociołkiem, kwatermistrz Dziesiątego Pułku Piechoty, a stacjonuję pod Kozimbrodem.

– Mam, mam, a co mam nie mieć – wymamrotał pocztylion, łypiąc to na elfa, to znów na pustą już patelnię. – Cholerny mój los, pieprzony w dupsko...

Przez chwilę grzebał w sakwie, wreszcie wyciągnął list.

– Od pani Triv dostałem – wyjaśnił, ku memu zdziwieniu. – No, wiesz. Wdowy po Edvardzie od Muru.

– Od matki? – szepnąłem do siebie. W sercu obudziło mi się złe przeczucie, tym bardziej że z daleka rozpoznałem widniejące na kopercie kształtne, ale jakby rozchwiane, niestaranne pismo mojej żony. Rozerwałem papier trzęsącymi się palcami i wysupłałem ze środka kartkę.

List okazał się krótki. Przerażająco krótki.

*Edmund,*

*przybywaj jak najszybciej. Karczmę zajął Rohatyna, ów najemnik, który rzekomo ściga dezterterów. Ma siedmiu uzbrojonych drabów z kuszami i włóczyniami. Odsyłam Salię pod opieką Triv do sierocińca Dislai i zostaję tu sama. Nie mam pojęcia, gdzie są Gramm i Urgo.*

*Ci tutaj planują coś złego. Słyszałam, jak Rohatyna zdecydował, kto zostaje, a kto jedzie. Nie wiem dokąd. Pospiesz się, błagam Cię. Boję się.*

\*

Lało jak z cebra, ale nawet nie dostrzegałem strug deszczu. Przywarłem do mokrych kamieni muru, którym mój ojciec Edvard otoczył karczmę i przyległości. Swego czasu przeklinałem ów pomysł, zwłaszcza że znaczna część muru została wzniesiona moimi rękami, ale teraz byłem staruszkowi głęboko wdzięczny. Bo mur, choć zbyt niski i zaniedbany, by mógł zatrzymać czyjkolwiek atak, zapewnił mi teraz znakomitą osłonę. Przyglądałem się uważnie obejściu, starając się wychwycić jak najwięcej szczegółów, a przy tym próbowałem uspokoić drżące z wysiłku mięśnie.

Nie należałem do dobrych biegaczy, a kilku znajomych, na ogół nieżyczliwych lub uważających się za dowcipnych, wytknęło mi parokrotnie rosnący brzuszek, jednak list od Sary wyzwolił we mnie siły, o których nie miałem pojęcia. Mile dzielące mnie od domu pokonałem bowiem biegiem, zatrzymując się tylko wtedy, gdy ból w płucach stawał się nie do wytrzymania. Śliskie błoto okazało się zdradliwe i przewróciłem się jakieś tysiąc razy. Nie wiedzieć czemu krwawiło mi czoło, gdzieś zgubiłem plecak, a lewa kostka pulsowała mi wściekłym bólem. Byłem wyczerpany, przemoczony i brudny, ale nie liczyło się dla mnie nic poza jednym.

Dotarłem do domu.

Na razie jednakże niewiele z tego nie wynikało.

Banda oprychów owego Rohatyny, o którym pisała Sara, musiała kryć się w środku. Widziałem tylko jednego z nich pod wiatą przy wejściu, zakutanego w płaszcz z kapturem. Przeciekająca w wielu miejscach i po raz pierwszy w życiu ucieszyłem się ze swego niedbalstwa, bo bandyta wydawał się bardziej skupiony na próbach znalezienia względnie suchego miejsca niż na obserwacji otoczenia.

Jedyną nowością był wóz z naciągniętą częściowo plandeką, stojący przy naszym sadzie, kawałek za budynkiem karczmy. Umieszczono na nim jakąś skrzynię czy

puddo, nie miałem pewności. Koni nie widziałem, a więc najprawdopodobniej odprowadzono je do stajni.

Zazgrzytałem zębami. Sucze mordy, rządzą się jak u siebie.

Ta myśl przynagliła mnie do działania. Gdy wartownik zerwał z głowy kaptur, by otrzepać go z wody, powoli prześlizgnąłem się przez dziurę w murze. Mięśnie mnie posłuchały, choć niechętnie, i chwilę później kucałem przy pochyłej, rozłożystej jabłonce, tej samej, na której w słoneczne dni wieszałem Salii huśtawkę. Wychyliłem się z za pnia i uważnie przyjrzałem się oknom, wyteżając przy tym słuch.

Nic. Okna były zasłonięte, a szum ulewy zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Musiałem podkraść się bliżej.

Zakląłem cicho, gdy zawadziłem o drewnianą taczkę pozostawioną pod gruszą. Poderwałem głowę, ale wartownik niczego nie usłyszał.

Kilka niezdarnych susów później przypadłem do wozu oprychów. Wychyliłem się ostrożnie i...

Nic.

Jeśli te łotry nadal przebywały w środku, zapewne spały, jadły bądź wypoczywały. Nie zdobyłem jak dotąd żadnych wskazówek, ale przynajmniej nie dosłyszałem żadnych krzyków czy łomotów. Może jej nie skrzywdzili. Może Dola czuwała i Sara nadal była bezpieczna.

Poczułem wilgoć w oczach, nieprzyjemną, szczypiącą. Starłem ją wściekle mokrym rękawem i wyteżyłem wzrok i słuch.

Wtedy usłyszałem stuknięcie. Tuż obok siebie.

Na wozie.

Zamarłem, a serce zaczęło łomotać mi jak szalone. Przez moment usiłowałem sobie wmówić, że wszystko to tylko sobie wyobraziłem i zapewne uległem złudzeniu przez szum ulewy, ale chwilę później coś głośno zaszurało, po czym rozległo się leniwe ziewnięcie.

Powtarzałem sobie, że powinienem się skupić na rozpoznaniu okolicy i próbach uratowania Sary, ale ciekawość, którą przeklinałem już tysiąc razy, nakazała mi wyciągnąć rękę i złapać za róg mokrej derki narzuconej na skrzynię. Uniosłem ją ostrożnie, a wtedy okazało się, że

skrzynia jest w istocie klatką z mocnego drewna i stalowych, przerdzewiałych prętów.

Uniosłem derkę jeszcze wyżej i nagle ujrzałem przed sobą parę zmrużonych żółtych ślepi.

Nie należę do najodważniejszych ludzi na świecie i parokrotnie zdarzyło mi się rozedrzeć ze strachu na widok przyglądającej mi się sowy. Tym razem też niewiele brakowało, bym wrzasnął i zapewne zaprzepścił szanse na ocalenie Sary – i siebie! – gdyby nie to, że owe ślepie były rozczulająco wprost zaspane.

Zduśliłem odruch, by rzucić się do ucieczki lub choć cofnąć się na bezpieczną odległość. Nadal trzymając uniesioną derkę, wpatrywałem się w żółtooką istotę, rejestrując coraz to nowe szczegóły. Gruba, twarda skóra, ni to szarawa, ni to zielonkawa, ale zdecydowanie nie ludzka. Czarna czupryna, stercząca niemalże pionowo niczym kępa poczerniałego zielska. Szpiczaste uszy, wydatne kości policzkowe, haczykowany nos z wąskimi nozdrzami.

– Goblin – szepnąłem oszołomiony.

Rzeczywiście, Sara pisała o jakimś goblinie, ale za cholere nie mogłem sobie przypomnieć, o co jej wówczas chodziło.

– Co ty tu robisz? – syknąłem.

– Eee... – bąknął goblin, najwyraźniej zaskoczony głębią mojego pytania, i rozejrzał się odruchowo. – No, niewiele.

– Złapali cię? Ten cały Rohatyna i jego banda?

– Złapali – przytaknął goblin i podniósł się na łokciu. – Wczoraj. W lesie.

– Czemu?

– Nie wiem – odparł mój rozmówca z rozbijającą szczerością. – Jakoś tak... No, jakoś tak wyszło. Łowiłem ryby, a wtedy wyskoczyło takich dwóch. Darli się przy tym, że aż strach! No to uciekałem, ale w końcu mnie złapali.

Westchnął ciężko i w zadumie pokiwał głową, jakby pogodził się już ze swoją dolą.

– Miałeś okazję się im przyjrzeć? – szeptałem dramatycznie.

– Pewno.

Podjąłem decyzję. W naszych stronach rzadko spotykało się gobliny, które uchodziły za istoty dziwaczne i trudne do

zrozumienia, ale w swojej obecnej sytuacji nie miałem wyboru. Mój przygodny znajomy był jedynym, który znał bandę Rohatyny, a więc mógł się okazać bezcennym źródłem informacji. Uniosłem się z kolan i przyjrzałem się uważnie kłódce założonej na kraty.

– Chcesz się stąd wydostać? – szepnąłem.

Goblin energicznie przytaknął.

– Pewno. Już się wyspałem.

– Dobra. – Pokiwałem głową. – Uwolnię cię, ale pójdziesz ze mną i opowiesz mi o wszystkim, co wiesz na temat tych bandytów, dobrze?

– Pewno! – przytaknął z ożywieniem goblin, a potem spojrzał na wartownika i na kłódkę. – A jak zamierzasz się do tego zabrać? – spytał z powątpiewaniem. – Tu trzeba pilnika.

– Będzie i pilnik – mruknąłem i podniosłem się ostrożnie.

Delikatnie zaciągnąłem derkę na klatkę i ponownie zerknąłem na wartownika, który już się chyba pogodził ze swym losem, bo stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w bramie, nie bacząc na strugi wody lejące mu się na głowę. Nabrałem tchu w płuca i starając się stapać jak najciszej, przekradłem się między drzewami w stronę szopy. Miałem gorącą nadzieję, że Sara nie zrobiła tam porządku i wszystkie narzędzia walają się dokładnie tak, jak je zostawiłem.

A wtedy, jak to czasami bywa, Dola klepnęła mnie w ramię. Uniosłem głowę w samą porę, by ujrzeć, jak firanka na piętrze się odsuwa, odsłaniając czyjaś twarz. Nie miałem pewności, że to Sara, ale wzrok, który na sobie poczułem, nie pozostawił mi co do tego wątpliwości. Serce znów zabiło mi żywiej, tym razem z uniesienia.

Była tam. Czekwała na mnie.

Jeszcze chwila, szepnąłem w myślach, jakby stała tuż obok mnie i mogła mnie usłyszeć. Daj mi jeszcze chwilę. Ocalę cię. Wyciągnę cię z tej matni, ukochana. Jeszcze tylko chwila.

I ruszyłem naprzód.

Pilnik znalazłem dokładnie tam, gdzie go zostawiłem – wśród zużytych pędzli, w wiadrze po zaprawie murarskiej, za połamanym krzesłem i zepsutym kołowrotkiem.

Dach starej szopy na zewnątrz muru okalającego karczmę przeciekał jak sito, ale w ścianach nie było okien, przez co nie mógł nas dojrzeć żaden ze zbirów przebywających w głównym budynku. Skupiłem całą uwagę na naszym nowym znajomym.

– W lesie było sześciu. – Goblin odliczył na palcach. – Wredne, paskudne typy. Jeden w bandażach. W karczmie czekało jeszcze dwóch. Ciągłe się kłóca, a jak skaczą sobie do gardeł, to ten Rohatyna wstaje i pierze ich po gębach. A ciężką ma łapę, ciężką...

– Ciągłe się kłóca? – Podniosłem się i podszedłem do okna szopy, skąd widać było główny budynek Gryfa. – Można by to jakoś wykorzystać.

– Jak? – spytał przytomnie ubłocony, zdyszany Żychłoń, który dotarł na miejsce niedługo po mnie, dowodząc, że wyzywanie go od dziadów było mocną przesadą. Myślałem, że zgubiłem go po drodze, ale guślarz miał wprost niebywałą krzepę, a do tego, co było dla mnie trudne do pojęcia, nadal chciał mi pomóc. – Ludzie kłóca się bez przerwy, Kociołek. Gównu nam to da. Musimy znaleźć sposób, by jednocześnie dostać się do środka albo wywabić ich wszystkich na zewnątrz. Zwróć uwagę na słowa „jednocześnie” oraz „wszystkich”. Nielatwa robota.

Miał rację, ale mimo to uśmiechnąłem się pod nosem.

– Cieszę się, że mówisz: „my” – westchnąłem.

Eliah, który siedział w kacie i układał na trójnogim zydlu jakieś sznury, wymamrotał coś do siebie, jakby komentował moje słowa. Byłem bardzo zdziwiony, gdy wyłonił się z zalanego deszczem lasu w ślad za Żychłoniem, choć nadal nie wiedziałem, czego on tu właściwie szuka.

Uświadomiłem sobie, że guślarz coś mówi, i uniosłem głowę:

– No wiesz? – prawił z oburzeniem. – Jestem ci to, cholera, winien, a nawet gdybym nie był, to i tak bym się wmieszał. Wojna to koszmar i idiotyzm, do tego daje pożywkę przegniłym kutasom takim jak ten Rohatyna.

Gdzieś rozległ się zgrzyt.

– Mądre słowa – powiedział ktoś zdyszany głosem za moimi plecami.

Goblin przypadł do ziemi niczym dzikie zwierzę, guślarz chwycił ubłoconymi dłońmi tęgą łagę, a elf uniósł głowę bez zainteresowania. Potem wszyscy trzej spojrzeli na mnie, bo ja, zamiast łapać za broń, westchnąłem z bezbrzeżną ulgą.

– Dola czuwa nad nami wszystkimi – wykrztusiłem. – To Urgo, rycerz Doli.

Goblin się wyprostował, a Żychłoń nieco się rozluźnił. Ja zaś podszedłem do rycerza i uściśnąłem mu dłoń.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię tu widzę – szepnąłem ze wzruszeniem. – Karczmę zajęli jacyś maruderzy i...

– Wiem o wszystkim – wysapał rycerz i starł z czoła krople deszczu zmieszane z potem. – Twoja matka mi opowiedziała.

– Co z nią? – spytałem z napięciem. – I z Salią?

– Bezpieczne – odparł rycerz i przeniósł wzrok na karczmę. – Czego chyba nie da się powiedzieć o Sarze, prawda?

– Prawda – odparłem głucho.

– Możesz więc liczyć na mój miecz.

Kątem oka widziałem, że Żychłoń spojrzał na Urgo i przygryzł wargę, jakby chciał rzucić jakiś zgryźliwy komentarz, ale się powstrzymał. Byłem mu za to dozgonnie wdzięczny, bo i ja na widok potężnego wojownika w przerdzewiałej zbroi, który nadbiegł błotnistym traktem – szczęśliwie niewidocznym z okien karczmy – poczułem niewysłowioną ulgę.

Spojrzałem na elfa, który siedział w kącie i z uwagą kręcił jakąś pętlę. Czując na sobie moje spojrzenie, Eliah uniósł głowę.

– A ty? – spytałem. – Ty też masz ochotę się wmieszać?

Zabójca poruszył ramionami, co mogło oznaczać dosłownie wszystko, po czym powrócił do oglądania lin. Poczułem lekką konsternację – nie wiedziałem, co Eliah chciał mi przekazać, a wolałem go nie naciskać. Było nie było, atak na bandę Rohatyny wiązał się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem i mogłem uważać się za szczęściarza, skoro aż dwóch niezłomnych ludzi było gotowych bezinteresownie stanąć po mojej stronie.

Skupiłem wzrok na goblinie, który przyglądał nam się z zainteresowaniem.

– Co jeszcze możesz nam powiedzieć o tych bandytach? – spytałem. – Złapali cię i co dalej?

– Wsadzili do klatki, a potem się kłócili – odparł zapytany. – Jeden ciągle powtarzał: „To nie ten! To nie ten!”. Chyba przesadził, bo gdy przyszło do walenia po mordach, to ten wielki zaczął od niego. A jak zrobiło się cicho, kazał im szukać.

– Kogo? – spytałem. – Albo czego?

Na zewnątrz szumiała ulewa, krople deszczu, które prześlizgiwały się przez gonty, z pluskiem spadały do kałuż na polepie. Zbroja Urgo zgrzytnęła, gdy ten założył ramiona na piersi. Goblin zadumał się i przez dłuższą chwilę tylko kiwał głową.

– Jakiegoś młodego – oświadczył w końcu.

– Młodego? – Uniosłem brwi.

– Albo smarka – rzekł goblin. – I gówniarza. Ale to chyba jedno i to samo, no nie? Chyba że trzech ich było?

– Nie, nie trzech. Pamiętasz coś jeszcze? – spytałem. – Co to za młody? Gdzie go szukali? Co przy tym wołali?

– Nic nie wołali – odparł goblin. – Cisza była. Rozeszli się po lesie i tyle. Ze mną został ten w bandażach, a reszta łąziła całą noc po lesie. Wrócili dopiero niedawno, wściekli jak osy.

Milczałem, trąc z uporem oczy, a potem się podniosłem, by znów spojrzeć na Gryfa.

– Zbierzmy fakty – powiedziałem cicho. – Rohatyna wraz z drużyną dociera do mojej karczmy i zakłada w niej bazę. Z tego, co napisała mi Sara, coś planuje. Zostawia dwóch ludzi, by mieli Gryfa na oku, a sam z piątką pozostałych wyrusza w teren. Kiedy cię złapali? – zwróciłem się do goblina.

– Wczoraj – odparł, gryząc paznokiec.

– A więc wczoraj wydarzyło się coś ważnego. Uciekł im ktoś, kogo nazwali młodym. Być może ktoś z ich grona, być może jeniec, a na pewno ktoś, za kim warto przez całą noc uganiać się po lesie. W trakcie poszukiwań w ich łapska wpadł nasz... Jak ty właściwie masz na imię? – zwróciłem się do goblina.



– W moim plemienu nazywają mnie Urznięta Macka – odparł ten z dumą.

Stęknąłem.

– Da się to jakoś skrócić? Albo zdrobnić?

– Nie wiem... Ale miejscowi, gdy przede mną uciekają, wrzeszczą: „zwierzak, zwierzak”!

– Może być Zwierzak – stwierdziłem, ku wyraźnej uciechu goblina. – A więc dorwali Zwierzaka, co jednak nie przyniosło im wielkiej satysfakcji. Wrócili do karczmy i zaraza wie, co knują, ale mam złe przeczucia.

– To co robimy? – spytał groźnie Żychłoń, zacierając ogromne łapska.

Odwróciłem się ku niemu z zaciętą miną.

– Musimy wykorzystać wszystkie przewagi, jakie mamy. Po pierwsze, sukinsyny się nas nie spodziewają. Po drugie, są zmęczeni po całonocnych poszukiwaniach i zapewne śpią, a po trzecie, to moja karczma i...

– Śpią? – Goblin zastrzygł uchem. – Oj, niedługo to jeszcze potrwa.

Zamarłem.

– Co...? Co ty powiedziałeś?

Zwierzak nie musiał jednakże odpowiadać, bo naraz sam usłyszałem dziwnie znajomy głos, zrzedliwy i marudny. Zbliżał się, a wtórowało mu człapanie ciężkich buciorów.

– ...niby też leje, ale nie to, co tu, na płaskim! I błota tyle nie ma, pieprzonego błota. Nienawidzę błota. Na dupie trza było siedzieć i piwo siorbać, a nie, kurwa, przygód szukać. Gdzie bym pomyślał, że zostanę niańką dla jakiegoś...

Ogarnięty najgorszymi przeczuciami, ostrożnie wyjrzałem zza framugi.

Schroniliśmy się w starej szopie, która stała przy bramie i czekała, aż wymyślę dla niej przeznaczenie. Miejsce nie było najwygodniejsze, bo przeciekało jak diabli, ale mieliśmy stąd doskonały widok na dziedziniec przed karczmą i główne do niej wejście, a także na trakt. I tymże traktem, klnąc w żywy kamień, zmierzał właśnie przemoczony i rozwścieczony krasnolud Gramm.

– Nie – wyszeptałem. – Tylko nie to! Eliah, zatrzymaj go!

Nie miałem pojęcia, skąd wziął mi się pomysł, by zwrócić się właśnie do elfa, który z całej naszej gromady wydawał się najmniej chętny do spełniania czyichkolwiek próśb czy rozkazów. Ba, praktycznie nie znałem ani jego, ani jego możliwości, przez co w zasadzie nie miałem pojęcia, czy zdoła cokolwiek poradzić, ale...

Cóż, pomyliłem się.

Rozwijająca się w locie lina zafurkotała tuż obok mego ucha. Idealnie wycelowana pętla opadła na krasnoluda, a potem, gdy Eliah szarpnął za linę, zacisnęła się na wysokości jego kostek. Kolejne szarpnięcie powaliło krasnoluda na plecy.

– Ej, to już jest naprawdę nie w porz... – zdażył stęknąć wciągany do szopy Gramm, lecz Urgo w okamgnieniu zatkał mu usta.

– Chłopaki, to mój stary kompan Gramm – mruknąłem. – Przywita się z wami w innych okolicznościach.

Zerknąłem przez szczelinę w ścianie i przeszył mnie zimny dreszcz. Zamieszanie, którego narobiliśmy, zwróciło uwagę wartownika, który wyszedł spod wiaty i zrobił kilka kroków w stronę bramy. Tam ujrzał ślad, pozostawiony przez ciągniętego po błocie Gramma.

– Żychłoń – syknąłem. – Wymyślisz coś?

– Pracuję nad tym – szepnął guślarz.

Oparł się obiema dłońmi o ścianę szopy i ze skupieniem zaczął się wpatrywać w bandytę. Po jego pomarszczonym czole spływały krople deszczu, a w powietrzu nagle dało się wyczuć osobliwe, niewytłumaczalne drżenie. Zbir zwolnił kroku i otworzył usta jak do krzyku, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk.

Kątem oka dostrzegłem, jak Urgo, nadal trzymający dłoń na ustach wiercącego się i wierzgającego Gramma, odwraca się ku Żychłoniowi.

– Czy to... – wychrypiał wstrząśnięty. – Czy to guślarz?

– To mój przyjaciel – syknąłem. – Podobnie jak ty. W wolnej chwili pogadacie sobie o pewnym sierocińcu i tamtejszej spiżarni, co, mam nadzieję, pogodzi was na zawsze, ale teraz bądź cicho. Żychłoń?

– Jeszcze moment – stęknął guślarz, po czym zacisnął powieki.

Bandyta chwycił się za brzuch i zgiął się w pół, po czym drobiąc, umknął między drzewa.

– Zmierz do wychodka – cieszyłem się. – Dobra nasza! Gramm, gotów do działania?

– Nie wiem – bąknął krasnolud, rozglądając się dookoła. – Może byś mi najpierw powiedział, co tu się właściwie wyrabia? Bo jeśli ten tutaj – wskazał palcem Zwierzaka – to ów goblin, którego szukam od paru dni, to nie ręczę za siebie i...

– Karcznię zajęła banda oprychów – rzuciłem, na co Gramm natychmiast spoważniał. Zwierzak, co zdołałem zauważyć, pozostał niewzruszony, jakby zupełnie się nie przejął groźbami krasnoluda. – Jeden z nich zaraz zatrzaśnie się w kiblu. Mógłbyś dopilnować, by został tam na dłużej?

– Grubsza akcja, co? – zarechotał Gramm. – Nie ma sprawy, Kociołek. Załatwmy to szybko, bo ja też mam pewną sprawę, a z tym cudakiem, który mnie przeciągnął po błocie...

– Nie teraz. – Zacisnąłem powieki i poddałem się niezwykłemu uczuciu towarzyszącemu chwili, w której wszystkie elementy układanki nagle wskakują na miejsce. – Posłuchajcie mojego planu.

\*

Zamysłem mego ojca było uczynienie z karczmy twierdzy z prawdziwego zdarzenia. Chciał, by Gryf stał się dla jego rodziny ostoją, o którą rozbije się wszystko, od moru po kolejną inwazję Złego. Plan był aż nadto ambitny jak na siły jednego, niemłodego już człowieka, który miał mnóstwo innej pracy na głowie, mocno ograniczony budżet i mnie w ramach niewykwalfikowanej pomocy murarskiej. Mimo to staruszek zdołał osiągnąć naprawdę dużo. Za jego sprawą karczma zyskała piętro, obszerny strych ze stanowiskami dla strzelców oraz system piwnic, z których jedna kończyła się gdzieś za murem. Na szczęście jego czarne wizje się nie spełniły i nigdy nie musieliśmy odpierać żadnego ataku,

a ojcu za nic w świecie nie przysłoby do głowy, że pierwszym człowiekiem, który podejmie próbę wspięcia się po ścianie karczmy, będę ja.

Mnie zaś za nic w świecie nie przysłoby do głowy, że okaże się to takie trudne.

Tu i ówdzie odpadł już tynk i łatwo było zaczepić o coś palce bądź oprzeć czubek buta, ale na tym udogodnienia się kończyły. Ściana była mokra, wilgotna i kruszyła się pod naporem mego bynajmniej nie filigranowego ciała, a mięśnie przy każdym ruchu eksplodowały bólem. Parłem jednak naprzód, zaciskając z pasją zęby. Parokrotnie straciłem punkt podparcia i już myślałem, że wyląduję na ziemi, spektakularnie grzebiąc całą akcją, ale dzięki Doli – czy może własnej determinacji – za każdym razem udawało mi się w porę przyłgnąć do ściany i uchronić się przed katastrofą.

Drewniany parapet na piętrze wydawał mi się nieosiągalnym celem. Trudno mi było uwierzyć we własne szczęście, kiedy w końcu zdołałem zacisnąć na nim dłoń.

W tej samej chwili okno otworzyło się, prawie przygniatając mi palce, i wysunęła się przez nie głowa Sary.

– Edmund! – westchnęła z mieszaniną zgrozy i ulgi. – Widziałam, jak biegniesz, i...

Urwała, po czym wyciągnęła ręce, by pomóc mi się wgramolić do środka. Byłem przemoczony do suchej nitki, obolały i wyczerpany, a dłonie i kolana miałem podrapane i poranione do krwi. Przez chwilę krótką jak myśl marzyłem tylko o tym, by zwalić się na łóżko, a nawet na podłogę, a potem zacisnąć powieki, nakryć głowę dłońmi i zapaść w cudowny, senny niebyt, ale błysk w oczach żony, gdy odwróciła się do mnie po zamknięciu okna, natychmiast mnie rozbudził. Ujrzałem w nich niedowierzenie i nadzieję, ale także przestrasz i współczucie.

– Edmund – szepnęła, klękając przy mnie i ujmując moje dłonie. – Na Dole, jesteś ranny...

– To tylko skaleczenie. – Odsunąłem jej rękę, po czym odpiąłem od pasa linę, którą przekazał mi Eliah. Sznur był mocny, z pętlą na końcu. – Posłuchaj, Saro, musisz... Musisz się stąd wynosić. Realizujemy pewien plan i nie możesz tu

zostać. Nie pozwolę, by któryś z tych bydlaków przystawił ci nóż do szyi.

– Edmund, odbiło ci? – Sara odsunęła się, zdumiona. – Co oni ci nakładli do głowy w tym wojsku? Jesteś cholernym kucha...

– Włóż na parapet – przerwałem jej. – Wsuń nogę w tę pętlę i chwyć się mocno liny. Opuszczę cię na dół, a gdy tylko znajdziesz się na ziemi, biegnij do stajni i zamknij ją od środka. Załóż kłodę na wrota i podeprzyj dla pewności czymś ciężkim. Boczne drzwi też zastaw.

– Po co? – Sara wybałuszyła oczy.

– Bo żaden z tych skurwieli nie ma prawa dopaść konia i stąd uciec.

– Edmund, przestań...

– Proszę cię.

Kłóciliśmy się z Sarą dość regularnie, ale bardzo rzadko udawało mi się postawić na swoim, głównie dlatego, że w trakcie sprzeczki z wolna przestawałem wierzyć w owo swoje, za to zaczynałem marzyć o świętym spokoju. Tym razem jednak na szali leżało jej życie i nie miałem najmniejszego zamiaru ustąpić. Sara zaś chyba to rozumiała i poddała się od razu. Przełknęła ślinę, podniosła się, otworzyła okno i uklękła na parapecie z liną w dłoni.

– Powiedz mi, że wiesz, co robisz – powiedziała.

– Wiem – odparłem z przekonaniem, w które, na Dolę, chyba nawet sam wierzyłem.

– Za drzwiami siedzi jeden z tych...

– O tym też wiem – przerwałem jej cichym syknieniem i z trudem oparłem się pokusie, by spojrzeć za siebie.

– Zejdiesz potem w ślad za mną?

– Tak.

– Kłamiesz.

– Tak.

– Edmund, ja...

– Zejdź na dół. Proszę cię.

– Dobrze, ale... nie upuść mnie – powiedziała błagalnie, po czym wsunęła stopę w pętlę.

Oplotłem linę o ramę solidnego dębowego łóżka i zacząłem powoli opuszczać Sarę na ziemię. Nie odrywałem wzroku od

sznura, drżąc na myśl, że zaraz zacznie trzeszczeć i się przecierać, ale sploty gładko prześlizgiwały się po wytartej krawędzi parapetu, aż wreszcie lina zwiotczała mi w obolałych dłoniach, co oznaczało, że Sara znalazła się na dole. Przypadłem do okna i ujrzałem, jak biegnie przez podwórze. Odwróciła się i pomachała do mnie, a ja odpowiedziałem jej tym samym.

W sercu czułem stalową determinację.

Sara była wolna. Nadszedł czas starcia.

Przymknąłem oczy, by wyobrazić sobie, jak moi towarzysze zajmują wyznaczone pozycje. Bandyci nie wszczęli alarmu, a to oznaczało, że stracili swą szansę bezpowrotnie.

Serce zabiło mi mocniej. Wyłuskałem z kieszeni uniwersalny klucz do drzwi na piętrze, który zgarnąłem z nam tylko znanej dziupli, i ostrożnie wsunąłem go w zamek, po czym przekręciłem. Mechanizm szczęknął głośno, o wiele za głośno, ale byłem na to przygotowany.

Nacisnąłem klamkę i pchnąłem lekko drzwi. Ze skrzypnięciem otworzyły się na korytarz.

– Co tu się, do kurwy nędzy... – wymamrotał strażnik i podniósł się z miejsca, po czym stanął w progu, wypełniając sobą otwór drzwiowy.

Jako dziecko nienawidziłem ciężkiej ławy z jesionowego drewna, którą dziadek Edgar przywiózł kiedyś z Twarogu, bo bałem się smoków wyrzeźbionych na oparciu. Nie cierpiałem jej jako nastolatek, bo nigdy nie mogłem jej doszorować tak, żeby zadowolić matkę. Nie przepadałem za nią jako dorosły, bo była nieustawna jak diabli i kilkakrotnie się o nią przewróciłem, na dodatek przynajmniej raz w tygodniu Sara robiła mi awanturę, że wciąż nie zniosłem jej na dół.

Właśnie Dola przedstawiła mi namacalny dowód na to, że uleganie kobiecej woli w kwestiach porządku może się okazać zgubne.

Grzmotnięty ciężką ławą w żołądek bandyta stęknął głucho, wytrzeszczył oczy i zatoczył się jak pijany. Nim odzyskał równowagę, wypchnąłem go na korytarz i niosąc mebel przed sobą, skierowałem się w prawo, ku schodom, wciąż popychając próbującego odzyskać równowagę

bandziora. Schody zaś już drżały od kroków kolejnych zbirów.

Doskonale.

Parłem naprzód bez litości, charcząc jak rozwścieczony odyniec. Napiąłem mięśnie i gwałtownym pchnięciem posłałem zaskoczonego bandytę prosto na kompana, który biegł tuż za nim. Zdumienie na jego brodatym obliczu przeszło w przerażenie, gdy obaj potoczyli się po stopniach na dół.

Ja zaś stęknąłem, oparłem krawędź ławy o balustradę, wyjrzałem przez nią, przycelowałem i zepchnąłem ją na parter.

Prosto na kolejnego bandytę, który właśnie się przebudził i przecierał oczy.

Przez łoskot, jęki i wrzask przedarł się tubalny ryk rosnącego mężczyzny, w którym rozpoznałem Rohatyne. Stał na środku izby, półnagi i straszliwy, trzymając w garści nabijaną krzemieniami maczugę.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – wrzeszczał. – Może mu ktoś...

Odpowiedzią był wrzask Gramma, który, otwórzszy drzwi kuchenne otrzymanym ode mnie kluczem, wpadł do izby, dzierżąc największą siekierę, jaką znalazł w drewni, i skoczył na innego bandytę, udaremniając mu naładowanie kuszy. Wzniósł siekierę nad głową, ale obrócił ją w dłoniach i przyłożył zbójowi obuchem. Drab zatoczył się i wpadł prosto na Żychłonia, który przerzucił się z magii na broń bardziej konwencjonalną i z impetem przyłożył bandziorowi laga w brzuch, czym posłał go na ziemię.

Zbiegałem po schodach, przeskakując po dwa stopnie. W dłoniach miałem poderwany z podłogi miecz należący do bandyty powalonego ławą. Kopnąłem w głowę zbója, który gramolił się z podłogi, przeskoczyłem nad dwoma pozostałymi i skoczyłem na Rohatyne.

Wtedy kątem oka ujrzałem, jak stojący w rogu zbir unosi kuszę do strzału.

Nie zdążyłem nawet zakrzyknąć, gdy w powietrzu zafurkotał bolas Eliaha i obciążony ciężarkami sznur w okamgnieniu oplótł mężczyznę wraz z kuszą. Wystrzelony przypadkowo grot utkwiał w suficie.

Rohatyna ryknął i rzucił się na mnie z wzniesioną maczugą. Odruchowo wykonałem unik, zresztą w ostatniej chwili, bo na policzku poczułem podmuch, gdy broń świsnęła mi tuż nad uchem. Zatoczyłem się, złapałem równowagę i uniosłem miecz, a wtedy dotarło do mnie, w co się właściwie wpakowałem.

Miałem naprzeciwko siebie rozbójnika i podrzynacza gardeł, gotowego do walki na śmierć i życie. Ja zaś, mimo mej desperacji i zawziętości, czułem się o wiele swobodniej z chochlą niż z mieczem. W jasnoniebieskich, zmrużonych oczach Rohatyny pojawił się błysk, który oznaczał, że bandyta doszedł do podobnego wniosku.

Przestrach dodał mi sił. Uskoczyłem przed kolejnym ciosem maczugą, zaskakująco szybkim jak na tak ciężką i nieporęczną broń, a potem przed jeszcze jednym, starając się ignorować uporczywą myśl, że następnego ciosu nie uniknę. Byłem wyczerpany, osłabiony, brakowało mi przeszkolenia i...

Ktoś otworzył drzwi. W półmrok karczmy niespodziewanie wdarł się blask dnia.

Rohatyna, posłuszny bezwolnemu odruchowi, chciał spojrzeć w bok. Opanował się błyskawicznie, ale ta króciutka chwila wahania pozwoliła mi uskoczyć poza zasięg jego ciosu. Zbój natychmiast runął naprzód, ale zaraz potem stęknął głucho, gdy Żychłoń trafił go zydłem w plecy. Maczuga bandyty, miast we mnie, grzmotnęła w słup podtrzymujący strop, a ja przemknąłem pod nią i kopnąłem Rohatynę w kolano. Gramm ciosem obucha zmiażdżył bandycie nadgarstek, a Eliah zarzucił mu pętlę na szyję.

Owładnięty furją Rohatyna ryczał z bólu i wściekłości, szarpiąc za linę, ale moją uwagę przykuł ruch. Pozostali bandyci podnosili się z ziemi i chyłkiem uciekali z karczmy, wymijając jakąś drobną postać z parasolem, która z piskiem uskoczyła przed nimi w deszcz. Skinałem głową Grammowi i pobiegłem w ślad za nimi, lecz zatrzymałem się na progu.

Deszcz nieco zelżał, ale podwórzec nadal przypominał trzęsawisko. Ludzie Rohatyny, utykając i zataczając się, pędzili w stronę stajni, rozbryzgując kałuże. Pierwszy przebiegał obok wozu, gdy nagle zza przykrytej derką klatki



wyskoczył Zwierzak. Goblin spadł uciekinierowi na plecy, przewrócił go w błoto i tłukł drewnianym młotkiem dopóty, dopóki bandyta nie zrezygnował z prób podniesienia się.

Dwóch pozostałych przypadło do wrót stajni. Szarpali za nie przez chwilę, przeklinając, zupełnie nieświadomi, że za ich plecami stoi Urgo z kijem wzniesionym do ciosu.

Ryki Rohatyny wreszcie ucichły, co oznaczało, że banda została ostatecznie rozgromiona. Z ulgą zamknąłem oczy, ale otworzyłem je szybko, gdy tuż przy mnie rozległ się gderliwy głos, znany mi aż za dobrze:

– Rozumiem, Edmundzie, że trafiłam w sam środek jakichś samczych rytuałów, które odbierają ci rozum i resztki dobrych manier – przywitała się moja teściowa; w jednej ręce trzymała walizeczkę, a w drugiej parasol. Patrzyła na mnie wzrokiem, który gasił w człowieku wszelkie emocje i zastępował je tygodniowym zatwardzeniem. – Ale nie każesz mi chyba dłużej stać na deszczu, prawda?

\*

Na skutek wydarzeń ostatniego dnia moja hierarchia wartości uległa całkowitej przebudowie i na pierwszym miejscu na liście najważniejszych rzeczy na świecie znalazła się sucha, czysta odzież. Wciąż ciesząc się ciepłem i zapachem wypranej koszuli, usiadłem przy ławie i ująłem w obie dłonie kufel z grzanym piwem, a Sara w milczeniu usiadła obok mnie i wsunęła mi dłoń pod ramię.

Oboje wpatrywaliśmy się w drobnego, zakutanego w koce chłopca. Nie mógł mieć więcej niż dwanaście lat, choć nadrabiał zarówno wzrostem, jak i miną. Jego głos, mimo że nadal piskliwy, nosił już znamiona arystokratycznego tonu, który drażnił mnie niepomiernie, ale byłem zbyt zmęczony, by dać się ponieść emocjom.

– Chcę do domu – oświadczył chłopak. – I to jeszcze dzisiaj.

– Dzisiaj – powtórzyłem. – Jasne, młody. Dopiję piwo i osobiście cię zaniosę. Galopu jeszcze nie opanowałem, ale kłusuję całkiem nieźle.

Naprawdę byłem zmęczony.

– Mężowi chodzi o to – podjęła Sara – że idzie noc, a to pora, kiedy na trakcie pojawiają się bandyci. Z tymi sobie poradziliśmy – ruchem głowy wskazała Gramma, który właśnie wywlekał półprzytomnie bredzącego Rohatyne na błoto dziedzińca – ale może być ich więcej.

Wyraźnie widziałem, jak grdyka chłopaka porusza się w górę i w dół.

– No właśnie – burknąłem. – Dokładnie o to mi chodziło.

Upiłem łyk, co sprawiło, że moja hierarchia wartości znów uległa zmianie, a nastrój nieco mi się poprawił. Nie było lepszego grzańca na świecie od tego, który serwowała moja żona. Kapka miodu, odrobina imbiru oraz szczypta gałki muszkatołowej zamieniały prosty napój w eliksir szczęścia.

– Jeszcze raz: jak masz na imię? – zwróciłem się do młodego.

– Cedrig – odparł chłopak. – I masz się do mnie zwracać: „Panie”.

– Rozumiem – odparłem poważnie. – Masz już dosyć nazywania cię młodym, smarkiem czy gówniarzem, tak?

Sara kopnęła mnie pod stołem, a mnie się zrobiło trochę głupio, bo w oczach chłopaka pojawiły się łzy. Odwrócił głowę i zasłonił twarz kocem.

– Już dobrze – powiedziałem dobrotliwie. – Nie przejmuj się moim gadaniem. Kolacja zaraz będzie gotowa. – Zerknąłem w stronę kuchni, którą zawładnęła moja teściowa Andrea. – Nieźle tutaj jadamy. Może nie tak, jak na zamku twojego ojca, ale głodny spać nie pójdziesz. Rano wujek Żychłoń zmieni ci opatrunek i odwieziemy cię do domu, dobrze?

Chłopak pociągnął nosem i otarł rękawem łzy, a potem przytaknął.

– To teraz jeszcze raz nam opowiedz, co takiego się wydarzyło.

Opowieść, choć nieskładna i pełna wyolbrzymień, uzupełniła moje domysły i wyburczane pod nosem bluzgi Gramma. Otóż młody Cedrig z rodu Husków, usłyszawszy o starciach na południu, ukradł konia, ojcowski miecz oraz okazałą sakiewkę, po czym wyruszył w drogę, by zdobyć sławę bohatera. Przejęty własną misją, rozповідаł o niej w każdej napotkanej karczmie, szastając przy tym złotem, co

ściągnęło na niego uwagę Rohatyny. Tenże, do tej pory trudniący się wyłapywaniem dezertarów, postanowił zmienić profil działalności i uprowadzić młodego dla okupu.

Rohatyna zajął więc Gryfa i zabrał się do planowania akcji. Złapanie chłopaka okazało się prostym zadaniem, bo panicz Husk, choć zboczył z głównego traktu, miał w zwyczaju śpiewać w siodle, fałszywie, ale za to głośno. Problemy bandy zaczęły się nieco później, gdy zetknęła się z Grammem.

Krasnolud od kilku dni penetrował okoliczne lasy w poszukiwaniu goblina, siłą miejscowej plotki zamienionego w podglądacza, złodzieja i dusiciela kur. Przypadkowo natknął się na bandytów, którzy wracali z łupem do Gryfa. Znużeni ulewą, ludzie Rohatyny zrobili sobie przerwę w opuszczonej chacie smolarzy, gdzie na próżno rozgrzewali się gorzalką. Zaintrygowany krasnolud podkradł się do stojącej na uboczu klatki, uwolnił chłopaka i uciekł z nim w las, co bandyci odkryli dopiero po dłuższej chwili. Deszcz zamaskował ślady obu uciekinierów, co było szczęśliwym zrzędzeniem losu, bo krasnolud rychło się pogubił, a chłopak zwichnął kostkę.

Przesiedzieli całą noc we względnie suchym wykrocie, słuchając wrzasków bandytów prowadzących poszukiwania. Ludziom Rohatyny udało się jedynie ująć Zwierzaka, w zasadzie zupełnie bez sensu. Przypuszczalnie zmyliło ich to, że goblin i krasnolud zostawiali podobne tropy. Dopiero gdy się rozwidniło, Gramm postanowił sprowadzić pomoc i zawitał do Gryfa w jednocześnie najlepszym i najgorszym momencie. Po rozprawieniu się z bandytami zaprowadził nas do miejsca, w którym ukrywał się Cedrig, ale zaznaczył, że młody jest tak upierdliwy, że osobiście woli ciągać banitów po błocie, niż spędzić z nim choć chwilę dłużej.

Trudno się było z nim nie zgodzić.

Nadciągał wieczór, zimny i nieprzyjemny. W kominku wesoło trzaskał ogień, a smakowite zapachy dolatujące z kuchni wywoływały u mnie ślinotok, choć matka Sary nie przestawała obrzucać mnie jadowitymi spojrzeniami. Upiłem łyk piwa i potrząsałem głową, odpędzając senność.

– Jutro z rana pojedę do sierocińca – powiedziałem. – Odbiorę matkę oraz Salie, a chłopaki w tym czasie

przygotują wóz.

– Chłopaki? – spytała cicho Sara. – Mówisz tak, jakby...

Urwała, bo drzwi do karczmy nagle się uchyliły, wpuszczając powiew chłodnego powietrza oraz moich nowych przyjaciół.

– Powiązaliśmy bandziorów jak balerony i upchnęliśmy ich w drewnutni – oznajmił rozradowany Gramm, moszcząc się za ławą. – Z wyjątkiem tego posranego. Żychłoń zawlókł go do kałuży, żeby się najpierw odmoczył. Nie mam zamiaru tłuc się przez cały dzień w takim smrodzie! Ej, młody – zwrócił się do wystraszonego panicza. – Daleko do zamku twojego starego?

– Włości mego ojca ciągną się jak okiem sięgnąć, a jego majątek... – zaczął sztywno chłopak, ale krasnolud przerwał mu machnięciem ręką.

– Czyli daleko. Saro, bądź taka dobra i znajdź suczemu synowi jakieś portki, dobrze?

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, widząc zażyłość, jaka wywiązała się między opryskliwym, gburowatym krasnoludem a moją żoną. Nie miałem się czemu dziwić, bo na stworzenie tej więzi mieli kilka tygodni. O wiele bardziej zaskakiwało – i ujmowało! – mnie to, że reszta towarzystwa czuje się pod naszym dachem równie swobodnie jak Gramm. Urgo wszedł do kuchni, uklonił się Andrei i spytał, czy może w czymś pomóc, czym skutecznie usunął jad z jej spojrzenia. Za plecami mej nagle rozplomienionej teściowej przemknął Zwierzak, niosąc ku nam kołyszący się stosik misek. Eliah usiadł na skraju ławy i przez moment łypał na wszystkich podejrzliwie, ale w końcu coś w nim pękło i powoli, ostrożnie odpiął pas z bronią. Żychłoń tymczasem bezceremonialnie nalał sobie piwa i usiadł obok chłopaka, mierzwiąc mu wciąż wilgotną czuprynę.

To najwyraźniej dodało Cedrigowi odwagi, bo uniósł nagle głowę i rzekł z niedowierzaniem:

– Znaczy się... Chcecie zabrać tych bandytów i oddać memu ojcu? Ale po co? Nie lepiej obwiesić ich na drzewie?

– Nie jestem katem, chłopcze – powiedziałem ostrzej, niż zamierzałem. – Ci ludzie to banda suchych synów, którzy zajęli mój dom i zagrozili mojej żonie, a do tego jeszcze

porwali ciebie, ale mimo to nie będę ich zabijać. Myślę, że bardziej przydadzą się żywi niż martwi. Założę się, że twój ojciec ma jakiś kamieniołom, wyrąb czy pole, na którym może pracować kilku osiłków, tym bardziej że tylu młodych ludzi poszło do armii.

– Walczą ku chwale naszego księcia! – oświadczył z dumą chłopak.

Urgo z głośnym hukiem postawił przed nim kocioł z gulaszem i Cedrig aż podskoczył.

– Jedz, chłopcze – burknął Żychłoń. – Może ci się jeszcze w głowie poukłada.

Zwierzak sprawnie porozstawiał wśród nas miski i porozkładał łyżki, po czym złapał za nabierkę. Po chwili wszyscy zajadali, aż im się uszy trzęsły, ku wyraźnemu niezadowoleniu Andrei, która chciała poprzedzić wieczerzę przynajmniej jedną modlitwą do Doli. Gulasz okazał się przepyszny, wprost idealny w smaku i konsystencji, a dwa bochny świeżego, chrupiącego chleba znakomicie go uzupełniły. Stęknienia zachwyty raz po raz unosiły się nad ławą, aż garnek został wylizany do czysta, i coś mi mówiło, że moja droga teściowa utrzymuje naburmuszoną minę już tylko dla zasady.

Wreszcie miałem chwilę, by przemyśleć wszystko, co wydarzyło się tego dnia, i z wolna docierała do mnie niezwykłość tego, co się stało. Mieliśmy przeciwko sobie ośmiu łotrów, nieźle uzbrojonych i zmotywowanych do walki, ale odnieśliśmy druzgocące zwycięstwo. Rozprawiliśmy się z całą bandą szybciej, niż usmażyłbym jajko na rozgrzanej patelni, a przy tym nikt nie zginął ani nie odniósł ciężkiej rany. Było to dla mnie ważne – przed akcją poprosiłem swoich towarzyszy, by starali się nie rozlewać krwi w moim rodzinnym domu – ale po prawdzie nie sądziłem, by było to możliwe.

I jeszcze jedno... Zdumiewała mnie nie tyle płynność, z jaką przebiegła nasza operacja, ile swoboda, z jaką ją zaplanowałem. Fakt, działaliśmy na znanym mi terenie, ale przecież nie miałem większego pojęcia o talentach moich towarzyszy. Szykując się do natarcia, odnosiłem wrażenie, jakbym przygotowywał skomplikowaną, ale ważną dla mnie

potrawę. Obrąć marchewkę, oczyścić kurki, posiekać czosnek, rozgrzać masło...

Zaraza.

Nagle uniosłem głowę, bo poczułem na sobie wzrok Żychłonia. Guślarz skądś chyba wiedział, o czym myślę, bo nagle rzekł:

– Dobrze to wszystko wykombinowałeś, Kociołek.

– Nie udałoby się... – Odkaszlnąłem. – Nie udałoby się, gdyby nie wy. Nie musieliście tego robić. Karczmą zawładnęło ośmiu oprychów. Ośmiu! Każdy normalny człowiek poproszony o pomoc machnąłby ręką, postukał się w czoło i poszedł w swoją stronę, a wy...

– Cóż, ani my normalni, ani ludzie – burknął Gramm.

– Tak czy owak, walczyliście o nasz dom – powiedziałem dobitnie. – W związku z tym powtórzę to, co obiecałem już kilku z was. Trwa wojna, a w takich czasach ciepły kąpiel, garnek z gulaszem i pogawędka przy kominku to bezcenne skarby. Niniejszym więc nasz dom staje się waszym i róbcie w nim to, co uznacie za stosowne.

Spojrzałem na Sarę, która dodała:

– Pod warunkiem, że nie będziecie zostawiać bałaganu!

– Ani głośno przeklinać! – dodała Andrea, unosząc chudy palec. – Ani też pić, palić, cudzołożyć i Doli uchybiać!

Rozległy się głośne śmiechy, które zaraz jednak ucichły, gdy do każdego z siedzących przy stole dotarła waga naszego zaproszenia. Spojrzałem na Żychłonia i uśmiechnąłem się lekko, myśląc o jego wcześniejszych zastrzeżeniach, a guślarz pokręcił głową z lekkim niedowierzaniem i rozsiadł się wygodniej, rozglądając się dookoła. W kącikach jego ust błąkał się tajemniczy uśmiech.

Jako pierwszy odezwał się Gramm.

– Ja w sumie – przemówił niepewnie, wyłamując palce – chciałem zapytać o tę szopę, do której elf mnie wciągnął. Potrzebna wam do czegoś? Bo jak nie, to kuźnię sobie postawię.

– Wasz ogródek warzywny – rzekł Żychłoń – jeszcze jako tako się prezentuje, ale zielnik to obraz nędzy i rozpacz. Czuję, że przyda wam się nowy.

– Edmund miał założyć – burknęła Sara. – Ale postanowił zrobić karierę w wojsku.

– Ja mam jeszcze trochę pracy w sierocińcu – zabrał głos Urgo – ale nie wzgardzę tak serdecznym zaproszeniem, zwłaszcza że przydałoby ci się, Kociołek, parę lekcji fechtunku.

– Ja sznury robię – rzekł niespodziewanie elf. – Powroźnikiem jestem.

Zaskoczenie wywołane jego słowami było tak wielkie, że dopiero po chwili przypomniałem sobie, iż przy stole siedzi jeszcze Zwierzak, pochłonięty wylizywaniem miski ze skrupulatnością graniczącą z fanatyzmem. Goblin dopiero po chwili uświadomił sobie, że uwaga wszystkich przy stole właśnie skupiła się na nim, i zamrugnął, próbując sobie przypomnieć, czego dotyczyła rozmowa.

– Ja też mogę zostać – powiedział i wzruszył chudymi ramionami. – Fajna okolica. Dużo jezior i rzek. I bagien. No, fajna.

Pokiwał głową, potakując samemu sobie, a potem zmarszczył brwi, jakby chciał dodać coś jeszcze, mnie też się zresztą wydawało, że czegoś w tej wypowiedzi zabrakło. Postanowiłem jednak, że powrócę do tej kwestii w innych okolicznościach, bo Gramm energicznie zatarł dłonie i oznajmił:

– No, mam wrażenie, żeśmy, chłopaki, ustalili tu coś ważnego! Jutro czeka nas droga do ojczulka naszego młodego gościa. – Zerknął na Cedriga, który tymczasem wtulił się w kąć i zasnął. – A przed wyruszeniem w drogę...

– Trzeba rozwiesić pierzynę! – warknęła Andrea, która jako pierwsza skończyła posiłek, a teraz zeszła z piętra z naręczami kołder. – Przestało padać, a w pokojach taka stęchlizna, że aż zgroza bierze!

Przystanąła, wbijając wzrok w Gramma, który wstał, by dolać wszystkim piwa.

– Meble poustawiać na miejscu! – syknęła. – Podłogi zamieść! Balustradę trzeba naprawić i przyjrzeć się tej ławie, co ją ten twój patalch – ostatnie słowa skierowała do Sary – z piętra zrzucił!

– Wszystko ogarniemy, szanowna pani! – huknął Gramm. – Ino wypijmy sobie skromniutko po kufelku pod tę robotę. Po jednym, nie więcej!

Odpowiedzią na jego słowa był aplauz. Urgo bił brawo, najwyraźniej w przeświadczeniu, że krasnolud naprawdę chce sprostać wymaganiom Andrei. Żychłoń gwizdał i klaskał, zbierający miski Zwierzak tańczył i przytupywał, a Eliah zdobył się na zdawkowe kiwnięcie głową. Sam uśmiechnąłem się szeroko i już chciałem zaproponować odpowiednią beczkę, gdy poczułem na swojej dłoni rękę Sary.

– Pozwól na chwilę – szepnęła mi do ucha i odprowadziła mnie do kuchni. Nie uszło to uwadze reszty, która pożegnała nas gwizdami i wiwatami, co wywołało rumieniec oburzenia na policzkach Andrei.

– Posłuchaj – zacząłem, gdy tylko moja żona zamknęła drzwi. – Wiem, że żadna kobieta nie lubi, gdy jej mąż ściąga pod dach bandę obszarpańców, ale to naprawdę przyzwoici goście, którzy potrzebowali pomocy. Co więcej, potrafili się odplacić tym samym, a więc...

– Cicho już bądź – przerwała mi Sara i przygniotła mnie biustem do ściany. – I odpowiedz mi na jedno ważne pytanie. O jakie zmiany pytałeś w listach?

– No... eee... – Poczułem, że się czerwienię. – No wiesz, o takie... eee... istotne. Ważne.

– Ważne – powtórzyła Sara, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Skąd wiedziałeś? Przeczujesz, tak?

– Ja? Co? Ja niczego...

– Twoja ostatnia przepustka zbiegła się z... – Sara przygryzła dolną wargę. – Z pewnymi korzystnymi okolicznościami i... Jak by ci to powiedzieć... Od paru dni wiem, że w istocie szykują się zmiany. Ważne zmiany.

Złapała mnie za rękę i przycisnęła ją do swego łona.

– Czy ty... – bełkotałem oszołomiony. – Czy my...

– Tak – odpowiedziała. – A mógłbyś już – szepnęła po chwili – zamknąć gębę i po prostu mnie pocałować?

*Szanowny Panie Pułkowniku,*



*Chciałem szczerze Pana Pułkownika przeprosić za moją przedłużającą się nieobecność, ale została ona spowodowana nie przez prywatę, lecz przez sprawy wagi państwowej. Myślę, że najlepiej wyjaśni to Panu Pułkownikowi baron Willem Husk, który – wbrew mojej woli, zaznaczę – zatrzymał mnie na zamku i obarczył szeregiem zadań, o tych zaś ze względu na dobro państwowe oraz cenzurę pisać nie mogę. Zaznaczę tylko, że chodzi głównie o misje logistyczno-zaopatrzeniowe, co oznacza, że zdobywam cenne doświadczenie, które bez wątpienia wykorzystam po powrocie do roli kwatermistrza Dziesiątego Pułku Piechoty.*

*Baron raczy również listownie powiadomić Pana Pułkownika o terminie zakończenia naszych misji, gdy to jednakże nastąpi, zmuszony będę poprosić o urlop okolicznościowy związany z narodzinami dziecka.*

*Ufam, że pozostaje Pan w dobrym zdrowiu i nie poddaje się apopleksji częściej niż raz dziennie, a mój zastępca wie, jak sprostać wysublimowanym wymaganiom Pańskiego żołądka i podniebienia.*

*Edmund syn Edvarda,  
kwatermistrz i kucharz Dziesiątego Pułku Piechoty*

## **Przed wyruszeniem w drogę**

Copyright © by Marcin Mortka 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Strożek

Skład i łamanie – Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382104448

ISBN epub: 9788382104455



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka  
Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowicz, Marcin Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaś

**[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)**

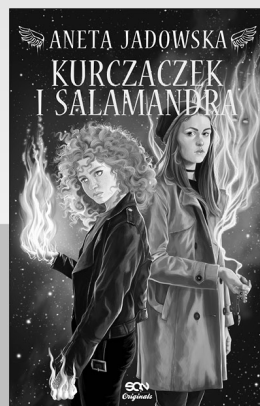
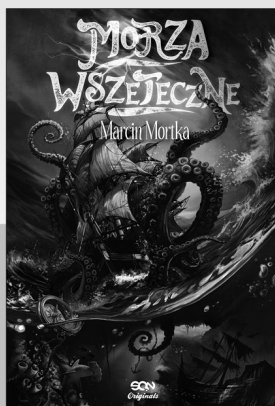
**[www.sqnstore.pl](http://www.sqnstore.pl)**

**[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)**

## Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.  
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



**SQN**

WYDAWNICTWO  
SINE QUA NON

**SQN**STORE.PL

labotiga.pl